ZDJĘCIE Z ARESZTU ROBI FURORĘ

Cejrowski o nękaniu Trumpa – kandydata na prezydenta USA

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 36/543 4–10 WRZEŚNIA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Warzecha o komisji do spraw rosyjskich wpływów w Polsce

JOANNA BOJAŃCZYK: LUKSUS W XXI W. – POWSZECHNA ELITARNOŚĆ?

Żonaci na księży? Papież Franciszek a celibat

SOROSOWIE W POLSKICH MEDIACH

Teraz przejmują kontrolę nad „Rzeczpospolitą”

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 36 >

Nakład: 52 000 egzemplarzy

Więcej wolności
dla Twojego biznesu.

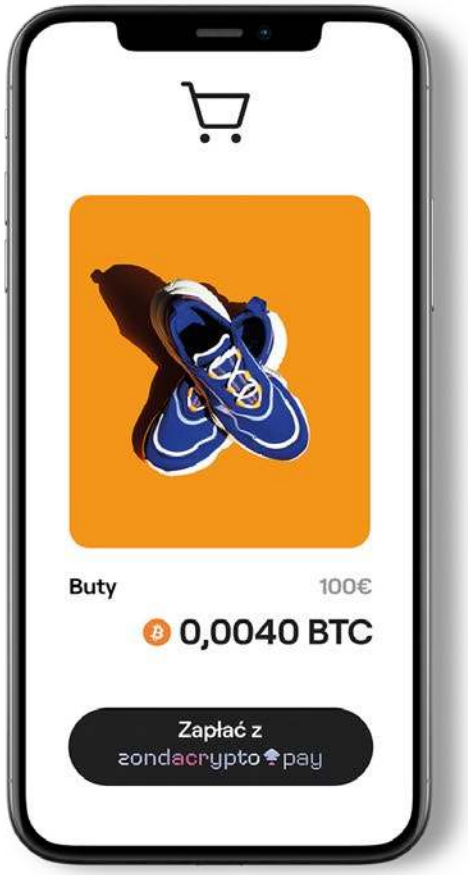

Akceptuj płatności krypto z

zondacrypto pay

zondacrypto
Trade tomorrow, today

eprasa.pl c26aa5272a

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zełenskiego sny o potędze

Od przywódców państw powinno się oczekiwać – mam nadzieję, że to nie przesada – dającego się wykryć związku między tym, co deklarują, a rzeczywistością. W przeciwnym razie mamy do czynienia z wizjonerami, pięknoduchami, utopistami, ewentualnie marzycielami. O tym wszystkim myślałem sobie, obserwując ostatnią serię wypowiedzi i wywiadów prezydenta Wołodymyra Zełenskiego na temat wojny z Rosją, przyszłości Krymu i roli Ukrainy w przyszłości. Co uderza, wszystkie te coraz bardziej osobliwe deklaracje były przyjmowane przez ogół dziennikarzy i publicystów – tak w Polsce, jak na Zachodzie – ze zrozumieniem i z akceptacją. Czyżby wszyscy upadli na głowę?

Otóż kilka dni temu prezydent Ukrainy przedstawił swoją wizję Krymu, zgodnie z którą półwysep ten, obecnie okupowany przez Rosję, ma się stać w przyszłości jednym wielkim parkiem naturalnym i centrum nowych technologii. Żeby się tak stało, należy, bagatela, wyrzucić z Krymu Rosjan. „Myślę, że jest możliwe, żeby doprowadzić politycznie do tego, żeby cały region ukraińskiego Krymu został zdemilitaryzowany". Kilka razy czytałem tę wypowiedź i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. W jaki to bowiem sposób prezydent Ukrainy zamierza zdemilitaryzować jedno z najważniejszych centrów rosyjskiej armii? Przypomnę, że w Sewastopolu mieści się siedziba rosyjskiej floty czarnomorskiej, a cały region usiany jest bazami, obozami i innymi ośrodkami wojskowymi. Dodatkowo kłopotem jest to, że według wszystkich dostępnych danych większość zamieszkałej tam obecnie ludności stanowią Rosjanie – według spisu powszechnego z 2001 r. stanowili oni 60 proc. ludności, Ukraińcy 24 proc. Żeby zatem zdemilitaryzować Krym, należałoby po pierwsze rozgromić Moskwę. Logiczne jest też, co wynika z rozumowania prezydenta, że w przyszłości należałoby zmienić układ stosunków ludnościowych. Biorąc pod uwagę, że plany te snuje polityk, którego armia po kilku miesiącach ofensywy i znaczących stratach zdobyła kilka wiosek w Donbasie, jest to wizja co się zowie zuchwała.

Jednak plany demilitaryzacji Krymu to nic w porównaniu do innych projektów prezydenta Zełenskiego. „Ukraina musi mieć świadomość, że w tym czy innym momencie może zostać sama, że któryś partner może ją zostawić z powodu jakichś wewnętrznych procesów, wewnętrznej polityki czy choćby wyborów. Ale po prostu musimy nauczyć się z tym żyć. Izrael walczy (długo) i my też jesteśmy gotowi długo walczyć, nie tracąc ludzi, minimalizując straty, jak np. Izrael" – mówił w jednym z ostatnich wywiadów. Dodawał: „Z USA prawdopodobnie będziemy mieli taki model, model izraelski, w którym będą broń, technologia, szkolenia, finanse i tak dalej". Innymi słowy, według Zełenskiego, Ukraina ma stać się w Europie Wschodniej i Środkowej tym, czym Izrael jest na Bliskim Wschodzie. W innym wywiadzie prezydent mówił: „Ukraina zasługuje na to, żeby być w najsilniejszych światowych sojuszach, żeby być wśród liderów świata. I będzie".

Dawno już nie słyszałem takiej tromtadracji i chełpliwości. Ukraina, która utrzymywana jest przy życiu dzięki gigantycznej kroplówce zachodniej – na co zrzucają się USA i UE – twierdzi, że zamierza być światowym mocarstwem na wzór Izraela? Pozycja tego ostatniego wynika z trzech źródeł: słabości arabskich sąsiadów, ogromnej pomocy amerykańskiej, wynikającej z wpływów lobby żydowskiego w USA i własnej determinacji mieszkańców, czyli – innymi słowy – radykalnego patriotyzmu lub – jak kto woli – nacjonalizmu. Jednym z najważniejszych źródeł tego ostatniego jest poczucie zagrożenia i wyobcowania – stąd rola pamięci o Holokauście. Na czym chce oprzeć swoją potęgę Ukraina? Nie wspomnę już nawet o wielkim kryzysie demograficznym, o kilkunastu milionach jej mieszkańców, którzy uciekli przed rosyjską inwazją.

Zastanawia mnie też całkowite milczenie polskich polityków w sprawie wizji Ukrainy jako Izraela. Posługując się tą analogią, pojawia się pytanie, jaką rolę w stosunku do nowego Izraela – Ukrainy – ma odgrywać Polska. Ma być Libanem? Syrią? Może Jordanią? Z polskiego punktu widzenia żadna z tych opcji nie wydaje się zachęcająca.

Swego rodzaju dopełnieniem deklaracji prezydenta było obwieszczenie, że praktycznie nie zamierza przeprowadzić w 2024 r. wyborów, chyba że zapłacą za nie USA i UE, które wyślą też obserwatorów do okopów na front. Szefowa jego partii stwierdziła wręcz, że domaganie się teraz wyborów to bluźnierstwo. Sprawa nie jest, to prawda, jednoznaczna i przeprowadzanie głosowania podczas wojny byłoby wyzwaniem. Tyle tylko, że toczy się ona na wydzielonym obszarze i nic nie wskazuje na jej szybkie zakończenie. Dlatego coraz częściej będzie pojawiał się zarzut, że Ukraina przekształca się w coś na wzór dyktatury wojskowej z absolutną władzą prezydenta Zełenskiego. Stawia to w bardzo niewygodnej sytuacji Waszyngton, który wspierając Ukrainę, mówi o obronie demokracji przed napaścią autokratycznego moskiewskiego reżimu. ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„RZECZPOSPOLITA" W SŁUŻBIE CHAOSU
Tuż przed wyborami jeden z najważniejszych dzienników w Polsce został przejęty przez fundusz będący własnością George'a Sorosa

19 WOJCIECH GOLONKA
KTO NAPRAWDĘ KUPIŁ „RZECZPOSPOLITĄ"?

22 PIOTR MOTYKA
SIEĆ SOROSA IDZIE NA BITWĘ O WARSZAWĘ?

OPINIE

64 ŁUKASZ WARZECHA
TROPICIELE ZE SCENARIUSZEM
Sejmowa komisja, która ma tropić rosyjskie wpływy w Polsce, jest najlepszym prezentem dla Rosjan. Im zawsze zależało, by siać u nas zamęt i napięcia

66 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
POLITYCZNE ZAPASY

68 LECH MAŻEWSKI
POZA UKRAINOFILIĄ

70 PAWEŁ CHMIELEWSKI
ŻONACI NA KSIĘŻY?

HISTORIA

72 RAFAŁ ŁATKA
SPRAWNY PRZYWÓDCA
Prymas Stefan Wyszyński jako kreator polskich biskupów

ŚWIAT

76 MACIEJ PIECZYŃSKI
„MORSKI DZIECIAK" KONTRA FLOTA CZARNOMORSKA
Flota Czarnomorska ponosi straty, wciąż jednak skutecznie blokuje Odessę i ostrzeliwuje rakietami całą Ukrainę

79 JACEK PRZYBYLSKI
WIĘZIEŃ NR P01135809?

EKONOMIA

84 JAKUB WOZINSKI
NIE TAK NISKIE ZADŁUŻENIE
Zadłużenie Polski w relacji do PKB wynosi zaledwie 48,1 proc. PKB, lecz wynik ten mocno zafałszowuje faktyczny stan rzeczy

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
MASA CZY KLASA
Popkultura i moda potrzebują siebie nawzajem

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
OSTATNIA PROSTA WYMĘCZONYCH WOJOWNIKÓW
Formalna kampania to tylko finisz wyczerpującego biegu, w którym nie było oddechu ani na moment

28 ROZMOWA Z PROF. HENRYKIEM DOMAŃSKIM
NIEPOTRZEBNE PROGRAMY

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
POD WŁASNYM CIĘŻAREM

32 TOMASZ ROWIŃSKI
EKSPORT NIEMIECKICH PROBLEMÓW

34 ZUZANNA DĄBROWSKA
PRZEDWCZESNA POPULARNOŚĆ

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
PILECKI. HISTORIA PRAWDZIWA
Otrzymaliśmy film pęknięty, ale wciąż jego zalety przeważają nad wadami

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

47 PRAWNA OCHRONA PRZED POLONOFOBIĄ
EDUKACJA W WALCE O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (75), PRZYBYLSKI (82), GABRYEL, WARZECHA (83), KOMUDA (93), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl c26aa5272a

KRYNICA FORUM 2023

13-15 września

empowering THE REGION

Najważniejsza konferencja tej jesieni – zapraszamy do Krynicy-Zdroju

- Debata Prezydenta RP Andrzeja Dudy i jego gości
- Forum Koreańsko-Polskie z udziałem premiera Korei i licznej delegacji z Seulu
- Prestiżowi mówcy z Ukrainy, Litwy i innych państw CEE
- Dyskusja ambasadorów m.in. Francji i Słowacji przy Kwaterze Głównej NATO
- Rozmowy przedsiębiorców i polityków o odbudowie Ukrainy
- Energetyka jądrowa, zbrojenia, bezpieczeństwo strategiczne
- +100 paneli z liderami polityki, gospodarki i nauki
- Koncert „Serce Europy" z orkiestrą i znakomitymi artystami
- Symultana szachowa z udziałem arcymistrzów FIDE
- Kup bilet na www.krynicaforum.pl

MAŁOPOLSKA

eprasa.pl c26aa5272a

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Olivier Hoslet/Anadolu Agency/Getty Images, Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Downsizing nasz powszedni", Tomasz Cukiernik, „DRz" nr 33/2023

Witam Szanowną Redakcję.
Właśnie skończyłem czytać artykuł pana Tomasza Cukiernika i do tej pory nie mogę wyjść z podziwu nad jego konkluzjami. Jakie to nasze państwo jest niedobre, spowodowało straszną inflację swoimi działaniami i biedni producenci muszą się imać różnych sztuczek, żeby utrzymać ceny na stałym poziomie.

Do wiadomości pana redaktora, to zjawisko, które opisuje, a którego ja angielską nazwą nie mam zamiaru się posługiwać, to żadna nowość. Występuje ono na polskim rynku już od kilku lat, a zaczęło się chyba od zmniejszania objętości tzw. małpek wśród alkoholi ze 100 ml do 90 ml. Nie można więc używać argumentu, że gwałtowny wzrost inflacji jest bezpośrednią przyczyną takiego stanu rzeczy.

Nie mam zamiaru bronić naszych władz państwowych, że nie przyczyniły się do wzrostu inflacji. Ale uczciwie trzeba przyznać, że nie są one całkowicie za inflację odpowiedzialne, ponieważ wystąpiło wiele czynników zewnętrznych, na które Polska jako państwo nie miała wpływu.

I cóż mają zrobić ci biedni producenci, skoro takie straszne państwo ciągle gniecie ich różnymi podatkami i daninami? Ponieważ nie mają ochoty dzielić się swoimi zyskami – wiem, wiem, zaraz usłyszę, że nie mają takiego obowiązku, to stosują właśnie tego typu wybiegi i przerzucają wszystkie swoje koszty na konsumentów. I wbrew temu, co pisze pan Tomasz Cukiernik, nie robią tego z pobudek altruistycznych i w trosce o dobro klienta. Na co dzień mam do czynienia z branżą spożywczą, więc wiem, o czym piszę.

Przestrogą przed takimi manewrami powinno być to, że dostatecznie zdegustowany klient przestanie kupować dany produkt, a to już będzie konkretna strata dla producenta.

I tak, uważam, że są to oszukańcze praktyki. Nie w sensie prawnym oczywiście, ale moralnym na pewno. Ale kto by się przejmował moralnością w dzisiejszych czasach?

Z poważaniem
Arkadiusz Chmielewski

Od autora

Szanowny Panie Arkadiuszu Chmielewski,
wmawia mi Pan, że w moim artykule napisałem coś, czego nie napisałem. Nie napisałem, że downsizing jest zjawiskiem nowym. Wręcz przeciwnie. Na początku tekstu wyraźnie stoi: „W ostatnim czasie zintensyfikowało się zjawisko downsizingu", z czego czytelnik dojdzie do wniosku, że istniało wcześniej. Jednak wcześniej downsizing był zjawiskiem marginalnym. Dopiero gwałtowny wzrost inflacji spowodował duże nasilenie się tego zjawiska. W artykule nie napisałem też, że producenci stosują downsizing z „pobudek altruistycznych i w trosce o dobro klienta". Mój rozmówca, ekonomista dr Łukasz Jasiński, adiunkt w Katedrze Polityki Gospodarczej i Regionalnej UMCS w Lublinie, wyjaśnia, że jest to pewnego rodzaju kalkulacja ze strony przedsiębiorców, aby nie zmniejszył się popyt na ich produkty. Doktor Jasiński tłumaczy też, skąd się bierze inflacja: „Zjawisko to pojawia się wtedy, kiedy system bankowy oparty na rezerwie cząstkowej wydrukuje za dużo pieniędzy i te pieniądze zaczną przenikać do sfery realnej".

Pozdrawiam
Tomasz Cukiernik

eprasa.pl c26aa5272a

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czaputowicz podejrzliwy

„Zbliżamy się do Białorusi" – ogłosił na antenie Radia TOK FM Jacek Czaputowicz, były szef MSZ w rządzie PiS w latach 2018–2020. Zapytany, czy weźmie udział w zaplanowanym równolegle do wyborów referendum 15 października, Czaputowicz wyznał, że niepokoi go, iż komisje wyborcze, które zgodnie z wykładnią PKW mają wydawać karty wyborcom zarówno do wyborów, jak i do referendum, będą odnotowywały sytuacje, w której wyborca odmówi udziału w referendum i nie weźmie karty referendalnej.

Jak wskazuje Czaputowicz: „Ten system został tak stworzony, by tych, którzy nie odbiorą karty, jakoś napiętnować". I dodał: „Według mnie jest to cofnięcie nas do czasów komunizmu, gdy Polacy obawiali się bojkotować wybory. Jest to też niestety złamanie zasady głosowania". I dalej: „Jeśli ludzie są zastraszeni i oddają głos tak, żeby się przypodobać i odnaleźć w danej sytuacji, to nie ma mowy o tajności. Fakt odmowy wzięcia karty będzie świadczył więc o tym, że dana osoba nie głosuje na PiS. I to jest piętnowanie i zaznaczenie osób przeciwnych władzy. A to może wpływać na wyniki referendum i na wynik wyborów – mówił Czaputowicz, przyrównując taką sytuację do sfałszowanych białoruskich wyborów prezydenckich.

Trudno przyjąć jego argumenty. Zgodnie z konstytucją referendum będzie wiążące, jeśli weźmie w nim więcej niż 50 proc. Polaków uprawnionych do głosowania. Ustawa mówi zaś jasno, że gdy referendum ogólnokrajowe odbywa się tego samego dnia co wybory do Sejmu i do Senatu, to przeprowadza się je na podstawie jednego spisu wyborców.

Czaputowicz sięga po często używane przez opozycję założenie, że komisje wyborcze są takim samym aparatem władzy jak np. podległe rządowi policja czy służby specjalne. Ale jest to po prostu nieprawda. Komisje powoływane są przez Państwową Komisję Wyborczą i opozycja współkontroluje działania komisji choćby przez tzw. mężów zaufania. Niszczenie zaufania do wspólnych instytucji jest niestety chorobą zimnej wojny polsko-polskiej, która zaczęła się po 2015 r. Skoro były szef MSZ jest dziś tak podejrzliwy wobec praktyki politycznej PiS, to co robił w rządzie Morawieckiego w latach 2018–2020?

Jacek Czaputowicz to postać obecna na polskiej scenie politycznej od czasu rewolucji Solidarności z lat 80. Ma bardzo ładną kartę opozycyjną. A teraz nagle zaczyna wieszczyć, że tryb wyborów może spowodować zanegowanie wyniku wyborów przez Brukselę. Przypominają się Kazimierz Marcinkiewicz czy Jarosław Gowin, którzy po odejściu z rządów PiS stawali się dyżurnymi krytykami Prawa i Sprawiedliwości. Takie nagłe odcinanie się od obozu, z którym było się związanym przez stosunkowo długi czas, zawsze budzi poważne wątpliwości. Można je zrozumieć, jeśli ostrzeżenia są wyważone i dobrze argumentowane. Natomiast teza, że komisja nie ma prawa odnotowywać, kto kartę wziął, a kto nie, buduje mentalność politycznej podejrzliwości. Ma ona uzasadnienie w wypadku Białorusi, tyle że dzisiejsza Polska Białorusią nie jest. I takiej elementarnej wiedzy można wymagać od byłego szefa polskiej dyplomacji. ©℗

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

GROŹNE ULEWY NAD POLSKĄ

Wyjątkowo intensywne opady deszczu sparaliżowały w ubiegłym tygodniu trasę S8 w Warszawie. Przejazd w obu kierunkach był zablokowany po tym, jak w ciągu kilku godzin w stolicy spadła połowa miesięcznej normy opadów. Na Mazowszu zalane były nie tylko drogi, lecz także chodniki i piwnice. Pogoda wyrządziła również szkody w innych częściach Polski, przez które przeszły burze, nawałnice z ulewami i gradobiciami oraz bardzo silnymi porywami wiatru. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Upokorzenie Romana

Pomijając inne aspekty kolejnego, po Michale Kołodziejczaku, personalnego kaprysu Tuska na listach wyborczych KO – stanowi on dobry przykład, jak „cnotę stracić, a rubla nie zarobić". Cokolwiek sądzić o Romanie Giertychu (osobiście zaliczam go do ludzi upadłych), w jego gorliwym akcesie do obozu lewicowo-liberalnego był, poza oczywistą chęcią zemsty na Jarosławie Kaczyńskim i szukaniem osobistych korzyści, pewien polityczny plan. Giertych miał dla tego obozu ofertę dobudowania do formacji lewicowo-liberalnej skrzydła „narodowo-katolickiego". On, Michał Kamiński, Radek Sikorski, do pewnego momentu Kazimierz Marcinkiewicz i patronujący całości Bronisław Komorowski, z polskim wąsem, szablami na ścianie i bigosem, mieliby być przy Tusku tym, czym było Stowarzyszenie Pax przy komunistach. Pozorem „szerokiego konsensusu narodowego", przykładem, że Europę i „praworządność" można popierać też z pozycji umiarkowanie tradycjonalistycznych.

Dlatego w parze ze wściekłym „antypisizmem" Giertycha nie poszła, do niedawna, wolta ideologiczna. Przeciwnie, poza pluciem na „Kaczora" i głoszeniem spiskowych teorii o jego sprawczej roli w polityce Putina wykorzystywał Giertych swoje wpływy w antypisowskiej „bańce", by niczym Kuroń płk. Lesiakowi perswadować im, że bez pseudopatriotycznego, „katolickiego" przekazu nigdy z PiS nie wygrają, że dryf opozycji ku agendzie skrajnie lewicowej to przepis na jej klęskę. Szczerze mówiąc, miał w tym rację.

Tyle że Tusk – czego nijak nie są w stanie przyjąć do wiadomości jego wyznawcy – nie marzy o rządzeniu prowincjonalną Polską, on chce, przede wszystkim, wrócić na europejskie salony. A w tym patronowanie neo-Komenderowi by mu szkodziło. Wziął więc Giertycha na listę wyłącznie jako internetowego trolla, przetrąciwszy go i zmusiwszy do deklaracji, że będzie głosować wraz ze skrajną lewicą, wbrew deklarowanym zawsze poglądom. I publicznie oznajmił jeszcze, że w sumie się nim brzydzi i traktuje jak, za przeproszeniem, kupę, którą wrzuca Kaczyńskiemu do studni. Czasem lepiej, gdy marzenia się nie spełniają. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Jak hartowała się Unia

Pięć lat temu przewodniczący Komisji Europejskiej, Jean-Claude Juncker, podzielił się w Parlamencie Europejskim sentymentalnymi wspomnieniami z młodości. „Jako młody człowiek – opowiadał – brałem udział w demonstracjach przed portugalskim konsulatem, domagając się zniesienia dyktatury w tym kraju. Po dziś dzień luksemburska policja szuka tego, kto rzucił wtedy kamieniem w okno konsulatu. Do tej pory go nie znaleźli. Tymczasem sprawca stoi przed wami!". Na to sympatyczne wspomnienie przewodniczącego Parlament zareagował gromkim wybuchem radości i aplauzem.

Nie słyszałem jednak, by którykolwiek z przywódców Unii Europejskiej kiedykolwiek chwalił się, że rzucał kamieniem w okna ambasad Związku Sowieckiego, Chin komunistycznych czy Kuby Castro. Tym bardziej nie słyszałem, by Parlament się z czegoś podobnego cieszył.

Ale cóż, Portugalia Salazara dała liberalnemu Zachodowi powody do kompleksów i niechęci. Kierując się katolickim uniwersalizmem, zbudowała wielorasowe społeczeństwo w czasach, gdy innym się to nie śniło. Pierwszą czarną gwiazdą europejskiego futbolu, pierwszym wybitnym czarnoskórym reprezentantem europejskiego kraju był Eusébio. Jego osobista historia dobrze obrazuje ówczesne społeczeństwo. Eusébio pochodził z „kresów". Jego ojcem był biały Angolczyk, matką – czarna Mozambijka. Takie rodziny nie były w ówczesnej Portugalii wyjątkiem.

Niedawno ukazała się książka znakomitego historyka iberysty, Bartosza Kaczorowskiego, „Wojna Salazara. Polityka zagraniczna Portugalii w okresie drugiej wojny światowej". To poruszająca historia nie tylko wkładu Nowego Państwa w zwycięstwo aliantów nad Niemcami, lecz także uporczywych prób ratowania niepodległości państw Europy Środkowej przez portugalską dyplomację czasów wojny. To musi boleć spadkobierców Jałty. ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

Wśród serdecznych przyjaciół...

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

We Francji były prezydent Nicolas Sarkozy wydał wspomnienia „Czas walki", w których bez żenady chełpi się, że wraz z Angelą Merkel w 2011 r. obalili Silvia Berlusconiego, a przy okazji greckiego premiera Jorgosa Papandreu. Siłą rzeczy mówi się o tym w Italii.

Pisze kogut francuski: „Musieliśmy poświęcić Papandreu i Berlusconiego, by powstrzymać tsunami kryzysu finansowego". A dalej tłumaczy, że zrobili to z miłości do narodu włoskiego, który musiałby własną krwawicą zapłacić za błędy polityki finansowej swego premiera. Po prawdzie chodziło o konflikt dwóch koncepcji: polityki zaciskania pasa, która skazywała włoską gospodarkę na uwiąd, a rząd na wyprzedaż majątku, z koncepcją otwarcia sakwy z pieniędzmi EBC i MFW. Jak opisywał Timothy Geithner, wówczas sekretarz skarbu USA, wysłannicy duetu Sarkozy-Merkel pojawili się w Waszyngtonie i namawiali Obamę, żeby uzależnił pożyczki MFW dla Włoch od rezygnacji Berlusconiego. Obama odmówił.

Obie lokomotywy unijne znalazły więc sojusznika w osobie prezydenta Włoch Giorgia Napolitano („Mój ulubiony komunista" – Henry Kissinger). Jak wyznał Mario Monti, Napolitano proponował mu stanowisko premiera już w czerwcu 2011 r. [za plecami urzędującego Berlusconiego i w sojuszu z „zagranicą", za co powinien stanąć przed Sądem Konstytucyjnym – przyp. P.K.]. Monti objął rządy pięć miesięcy później. Ostatecznie pogrążyła Berlusconiego Merkel, manipulując oprocentowaniem włoskich papierów dłużnych. Jednak niemiecka polityka zaciskania pasa poniosła klęskę kilka miesięcy później. EBC zaczął skupować państwowe obligacje jak szalony i dzięki temu Italia jeszcze dycha.

Oczywiście o tym, że tak się sprawy miały, mówiono i pisano w Italii od chwili rezygnacji Berlusconiego. Jednak teraz tę wyśmiewaną spiskową wersję wydarzeń potwierdził ich protagonista Sarkozy, skądinąd bardzo ciekawy facet, pomnik lojalności. Brał na swoją kampanię wyborczą grube miliony pod stołem od libijskiego kacyka Kaddafiego, a potem go napadł i obalił. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl c26aa5272a

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

DOPAŚĆ STANOWSKIEGO

Niedawno przez sieć przetoczyła się burza (a przez karierę walec) związana z Natalią Janoszek. Promowana w polskich mediach jako „gwiazda Bollywood" okazała się – dzięki dogłębnej analizie przeprowadzonej przez Krzysztofa Stanowskiego – co najwyżej gwiazdką drugiej kategorii. Natalii niby to nie ruszyło, na Instagramie wciąż pokazuje swoje luksusowe życie i zdobywane nagrody, ale jednak ego zostało zranione. Celebrytka nie tylko pozwała „Stana", lecz także chciała znaleźć i upublicznić oczerniające go materiały. Tak przynajmniej wynika z wypowiedzi Krzysztofa Rutkowskiego. – Janoszek zwróciła się do mnie z prośbą o pomoc. To było już po wybuchu tej całej afery. Chciała, żebym uderzył w Stanowskiego. Miała przyjechać do mnie i przekazać mi jakieś cenne informacje. Ale po tym, jak wyszło „Bollywoodzkie zero", chyba nie miała już ochoty się z nikim spotykać. Powiedziała mi tylko, że jest w szpitalu w bardzo ciężkim stanie. Nie dziwię się – stwierdził z przekąsem detektyw. – Ja sygnalizowałem: „Słuchajcie, to nie jest żadna gwiazda Bollywood. O czym wy w ogóle mówicie?". Ludzie, ona się cieszy, że uczestniczy w programie „Taniec z gwiazdami". Która bollywoodzka gwiazda by tak robiła? Gdyby to była prawda, to ona powinna być tutaj dopieszczona i noszona na rękach – dodał Rutkowski w rozmowie z portalem ShowNews.pl. Wszystko zakończyło się jednak na tej jednej rozmowie, ponieważ Natalia nigdy z nim się nie spotkała. – Ona już wiedziała, że jest na samym dnie show-biznesu. Sądzę, że jej rzekomy pobyt w szpitalu był raczej tarczą ochronną przed jakimikolwiek atakami na jej osobę. Moim zdaniem, jeżeli jest taką gwiazdą Bollywood, to nie powinna w ogóle trafiać do szpitala, tylko powinna polecieć do Bollywood i wziąć się za dalszą robotę. Tylko że tam jej nikt nie chce. Tam nikt jej nie zna. Ona nie ma przyszłości. Osoba z tyloma kłamstwami na koncie nie odnajdzie już siebie w show-biznesie. Ani jej nie odnajdą w show-biznesie – podsumował bezlitośnie detektyw z fryzurą o kształcie żywopłotu. Trudno się nie zgodzić, choć z drugiej strony dość zabawne, gdy tego rodzaju opinie wygłasza człowiek o nie najlepszej – delikatnie mówiąc – reputacji. Oto polski show-biznes.

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

BEZ CHARYZMY

Zmiany, zmiany, zmiany. W TVN. Jak informowałam w ubiegłym tygodniu, Julia Wieniawa zastąpi Małgorzatę Foremniak w fotelu jurora w show „Mam talent!". Sama Julia podkreśla, że to „odpowiedzialność", jednak nie wszyscy trzymają za nią kciuki. Po Wieniawie nieźle „przejechał się" dziennikarz i krytyk Robert Kozyra, który sam był kiedyś jurorem w programie „Mam talent!". – Jestem zdumiony decyzją TVN, by lubianą i utalentowaną aktorkę Małgorzatę Foremniak zastąpić drętwą pseudoaktorką i udającą piosenkarkę niezdolną Julią Wieniawą – powiedział w rozmowie z Plejadą. – Wieniawa nie ma refleksji co do własnych braków, [...] a ma oceniać innych, utalentowanych ludzi, którzy w dobrej wierze przychodzą do największego talent show w Polsce [...]. Co Wieniawa może powiedzieć im konstruktywnego o ich talencie? Julia Wieniawa w każdej roli jest drewniana, a jej śpiew to raczej próby trafienia cienkim głosem w dźwięk – stwierdził bezlitośnie. Na tym nie koniec. Kozyrze nie podoba się też angażowanie w kolejne projekty stacji Małgorzaty Rozenek-Majdan. – Pani Rozenek nie ma talentu do mediów „na żywo". Co innego nagrywany i montowany program, w którym reżyser mówi: „A teraz powiedz, Małgosiu, »oddaj perły«", a co innego program na żywo, w którym trzeba mieć osobowość, charyzmę, refleks i wdzięk. Program „Dzień dobry TVN" pokazał, że pani Rozenek tego nie ma – ocenił, dodając, że „perfekcyjna pani domu" ma za to „źle ustawiony głos i mówi z błędami, których nie popełniają ludzie z maturą". Sympatycznie, prawda?

HALA ODLOTÓW

„Przedwyborcze odmęty szaleństwa". Zofia Zborowska to jedna z tych celebrytek, które nie stronią od politycznych deklaracji. Podczas sesji pytań i odpowiedzi na Instagramie dała wyraz swojej niechęci wobec rządzących w dość dosadny sposób. Zborowska pytana, czy nie martwi się o moment, w którym jej córka będzie musiała pójść do szkoły „w obecnym formacie", odparła, że nie pośle dziecka do polskiej szkoły, jeśli ministrem będzie ktoś z nadania PiS. „Jeśli ten cymbał Czarnek (czy w sumie ktokolwiek z PiS) będzie nadal stał na czele polskiej edukacji, to na bank Nadzia nie pójdzie do polskiej szkoły" – stwierdziła gorzko. Chwilę później padła kolejna dramatyczna deklaracja. „Generalnie, jeśli PiS wygra, to będzie trzeba się stąd ewakuować" – zapowiada Zofia Zborowska. Jeden z internautów stwierdził, że „będzie głosować na PiS, bo nie widzi innej opcji". Tutaj miarka się przebrała. „Nie no, ludzie. Błagam. Serio tu są osoby, które nadal będą głosować na tych złodziei i cymbałów?! Konfederacja i PiS to jest najgorsza opcja dla kobiet OD LAT!" – oburzyła się aktorka. Dyktaturo, daj żyć! ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, niby wiadomo, iż beka z nazwisk świadczy o tym, kto się śmieje, no ale powiedzcie sami, jak my mamy być poważni, kiedy widzimy, iż w zespole Raków Częstochowa, który jest mistrzem tego kraju w piłce nożnej i w chwili, kiedy to piszemy, walczy o udział w lidze mistrzów, grają piłkarze o nazwiskach Cebula i Nowak.

No nic dziwnego, że to właśnie ten klub reprezentuje ten kraj w europejskiej piłce, bo nie da się mieć w składzie zawodników o bardziej polskich nazwiskach.

Trochę tylko współczujemy zachodnim komentatorom, którzy będą musieli walczyć z wymową polskich nazwisk. Cała nadzieja w tym, że postępowi Duńczycy nie dadzą sobie wydrzeć awansu i jednak nie będzie siary w chooy przed Europą.

Wogóle straszny wstyd będzie w tym pisowskim referendum. Już teraz wiadomo, iż Polacy nie zagłosują w taki sposób, jakiego oczekiwałyby Europa i nasze lokalne autorytety. Przyjrzyjmy się, kochani, pytaniom.

Jeśli chodzi o wiek emerytalny, to wiadomo, iż Polakom nie będzie się chciało dłużej pracować – a więc nie ma mowy o podniesieniu wieku emerytalnego do 67. roku życia. Tym samym nie będziemy podążać za europejskimi trendami, tylko leżeć na sami wiecie czym i czekać, aż państwo da emeryturę. Nic dziwnego, iż ludzie są przyzwyczajani do otrzymywania „500+" i kupowania za to alkoholu i papierosów.

Teraz zaś, jak słyszeliśmy, leki dla emerytów mają być za darmo. Więc na co te wcześniej otrzymane świadczenia będą wydawali? No pewnie dalej na alkohol, papierosy i być może zagraniczne wycieczki.

Kolejne pytanie brzmi: „Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?" – no to chyba wiadomo, iż przeciętny nastraszony przez pisowską propagandę Janusz z Niska nie zagłosuje na tak, bo się przestraszy, iż imigranci przedrą mu się do ojczyzny i ją zawłaszczą.

I choćby Agnieszka Holland nakręciła setki filmów o sytuacji na granicy, to przeciętne janusze nie dadzą się przekonać – przede wszystkim dlatego, iż nie chodzą do kina, a jak już chodzą, to nie na dzieła współczesnej polskiej kinematografii i nie dla Mai Ostaszewskiej, a na jakieś filmy o superbohaterach i heteronormatywne komedie romantyczne.

Stąd też nie mamy nadziei, iż odpowiedzi referendalne doprowadzą do zawalenia tego muru, a już tym bardziej nie zawalą murów wyrosłych w czarnych sercach mieszkańców tego kraju.

Wogóle to czujemy się trochę zawiedzeni formą ogłaszania tych referendalnych pytań. Zgodnie z pisowską estetyką tym, czego byśmy oczekiwali, byłoby uroczyste otwarcie kompanii referendalnej w Zakopanem na Krupówkach.

Na wielkiej scenie pytania odczytywałby Zenek Martyniuk, a wśród zgromadzonych widzów zostałaby przeprowadzona loteria umożliwiająca oddanie pierwszego honorowego głosu w referendum.

Widzowie TVP z kolei mogliby w konkursie audiotele wybrać dodatkowe piąte pytanie, np. „Czy popierasz likwidację państwa polskiego i wchłonięcie go w struktury Unii Europejskiej?", a potem można byłoby ogłosić, iż na 137 proc. głosujących aż 112 proc. głosowało przeciw.

I to byłby sukces na miarę możliwości! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Brutto czy netto?

Jarek, proszę cię, nie myl już więcej netto z brutto, bo nie nastarczymy kasy!
Ale to jest jakaś różnica, Mateusz?

No przecież jest! Osiem miliardów!
No popatrz. A przecież mówiłeś mi, że na wszystko wystarczy.

Niby tak, ale...
... i że ty się już o to zatroszczysz.

Owszem, ale...
... i że jeśli na coś nie wystarczy, to cię mogę zdymisjonować, ale że tego nie zrobię, bo na wszystko starczy. Więc ja cię pytam: Ten projekt „Garnek Plus", 600 zł miesięcznie dodatkowo na jedzenie dla każdej rodziny, co to go mamy ogłosić we wrześniu, to brutto czy netto?

Bru...
Spróbujmy jeszcze raz: brutto czy netto?

Ne... ne... netto. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jarosław Kaczyński powinien trafić do więzienia".

***LECH WAŁĘSA**, były prezydent, w wywiadzie dla dziennika „Financial Times"*

eprasa.pl c26aa5272a

dwaj panowie g

Witamy w świecie po armagedonie! Jarosław Hitchcock Kaczyński zaczął od trzęsienia ziemi, a potem napięcie rosło. Tak, chodzi nam o ogłoszenie list wyborczych Zjednoczonej Prawicy. Na początek ogłosimy, że nie zgadzamy się z większością komentarzy. Na przykład z tymi o rzezi morawiecczyków, zwanych przez mniej wydedukowanych w PiS „morawianami".

Otóż komentatorzy patrzą na jedynki. A tam jeno Piotr Müller i Janusz Cieszyński. Błąd. Trzeba patrzeć na całość list. A tam morawiecczycy reprezentowani są licznie na dalszych miejscach, niczym Suwerenna Polska. Michała Dworczyka w ogóle nie miało być na listach. A jest. Podobnie z innymi. Co irytuje starą gwardię na Nowogrodzkiej, bo jeszcze parę dni przed ogłoszeniem list zapewniała, że taki Cieszyński to po ich trupie.

Roszady na jedynkach sprawiły, że europoseł Tomasz Poręba rozpatruje scenariusz życiowy Tomasza Dudzińskiego. To znaczy niespodziewane pożegnanie się z polityką na dobre. Było tak: jeszcze do czwartku był jedynką w Rzeszowie. A już w piątek tą jedynką był Zizou Ziobro. No i Poręba stracił serce do polityki. Znaczy resztę serca, bo większość już wtedy, kiedy prezes nie był zadowolony z jego pracy jako szefa sztabu wyborczego.

Równie ciekawe jak nowe nazwiska na listach oraz nowe lokacje znanych jedynek są listy tych, którzy z list zniknęli albo znaleźli się w ich niezauważalnych częściach. Zgodnie z naszymi zapowiedziami niejeden minister czy wiceminister popadł w niełaskę. Ot, choćby Adam Niedzielski od zdrowia czy Piotr Wawrzyk, wiceszef MSZ. Nawet Tomasz Latos, baron bydgoski, odnotował zjazd.

Niektóre niespodziewane nominacje na jedynki mają głębokie uzasadnienie nieznane opinii publicznej. Więc wyjaśniamy. Lider listy w Toruniu, prof. Krzysztof Szczucki, znalazł się tam nie dlatego, że jest szefem Rządowego Centrum Legislacji, a naczelnik lubi profesorów, lecz dlatego, że to właśnie Szczucki jest osobą, która pisze nowy program Prawa i Sprawiedliwości. Ten, który lada dzień będzie ogłoszony.

Zwracamy też uwagę na to, że w odróżnieniu od Eine Totaloppoosition w PiS podjęto decyzję, by w kampanii parlamentarnej bardzo oszczędnie gospodarować znanymi popularnymi samorządowcami. Dlaczego? Otóż szeregowy nadpremier Kaczyński uważa, że bardziej przydadzą się w wyborach samorządowych. Szokujące, prawda? Czekamy teraz na rechot totalsów, podobny do tego, jaki towarzyszył decyzji o kandydowaniu naczelnika z Kielc.

Ciekawa rzecz, planowane wzmocnienie list znanymi postaciami z europarlamentu spełzło na niczym. Z chwalebnym wyjątkiem Zbigniewa Kuźmiuka. Obiegowa opinia głosi, że im się nie chciało albo strzelali focha, że chcą tylko jedynki. Prawda jest nieco inna. Wspólnym frontem przeciw europosłom wystąpiła armia lokalnych działaczy i kandydatów, którzy obawiali się, że europejczycy zgarną tyle głosów, że dla innych mało zostanie. Ostatecznie uznano, że lepszy w kampanii osobnik głodny awansu niż łaskawie zgadzający się na degradację. Czekamy teraz na rechot totalsów itd.

Los niektórych jedynek PiS będzie miał istotny wpływ na sytuację w innych miejscach. Na przykład Paweł Szrot jest jedynką w Bydgoszczu. Jeśli zasili ławy poselskie, to niejaki Masta, czyli Marcin Mastalerek, przestanie być szarą eminencją pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana, a zajmie miejsce Szrota jako nowy szef gabinetu Prezydenta RP. Czyli będzie eminencją pełną gębą.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W pałacu Andrzeja Sebastiana w ogóle rozglądają się za nowymi nazwiskami. Jedno z nich to najsłynniejszy polski ambasador Bartosz Cichocki widziany jako następca Marcina Przydacza w charakterze głównego machera od polityki zagranicznej w Kancelarii Prezydenta. Jest wszakże jeden warunek – Przydacz musi najpierw zostać posłem.

Ktoś może zapytać, skąd w ogóle pomysł z Cichockim, skoro miał po powrocie z placówki frontowej w Kijowie objąć funkcję ambasadora w Singapurze. Cóż, uznano, że dla takiego człowieka Singapur to miejsce zbyt skromne, i postanowiono mu znaleźć lepsze. Problem polega na tym, że Cichocki był ambasadorem spoza gmachu na Szucha, więc wraz z końcem ambasadorowania stał się bezrobotny. Mamy jednak nadzieję, że szybko zostanie zagospodarowany.

W PiS wstąpiła nowa nadzieja. Jeszcze miesiąc temu przebąkiwano o wejściu w koalicję już to z Konfederacją, już to z Peezelem. Ostatnie sondaże tchnęły jednak w partyjne szeregi nadzieję, że uda się zdobyć samodzielną większość. Ba, nawet rozpoczęły się przymiarki do foteli ministerialnych. My jednak pamiętamy starą zasadę, że kto wchodzi na konklawe jako papabile (znaczy potencjalny papież), zwykle wychodzi z niego jako zwykły kardynał.

Ktoś może zapytać, czy będą dziś jakieś żarciki z Eine Totalopposition. Będzie refleksja. Na koniec. Obejrzeliśmy słynne nagranie z imprezy Campus Polen Der Zukunft, na którym rozwścieczony totals krzyczał do Tuska, żeby tłumaczył się z Giertycha na listach. Oto refleksja. Pomyślcie: kiedyś za Giertycha musiał tłumaczyć się Kaczyński. Dzisiaj za Giertycha musi tłumaczyć się Tusk. A mimo to są tacy, który twierdzą, że Polska nie zmienia się na lepsze. ©℗

prasa.pl c7aaa5272a

TANI PARKING

WYGODNY DOJAZD

DARMOWY BUS

LOTNISKO WARSZAWA-RADOM

KOMFORT NA STARCIE

KOMFORTOWY DOJAZD I TANI PARKING

LEĆ NA RDO.WAW.PL

eprasa.pl c26aa5272a

Studencie IT!

Ulepsz aplikację mObywatel 2.0. i wygraj 50 tys. zł

Już 16–17 września we Wrocławiu odbędzie się hackathon mObywatel mHack, w którym za stworzenie nowej funkcji w aplikacji mObywatel można wygrać aż 50 tys. zł

Wydarzenie dedykowane jest studentom z całego kraju do 26. roku życia, którzy studiują na kierunkach IT lub innych z zakresu programowania. Zgłoszenia trwają do 13 września poprzez stronę www.mhack.pl.

USPRAWNIENIA APLIKACJI MOBYWATEL

Nowe rozwiązania, nad którymi będą pracować uczestnicy, mają za zadanie wzbogacić aplikację mObywatel 2.0. o funkcje przydatne obywatelom w codziennym użytkowaniu. Zaprojektowane ulepszenia mogą dotyczyć przykładowo m.in. informacji o natężeniu ruchu drogowego, asystenta planowania podróży lub porad w zakresie dbania o zdrowie i aktywność fizyczną. To jednak tylko propozycje, organizatorzy bowiem w żaden sposób nie ograniczają kreatywności uczestników.

Rozwiązania zaproponowane przez uczestników mogą dotyczyć także usprawnienia pewnych procesów zachodzących między obywatelami, jak np. funkcja asystenta przy sprzedaży nieruchomości. Najważniejsze jest to, by zaproponowane usprawnienia były kompatybilne z już istniejącą aplikacją mObywatel 2.0. Bazą do ich stworzenia będą otwarte dane ze źródeł publicznych, takich jak www.dane.gov.pl.

Organizator wydarzenia, którym jest Centralny Ośrodek Informatyki, czyli największa w kraju organizacja realizująca projekty IT dla sektora publicznego, jest otwarty na kreatywność, pomysłowość i nieszablonowe myślenie pasjonatów nowych technologii.

NAGRODY DLA NAJLEPSZYCH

Zwycięski zespół otrzyma 50 tys. zł oraz szansę na wdrożenie rozwiązania do aplikacji mObywatel 2.0.

Patronat honorowy nad wydarzeniem objął Minister Cyfryzacji Janusz Cieszyński, Rektor Politechniki Wrocławskiej prof. Arkadiusz Wójs i Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości. Za patronat medialny opowiada Akademickie Radio LUZ.

Więcej informacji znaleźć będzie można na stronie: www.mhack.pl.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl c26aa5272a

mObywatel 2.0

Ministerstwo Cyfryzacji

COI

Hackathon

16–17.09.2023

Atrakcyjne nagrody!

50 000 zł

Do podziału na wszystkich członków drużyny

mObywatel 2.0

Szansa na implementację zwycięskiego rozwiązania w aplikacji mObywatel 2.0

Już dziś zarejestruj się na **www.mhack.pl** →

eprasa.pl c26aa5272a

„Rzeczpospolita" w służbie Chaosu

Rafał A. Ziemkiewicz

Tuż przed wyborami jeden z najważniejszych dzienników w Polsce przejął fundusz będący własnością George'a Sorosa. Pieniądze tego miliardera pojawiają się wszędzie tam, gdzie coś jest niszczone: prawo, porządek publiczny czy wartości, na których opierają się cywilizacja i kultura

Przejęcie przez spółkę Pluralis B.V. pełnej kontroli nad dziennikiem „Rzeczpospolita", wciąż jednym z najbardziej opiniotwórczych w Polsce, półtora miesiąca przed wyborami nie mogłoby być rozpatrywane jako transakcja biznesowa nawet wtedy, gdyby wspomniana spółka była normalnym przedsiębiorstwem nastawionym na zysk i kierującym się dobrem akcjonariuszy. A tak przecież nie jest. Pluralis B.V., formalnie fundusz inwestycyjny z Holandii, to własność George'a Sorosa i jedno z narzędzi, za których pomocą prowadzi on od wielu dziesięcioleci działalność polityczną, wspierając usilnie to, co w wydanej niedawno książce Douglas Murray nazwał „wojną przeciwko Zachodowi": niszczenie wartości i zasad, na których zbudowana została cywilizacja europejska, w imię idących coraz dalej postulatów progresywistów, w ostatnich latach określanych zbiorczo jako „przebudzenie" – „woke".

Jeśli więc Soros przejmuje kolejne polskie medium (ma już spore udziały w Agorze, będącej właścicielem „Gazety Wyborczej" i TOK FM, oraz spółce Eurozet, kontrolującej Radio Zet – w tej ostatniej ma także osobny pakiet akcji jako SFS Ventures i według komentujących transakcję analityków giełdowych to on właśnie był inicjatorem i warunkiem skuteczności przejęcia radia), to z całą pewnością nie dlatego, że dostrzegł tu możliwość pomnożenia swoich zysków.

NIEZALEŻNOŚĆ POLSKICH MEDIÓW

Jedną z nielicznych dobrych stron tej transakcji jest to, że stanowi okazję do zwrócenia uwagi na problem niezależności polskich mediów. W chwili, gdy środowiska lewicowo-liberalne wznoszą nieustający, wyborczy jazgot o rzekomym zagrożeniu wolności przez „reżim" PiS, warto po raz kolejny przypomnieć, jaką politykę wobec wolnych mediów prowadził za swych rządów Donald Tusk. Historia „wyciśnięcia" ze spółki wydającej wówczas „Rzeczpospolitą" i tygodnik „Uważam Rze", najbardziej wpływowy w swoim segmencie rynku, brytyjskiego udziałowca, Mecomu, poprzez uporczywą obstrukcję i blokowanie przez rząd wszystkich decyzji spółki, jest jednym z najbardziej jaskrawych jej

FOT. SIMON DAWSON/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl c26aa5272a

przejawów – obok zapisanego na kelnerskich taśmach „załatwienia" u Angeli Merkel zmiany niewygodnego dla PO redaktora naczelnego „Faktu". Strategia paraliżowania spółki Presspublika przyniosła ostatecznie ludziom Tuska sukces: Brytyjczycy zgodzili się odsprzedać swój pakiet wskazanemu przez rząd biznesmenowi Grzegorzowi Hajdarowiczowi, który zresztą nie wyłożył na to ani grosza – zapłacił pieniędzmi Leszka Czarneckiego, zdemaskowanego swego czasu w „Rzeczpospolitej" jako były TW komunistycznej Służby Bezpieczeństwa, a udziały należące do Skarbu Państwa dostał na kredyt.

Ocena rządów Hajdarowicza w przejętej w ten sposób gazecie musi wypaść jednoznacznie: w krótkim czasie doprowadził do upadku „Uważam Rze", powierzywszy go ekipie związanego z Romanem Giertychem Jana Pińskiego (dziś już tylko jednego z antypisowskich hejterów w Internecie), podobnie zresztą doprowadził do bankructwa wykupiony równolegle z „Rzeczpospolitą" tygodnik „Przekrój".

Dziennik ostatecznie przetrącony został po publikacji o odkryciu na wraku tupolewa śladów trotylu (późniejsze zdarzenia potwierdziły, że informacja była prawdziwa), kiedy to po nocnych konsultacjach pod osiedlowym śmietnikiem ze swoim starym znajomym, a zarazem prawą ręką Tuska, Pawłem Grasiem, Hajdarowicz wyrzucił z hukiem ówczesnego redaktora naczelnego i autora publikacji.

Od tego momentu „Rzeczpospolita", przerzucana pomiędzy coraz to kolejnymi wyczarowywanymi przez Hajdarowicza spółkami i sprowadzana coraz bardziej do roli podkładki dla giełdowej żonglerki, podupadała. Pojawienie się Sorosa, szukającego okazji do rozbudowania swego medialnego imperium w Polsce i – jak ujął to kiedyś francuski tygodnik „Valeurs Actuelles" – „robienia bałaganu na świecie pod pozorem altruizmu, w czym Soros osiągnął mistrzostwo", było więc do przewidzenia.

O ile wrogie przejęcie „Rzeczpospolitej" przez pomagiera Tuska miało ograniczone cele – uniemożliwienie krytyki jego rządu i promowanie propagandowej agendy PO – o tyle po nowym właścicielu spodziewać się można znacznie dalej idących zamiarów. Oczywiście w nadchodzących wyborach „Rzeczpospolita" pozostanie tam, gdzie była, w obozie mediów lewicowo-liberalnych. Będzie kolportować zmyślenia spin doktorów PO, tak jak kolportowała wyssane z palca opowieści o wycinaniu przez PiS drzew, zamiarze zakazania edukacji seksualnej czy wyprzedawaniu polskich lasów Chińczykom. Będzie nadal udzielać łamów autorytetom uzasadniających kolejne personalne czy programowe fikołki „opozycji demokratycznej", zapewne też przyłączy się do kampanii mającej na celu przekonanie antypisowskiego elektoratu, by „nie marnował głosu" na mniejsze partie lewicowo-liberalne, tylko pozwolił im, jak jest to dziś celem Donalda Tuska, osunąć się pod próg wyborczy. Te wszystkie cele realizuje „Rzeczpospolita" od dawna, choć, przyznajmy, z większą dbałością o pozory niż „Gazeta Wyborcza" czy media koncernu Ringier Axel Springer. Do tego, aby redaktor naczelny dziennika musiał gęsto i w pokorze tłumaczyć się z nieopatrznego wydrukowania tekstu Jacka Kurskiego, żadna zmiana właścicielska nie była potrzebna.

O ile przejęcie „Rzeczpospolitej" przez pomagiera Tuska miało ograniczone cele, o tyle po nowym właścicielu spodziewać się można znacznie dalej idących zamiarów

WROGIE PRZEJĘCIA SOROSA

George Soros ma ambicje równie dalekowzroczne, jak projekty „globalnego resetu" i „nowego światowego porządku" snute na panelach i wykładach w Davos. Ten 90-letni miliarder rewolucjonista, który zresztą ostatnio zrezygnował z dotychczasowej aktywności, powierzając bieżące kierowanie swoim rewolucyjnym imperium synowi, zaczynający swą działalność jeszcze w czasach, gdy istniał Związek Sowiecki (dzięki czemu mógł swoją ideę „społeczeństwa otwartego" prezentować jako walkę ze złem komunizmu o demokrację, wolności obywatelskie i inne wartości zachodniej cywilizacji), służy wizji wielkiej przebudowy świata. Parafrazując słowa Stefana Żeromskiego, „ma odwagę Lenina" – a raczej Lenina, Mao Zedonga, Robespierre'a i innych burzycieli zastanego porządku razem wziętych. Różni się od nich tylko jednym: zamiast rewolucyjnej przemocy środkiem realizacji swych wielkich wizji uczynił pieniądze, jako pierwszy stosując w polityce na wielką skalę powszechny w wielkim biznesie mechanizm wykupu i „wrogiego przejęcia".

Wieloletnia działalność Sorosa nigdy oczywiście nie miała nic wspólnego z „filantropią", jak konsekwentnie wciska swym ofiarom do głów lewicowo-liberalna propaganda. Filantropia polega na finansowaniu żłobków, domów opieki lub jadłodajni dla bezdomnych, a nie mediów, ulicznych bojówek czy ośrodków ideologicznych, szkolących aktyw polityczny i szeregowych uczestników socjalistycznego „długiego marszu przez instytucje". Gdyby było inaczej, największym filantropem w nowożytnych dziejach musielibyśmy nazywać sowiecki KGB, który w czasach zimnej wojny wydał miliardy na finansowanie „ruchów pokojowych", „ekologów" i terrorystów w krajach kapitalistycznych. Uporczywe nazywanie Sorosa „miliarderem-filantropem" służy zakłamaniu rzeczywistego charakteru jego działalności; choć skądinąd używanie tego określenia pozwala łatwo wykryć media pozostające w takim czy innym związku z rozległą siecią fundacji, funduszy, firm i organizacji składających się na światową pajęczynę „społeczeństwa otwartego".

Tę pajęczynę można odkrywać, obserwować, wskazywać wzajemne powiązania i strumienie finansowe – powstało już wiele książek demaskujących sposób amerykańskiego działania Lenina Finansów, choć zapewne ich autorom i tak nie udało się odkryć wszystkiego. Świat finansów i powiązań między korporacjami jest coraz mniej przenikliwy nawet dla wyspecjalizowanych w nim dziennikarzy, i to nawet bez sięgania przez korporacje po tak wyrafinowane sposoby maskowania przepływów jak szkockie „spółki partnerskie z o.o." czy szwajcarskie

eprasa.pl c26aa5272a

spółki akcyjne z akcjami nieimiennymi, „na okaziciela" (zainteresowani znajdą wiele ciekawych informacji o tych sprawach w „Krainie szmalu" i „Kamerdynerze świata" Bullougha oraz „Świecie na sprzedaż" Blasa i Farchy'ego). Coś niecoś o wpływie pieniędzy Sorosa na współczesny Zachód mówi nam jednak autentyczna panika, którą zareagowała zachodnioeuropejska lewica na deklarację Sorosa juniora, że zmniejszy jej finansowanie w UE, przenosząc środki na wschód.

Jeszcze trudniejsze niż wypruwanie spod przykrycia firm krzaków, spółek celowych i innych korporacyjnych przykrywek nici Sorosowskiej pajęczyny, snutej od dziesięcioleci, jest odkrycie, czym właściwie jest idea „społeczeństwa otwartego". To paradoks niechętnie zauważany zarówno przez zwolenników Sorosa, jak i jego chwalców. Cały ten ogromny wysiłek organizacyjny i niepodobnie jak kolejne dowody gigantycznej korupcji w innych organach wspólnotowych. W istocie, jak to ujęto w „Valeurs Actuelles", jedynym wspólnym mianownikiem progresywnych działań Sorosa jest „robienie bałaganu w świecie". Pieniądze Sorosa pojawiają się wszędzie tam, gdzie coś jest niszczone: prawo, porządek publiczny czy wartości, na których opierają się cywilizacja i kultura, tak fundamentalne, jak podział na „jin" i „jang", na pierwiastek męski i żeński.

Co ma się z tego zniszczenia, prowadzonego, jak wszystkie rewolucje, pod pozorem „obrony" czy „wyzwolenia", wyłonić? Tego ani Open Society, ani żadna z jaczejek Sorosa nigdy w żadnych swych oficjalnych dokumentach nie próbowała projektować. Aby czegoś się o tym dowiedzieć, musimy odwołać się do dorobku globalistów z Davos, z Klausem Schwabem i jego ideologiem, Yuvalem Hararim, na czele.

To nowość w dziejach świata – podbój i narzucenie totalitarnej ideologii nie poprzez przemoc, ale w drodze „wrogiego przejęcia" i wykorzystania przewagi finansowej

przeliczone pieniądze służą promowaniu – nie wiadomo czego właściwie. Pieniądze Sorosa pojawiały się i pojawiają zarówno u feministek, jak i u stanowiących dziś ich najzagorzalszych wrogów „transów", finansuje on przemocowe działania w rodzaju podpalających amerykańskie miasta antify i BLM oraz ruchy pokojowe głoszące filozofię „non-violence", daje pieniądze na LGBTQIA+, na „ratowanie planety", na antyglobalizm, na zwalczanie energetyki jądrowej, na „gender", „depopulację", agresywny weganizm i wszelkie inne działania „woke". Jednak nigdy nie przedstawił, wzorem dawnych Leninów i Mao, żadnej wizji „pozytywnej", jak też jego „nowy wspaniały świat" miałby być urządzony.

Nie przypadkiem sięgam po cytat z francuskiego tygodnika – pochodzący, nawiasem mówiąc, z publikacji z lutego 2020 r., w której ujawniono powiązania z pajęczyną Sorosa licznych sędziów TSUE i ETPC, która to publikacja powinna wstrząsnąć Unią Europejską, a pozostała bez żadnych praktycznych skutków,

Drugim wielkim kłamstwem w prezentowaniu w mediach George'a Sorosa, obok nazywania go „filantropem", jest przypisywanie mu motywacji związanych ze „sprawiedliwością społeczną". Jest to doprawdy wzruszający absurd: spekulant finansowy, który majątek zawdzięcza, z natury swej działalności, bezprzykładnej chciwości, pazerności i bezwzględności wobec losu milionów, które jego spekulacje wtrącały w nędzę, oto nagle rozdaje pieniądze bez nadziei zysku, po prostu z czułego serca.

Dobrze, przypuśćmy – ale przecież Soros jest częścią świata podobnych sobie miliarderów, jego interesy są ściśle związane z interesami ludzi mu podobnych. Czy naprawdę ktokolwiek jest tak naiwny, by sądzić, że cała światowa plutokracja, wszystkie przysłowiowe rekiny finansjery i wilki z Wall Street, tolerowałyby i hołubiły w swych szeregach Sorosa, gdyby z jakichś ekscentrycznych powodów prowadził on działalność uderzającą w ich świat, realnie wspierającą bunt mas, które chcą „zjadać bogatych" i zmusić ich do podzielenia się swymi skarbami z głodującymi?

BOGACI MAJĄ INTERES

Pismo Święte każe oceniać „po owocach". Otóż owocem rewolucji wypromowanej przez Sorosa i wielu innych, mniej znanych, a podobnych mu sponsorów jest całkowite unieszkodliwienie zagrożeń, które mogły nieść światowej oligarchii i wielkim korporacjom ruchy antyglobalistyczne i inne bunty społeczne. Nikt nie chce już obciążać oligarchów „podatkiem Tobina", nikt nie chce „okupować" Wall Street. Prawa kobiet zostały strollowane i unieważnione przez prawa „osób trans", gorliwie tropiących i niszczących „terfizm" dawnego feminizmu, troska o środowisko naturalne została zagłuszona histerią klimatyczną, na której bogacze bogacą się w niespotykanym dotąd tempie, będąc jednocześnie bezpieczni, że nikt nie wypomni im niszczenia rabunkową eksploatacją niezbędnych dla „ekologicznych" technologii surowców całych państw, społeczności i kontynentów.

W świetnej książce „The coming of neo-feudalism" Joel Kotkin poświęca cały rozdział dowodzeniu punkt po punkcie, że każdy z punktów agendy „woke", od „trzecich toalet" i „parytetów" do „polityki klimatycznej", w ten lub inny sposób działa na korzyść wielkich korporacji i bogaci najbogatszych. Wszystko, co nie jest dla nich korzystne, jak np. wspomniana wcześniej idea podatku Tobina, zniknęło z debaty publicznej. Nie dlatego, żeby głosicieli tych idei aresztowano czy zastraszono – po prostu, nie mając finansowego wsparcia, zostali zagłuszeni i zmarginalizowani przez „woke", futrowane miliardami Sorosa i innych.

To nowość w dziejach świata – podbój i narzucenie totalitarnej ideologii nie poprzez przemoc, ale w drodze „wrogiego przejęcia" i wykorzystania przewagi finansowej. Soros jest tu oczywiście tylko symbolem, najbardziej znanym z dokonujących tej operacji, ale rozmach jego działalności, w której przejmowanie polskich mediów i włączanie ich w orkiestrę światowej rewolucji jest tylko drobnym ułamkiem, zapewni mu miejsce w przyszłych podręcznikach historii. Nie będzie to miejsce wśród filantropów ani w ogóle ludzi godnych szacunku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Kto naprawdę kupił „Rzeczpospolitą”

Pakiet kontrolny w firmie wydającej „Rzeczpospolitą” kupiła holenderska spółka Pluralis B.V. FOT. M. SZYMAŃSKI/ADOBE STOCK

Wojciech Golonka

Po ośmiu latach deklarowania przez prawicę „repolonizacji mediów” jeden z najważniejszych dzienników nad Wisłą przeszedł w obce ręce. Czyje?

Przejrzenie misji, kompozycji i wątków kadrowych holenderskiego podmiotu Pluralis B.V., który przejął właśnie pakiet kontrolny w spółce wydawcy „Rzeczpospolitej” Gremi Media, pozwala nakreślić dość wyraźną mapę wpływów ideowo-finansowych nowego faktycznego właściciela jednego z głównych opiniotwórczych dzienników w Polsce. Oficjalne komunikaty i deklaracje „wartości” przedstawiają tę głośną transakcję jako neutralną merytorycznie, szanującą niezależność redakcji, mającą natomiast za cel wesprzeć niezależne medium w Polsce. Nie bardzo wiadomo, czym niezależność „Rz” miała być w ostatnich latach zagrożona – w przeciwieństwie do np. „Gazety Wyborczej” i wydającej ją Agory nie słychać było głosów o jej problemach finansowych.

Spółka Pluralis jest świeżutkim tworem zrzeszającym belgijsko-niderlandzką magnaterię prasową, wiodącą belgijską organizację pozarządową oraz fundusz inwestycyjny imperium Sorosów, zarządzanym przez ludzi silnie związanych (i mocno dotowanych) właśnie przez sieć Fundacji na rzecz społeczeństwa otwartego George’a Sorosa. I jest ona tworem powstałym oficjalnie celem zapobiegania „orbánizacji” mediów w Europie Środkowej.

Ten oficjalny wątek ideowy przytacza w swoisty sposób na swej stronie internetowej Ekonomiczny Fundusz Sorosa na rzecz rozwoju (Soros Economic Developement Fund – dalej: SEDF), tłumacząc swe zaangażowanie kapitałowe w Pluralis: „Od 2005 r. niezależne media w Europie spotykają się z rosnącym zagrożeniem koncentracji kapitału w rękach polityków i politycznie ułożonych oligarchów. Kryzys finansowy pod koniec lat 2000. oraz technologia

eprasa.pl c26aa5272a

mediów społecznościowych zakłóciły tradycyjne modele funkcjonowania mediów i ułatwiły bogatym oligarchom oraz rządom kupowanie spółek informacyjnych. Wiele rządów zmieniło swe środowisko regulacyjne, by narzucić więcej kontroli informacji, a wykorzystanie funduszów państwowych do finansowania mediów doprowadziło do zaburzenia niezależności mediów. To wrogie środowisko doprowadziło z kolei do odpływu zagranicznych właścicieli mediów w regionie, tworząc próżnię, która została w dużej mierze wypełniona przez polityczne interesy".

OSŁONA ZAGRANICZNEGO KAPITAŁU

To publiczne określenie problematyki przez Sorosowy fundusz – niezależnie na ile akuratne, a na ile karykaturalne – jest niezmiernie przydatne, odsłania bowiem między wierszami bodajże najistotniejszy cel powołanej do życia spółki: ochronę zagranicznego kapitału medialnego w krajach byłego bloku komunistycznego, onegdaj ochoczo doinwestowanych, ale i wasalizowanych, by nie powiedzieć: kolonizowanych, właśnie za pośrednictwem tegoż obcego kapitału. Tyle moja egzegeza, oficjalnie zaś, cytując za tym samym źródłem: „Celem Pluralisa jest ochrona krwiobiegu europejskiej demokracji – niezależnej informacji – i stworzenie bariery dla wzrastającego zagrożenia niezależności mediów. Fundusz inwestuje w europejskie spółki informacyjne zapewniające niezależne i jakościowe dziennikarstwo, którego właściciele są celem lub w niebezpieczeństwie stania się celem [sic!] ze strony rządu lub grup interesów, które chcą naruszyć niezależność prasy na rzecz prywatnych bądź politycznych interesów. Zapewniając kapitał bez redakcyjnej smyczy czy aportu merytorycznego, Pluralis wzmacnia rozwój spółek i skuteczność przy jednoczesnym zachowaniu niezależności działania".

Po kolei zatem: ochrona europejskiej demokracji. Ale czy takowa w ogóle istnieje? Jak wiadomo, realne władze Unii Europejskiej nie są wybierane w jednym powszechnym głosowaniu ani nie są pochodną takich wyborów, stąd cel to słodki mit, wabik.

Dalej, drugi cel – ochrona prasy przed wpływami grup interesów i wpływów politycznych – to piękna bajka dla dorosłych dzieci wierzących, że prasa nie była i nie jest narzędziem wpływu. Przypomnę, co w tej kwestii pisał 100 lat temu pewien zawodowy dziennikarz z londyńskiej Fleet Street (owszem, z właściwą sobie emfazą), bo zjawisko zwane plutokracją jakoś dziwnie nie zaczęło się w roku Pańskim 2005: „Prasa nie jest organem opinii publicznej. Jest spiskiem kilku bardzo nielicznych milionerów. Czytelnik otrzymuje wszystkie swe informacje polityczne, jak i polityczne rozkazy dnia, z tego, co obecnie jest na wpół świadomym siebie tajnym stowarzyszeniem, z bardzo nielicznymi członkami, ale z wielką ilością pieniędzy". Za chwilę zobaczymy, że obecnie być może nawet nie chodzi o wpółświadome tajne stowarzyszenia, kiedy pojawiają się powiązania do stowarzyszeń w pełni tajnych. W swej autobiografii Chesterton, bo o niego chodzi, puentował, znów z emfazą popychającą do przebudzenia z letargu: „Poczciwy ideowiec mówił, co mu się podobało, i umierał; za to czysty snob czy skarżypyta pisał, co miał pisać, i żył, jeśli można nazwać to życiem [...], monopol prasowy nie był jeszcze na tyle jednolity, aby dziennikarze nie mieli wyboru swego pana, choć był to już wybór tyrana".

Grzegorz Hajdarowicz potrzebował kapitału na inne, bardziej priorytetowe dla niego inwestycje

Jeśli zatem oficjalnym celem Pluralisa jest walka z plutokracją w Europie (pomijając podstawowe pytanie, na ile sam Pluralis jest kapitałem plutokratycznym), to mówię krótko: powodzenia! Wróćmy jednak do konkretnych okoliczności: nie przeczę, że w przypadku postkomunistycznych mediów na Węgrzech, przewertowanych na niemiecki kapitał, nie wyleczono dżumy swego rodzaju cholerą w postaci twardego powiązania ich z obozem władzy (cholerą, która w przypadku zachodnich mediów jest w mniej ostrej formie chorobą pospolitą; współpracując z rodzimymi „oligarchami", Orbán miał się na kim wzorować).

Nie neguję, że w przypadku Polski „repolonizacja" grupy Polska Press oznaczała w praktyce, owszem, odkupienie jej od niemieckiego kapitału, ale przez spółkę Skarbu Państwa, co zawsze będzie rodzić pytanie o niezależność tej części prasy względem siły politycznej w danej chwili u władzy, mimo najbardziej lukrowanych deklaracji deontologicznych. Jednak czy w Polsce obcy kapitał medialny jest jako taki zagrożony? Jeśli próby koniecznego uregulowania obecności i zasad funkcjonowania obcego kapitału w niezmiernie wrażliwym obszarze, jakim jest sfera medialna, nie były robione przez Zjednoczoną Prawicę na pokaz, to spełzły na niczym. I w ogóle takie próby zawsze skończą się fiaskiem, niezależnie od podsycanej histerii o (rzekomo) „wolne media", dopóty, dopóki miłościwie nam panujący będą żywić kompleks niższości względem Repninów, czy to z amerykańskiej, czy z innej ambasady. Innymi słowy: obcy kapitał medialny ma u nas dobrze. A w dodatku czy ktoś zagrażał „niezależności" „Rz" tak, że słynący ze swej neutralności dobry wujek George musiał ją ratować swym dobrotliwym kapitałem dla dobra „europejskiej demokracji"?

Rzeczywiste przyczyny bywają bardzo prozaiczne: z doniesień medialnych wynika, że właściciel „Rz", Grzegorz Hajdarowicz, potrzebował kapitału na inne, bardziej priorytetowe i prawdopodobnie bardziej lukratywne dla niego inwestycje. Plotki o rozmowach na temat zakupu jego spółki wydawniczej Gremi Media przez spółki Skarbu Państwa (PKN Orlen, PZU) zostały przez nie zdementowane. Jeszcze w lipcu 2021 r. Hajdarowicz, szukając nabywcy, mówił nawet dialektem „repolonizacji mediów": „Media, w których posiadacz pakietu większościowego ma polski paszport, to chyba jest jakaś wartość, bo zbyt wielu w naszym kraju ich nie ma. A budowa mediów od podstaw to potężne nakłady i ogromne ryzyka gospodarcze. Lepiej bronić tego, co mamy, niż zostać z niczym za chwilę".

Czy nie znalazł zatem rodzimego nabywcy z odpowiednią sumą? A może nie znalazł rodzimego nabywcy z odpowiednią sumą i o podobnym stopniu zażyłości kontaktów z politykami z obozu opozycji? To nieco retoryczne pytania i dobry moment przyjrzenia się strukturze spółki, która dokonała przejęcia „Rz". Rzecz jest

eprasa.pl c26aa5272a

dość zawiła i mało transparentna, jeśli chodzi o dane, ale myślę, że warto zagłębić się w te szczegóły stanowiące ważną charakterystykę nowego właściciela „Rz".

KTO KUPIŁ?

Pluralis został zarejestrowany w Holandii w 2017 r., z siedzibą w biurowcu amsterdamskiego dziennika „NRC", z kapitałem zakładowym 100 euro (dane finansowe podaję za Arkuszem informacyjnym spółki w związku emisją obligacji przez spółkę w 2023 r.; administracyjno-kadrowe – za bieżącym wyciągiem z holenderskiej Izby Handlowej; udziałowe – za dostępnymi na stronie słowackiego ministerstwa sprawiedliwości danymi z 2022 r., w związku z zakupem udziałów słowackiej spółki wydawniczej Petit Press przez Pluralis).

Spółka pierwotnie miała inną, mniej pluralistyczną, a o wiele bardziej Sorosową nazwę – MDIF Media Finance II. Jej oficjalnym numerem kontaktowym jest zresztą wciąż numer telefonu funduszu MDIF w Nowym Jorku. Spółka nie zatrudnia w Holandii pracowników.

W jaki sposób podobny twór stał się konsorcjum zdolnym przejąć jeden z najbardziej wpływowych dzienników w Polsce? Pluralis, którego zarząd stanowi MDIF – nowojorski fundusz inwestycyjny na rzecz rozwoju mediów – został dokapitalizowany w 2021 r. przez swych udziałowców, wśród których trzech najważniejszych to belgijska Fundacja Króla Baldwina (29,66 proc. udziałów), belgijskie konsorcjum medialne Mediahuis (26,46 proc.) oraz wspomniany już Sorosowy fundusz SEDF (18,14 proc.).

Czym jest ów nieco tajemniczy MDIF? Fundusz ten został założony w połowie lat 90. przez dwóch dziennikarzy, przy wsparciu pół miliona dolarów ze strony George'a Sorosa. Dziś wśród jego fundatorów i inwestorów wymieniani są właśnie Fundacja Króla Baldwina, Mediahuis i SEDF, a także – i zwłaszcza – główne dzieło Sorosowego imperium – sieć fundacji na rzecz społeczeństwa otwartego (Open Society Foundations – OSF), które należałoby wręcz określić inwestorem strategicznym MDIF, co zostało zresztą wyrażone wprost w zeznaniach podatkowych funduszu z 2011 r., z dodatkową wzmianką „dla klarowności", że OSF (wówczas OSI) pokrywa wszystkie pensje amerykańskich pracowników MDIF (w późniejszych latach mowa o pokryciu tychże pensji przez „podobne" organizacje).

Pluralis został zarejestrowany w Holandii w 2017 r. z kapitałem zakładowym wynoszącym 100 euro

Na czele MDIF stoi człowiek George'a Sorosa Harlan Mandel, ongiś zastępca głównego radcy prawnego OSI, skąd przeszedł prosto do MDIF. Dziś jest również w radzie nadzorczej Gremi Media.

BELGIJSKI ŁĄCZNIK

W jaki sposób te Sorosowe fundusze połączyły w Pluralisie siły z belgijską fundacją i flamandzkim konsorcjum medialnym? Łączącym ogniwem zdaje się Thomas Leysen, belgijski biznesmen, prezes rady nadzorczej (i pokaźny udziałowiec) właśnie konsorcjum medialnego Mediahuis, a także do 2022 r. przewodniczący rady nadzorczej Fundacji Króla Baldwina, powiązany również z innymi mniejszymi podmiotami kapitałowymi wchodzącymi w skład Pluralis.

Ten człowiek orkiestra jest również członkiem sławnej nie sławnej Komisji Trójstronnej oraz zasiada w komitecie sterującym Grupy Bilderberga… To ciekawy fakt, gdy mowa o plutokracji, a przede wszystkim, gdy ktoś mówi o roli niezależnych mediów w obronie demokracji europejskiej. Światowy magnat prasowy inwestujący w „niezależne" i „rzetelne" media w Polsce jest jednocześnie członkiem jawnie tajnych organizacji o charakterze politycznym i geopolitycznym, unikających jak ognia transparentności przed autentycznie niezależnymi dziennikarzami (w przypadku Leysena chodzi o fakt dosłowny, uwieńczony przez dziennikarza Josha Friedmana).

W jaki sposób Pluralis obrał „Rz" za cel swej transakcji? Pomijając możliwe kontakty, rokowania itd., pamiętajmy, że George Soros już zainwestował w media w Polsce w postaci Agory i Eurozetu (nadawca TOK FM i Radia Zet), dyrektorem programowym dla inwestycji MDIF w Europie jest zaś Marcin Gadziński, związany 20 lat zawodowo z Agorą, ongiś dyrektor zarządzający portalem Gazeta.pl.

W końcu ostatni ważny w charakterystyce dzieła element. W jaki sposób Pluralis sfinansował zakup pakietu kontrolnego w spółce wydawcy „Rz"? Oprócz kapitału własnego, we współpracy z „socjalno-ekologicznym" bankiem GLS i samym MDIF, Pluralis wyemitował w Niemczech obligacje „na rzecz pluralizmu medialnego w Europie" na łączną kwotę 5 mln euro, wabiąc prywatnych inwestorów, w tym niemieckie firmy, pięcioprocentowym zyskiem, ale przede wszystkim poczuciem misji (kto wie, być może nawet poczuciem historycznej misji narodu niemieckiego w Mitteleuropie…).

Cytuję za stroną MDIF: „Obligacje Pluralis Media umożliwiają ludziom w Niemczech, od inwestorów po fundacje i firmy, inwestować w nowe firmy, które zapewniają niezależne i jakościowe dziennikarstwo w krajach Środkowej, Wschodniej i Południowo-Wschodniej Europy, gdzie pluralizm mediów jest zagrożony". Zero zbieżności z pruskim testamentem politycznym Wielkiego Elektora względem Rzeczypospolitej, jedynie drobne, przypadkowe reminiscencje…

W tych ciekawych nowych okolicznościach redaktor naczelny „Rz" Bogusław Chrabota ufa, że nowy właściciel zachowa neutralność merytoryczną względem redakcji. Mnie, obok króla Prus, przypomina się jeszcze młody Alexander, który przejąwszy schedę w imperium po ojcu George'u, oznajmił na łamach „The Wall Street Journal", że o wiele bardziej niż ojciec będzie angażował się w politykę. W tym celu najwyraźniej OSF rezygnuje z działalności trzeciego sektora w naszej części Europy, obierając adekwatniejszy do wywierania wpływów politycznych środek, którym jest medialny rząd dusz. Ma do tego sojuszników operacyjnych – kapitał z Beneluksu, tamtejszą magnaterię prasową, wyśmienite koneksje w tajnych organizacjach globalistycznych oraz – wisienka na torcie – pospolite ruszenie narodu niemieckiego na rzecz obrony wolnych mediów w Polsce.

W ogóle się temu nie dziwię. Jednak jak to się ma do ośmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy i celu w postaci „repolonizacji mediów"? O święta niemożności, jedyna nietykalna w naszym kraju świętości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Piotr Motyka

Sieć Sorosa idzie na bitwę o Warszawę?

George Soros przekazał władzę na rzecz syna Alexandra Sorosa. Nie oznacza to jednak, że miliarder nie będzie chciał wpływać na losy świata. Węgierski dziennik „Magyar Nemzet" przestrzega Polskę, że sieć Sorosa chce wpłynąć na wybory w Polsce. Czy rzeczywiście?

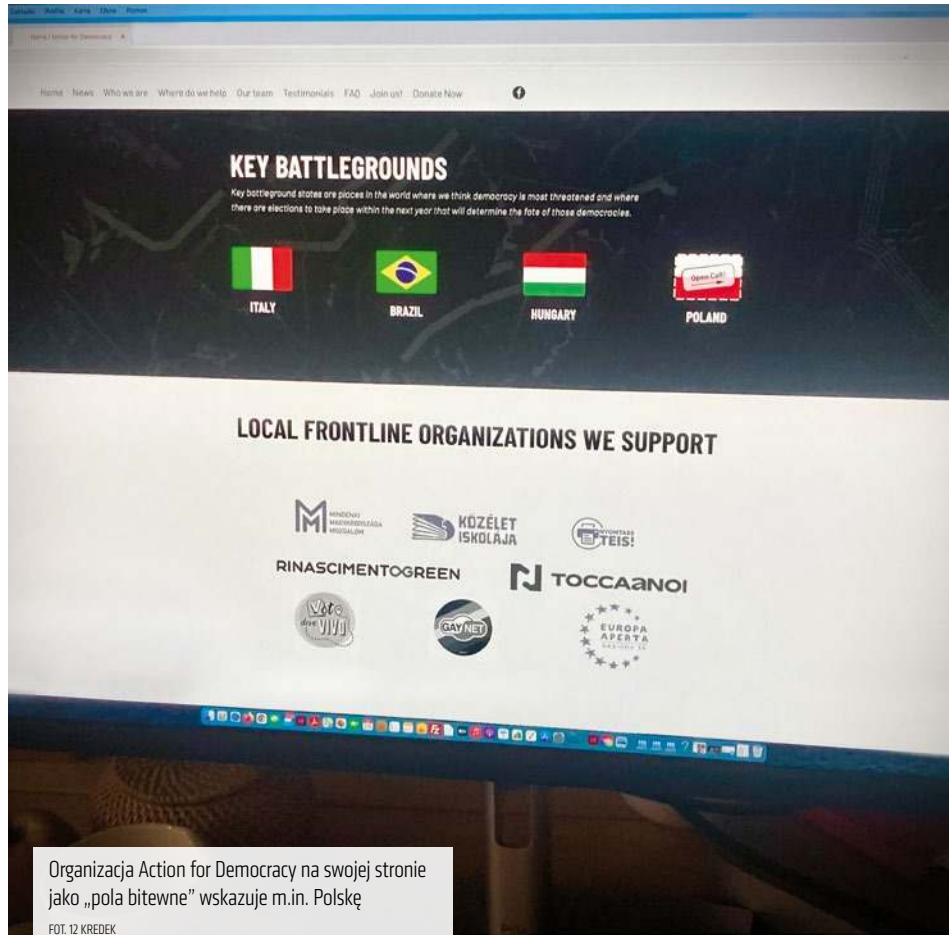

Organizacja Action for Democracy na swojej stronie jako „pola bitewne" wskazuje m.in. Polskę

FOT. 12 KREDEK

W swoim artykule „Sieć Sorosa przygotowuje się na bitwę warszawską" („A varsói csatára készül a Soros-hálózat") węgierska redakcja podkreśla, że światowe kręgi globalistyczne chcą zapewnić znaczne środki finansowe, aby wpłynąć na polskie wybory i zmienić obecny rząd. Świadczyć może o tym oferta ogłoszona jakiś czas temu przez amerykańską organizację Action for Democracy (A4D). Jej kierownikiem jest Dávid Korányi – Węgier związany z siecią Sorosa, były doradca nadburmistrza Budapesztu, Gergelya Karácsonya, którego nazwisko pojawia się też w kontekście wspierania węgierskiej „totalnej opozycji" w czasie wyborów parlamentarnych na Węgrzech w ubiegłym roku. Globaliści chcą zmienić rząd w Warszawie na taki, który będzie całkowicie odpowiadać ich optyce.

AKCJA DLA DEMOKRACJI?

Action for Democracy, powołując się na dane innej organizacji – Freedom House – którą postrzega się również jako związaną z Sorosem, załamuje ręce nad stanem światowej demokracji, twierdząc, że obecnie system demokratyczny obecny jest jedynie w 45,7 proc. spośród państw świata, systemy autorytarne zaś w 54,3 proc. To dlatego uważa, że jej misją jest „aktywizacja siły obywateli i zbudowanie globalnego prodemokratycznego ruchu solidarnościowego, zaangażowanego w promowanie demokratycznych wartości i instytucji oraz przeciwstawianie się rosnącemu zagrożeniu autokracją na całym świecie".

Założona przed ubiegłorocznymi węgierskimi wyborami parlamentarnymi organizacja stwierdza w swoim raporcie, że „zeszły rok był rokiem egzystencjalnego kryzysu demokracji na całym świecie. Zbliżająca się recesja, nierozwiązany kryzys energetyczny, zbliżająca się katastrofa klimatyczna i wybuch najbardziej niszczycielskiego konfliktu w Europie od czasów drugiej wojny światowej postawiły egzystencjalne wyzwania przed demokratycznymi społeczeństwami, a zaufanie do demokratycznej polityki, polityków i instytucji jest na najniższym poziomie w historii".

W swoim emocjonalnym przesłaniu twierdzi także, że „siły antydemokratycz-

eprasa.pl c26aa5272a

ne maszerują na całym świecie. Od szturmu na stolicę w USA, przez rasistowskie przemówienie przywódcy Węgier, nawiązujące do nazistowskiej retoryki, ataki na polskie sądownictwo, oblężenia instytucji demokratycznych w Brazylii, do obecnej i potencjalnej agresji dyktatur, takich jak Chiny i Rosja, instytucji demokratycznych, rządów prawa, wiarygodnych wyborów, praw człowieka i niezależnych mediów są wspólnie oblężone na całym świecie. Wojna na Ukrainie jeszcze bardziej zaostrzyła walkę między demokracją a autokracją. Zaufanie do demokratycznych polityków i instytucji jest najniższe w historii, co ogranicza zdolność demokracji do obrony przed entuzjazmem nacjonalistycznych populistów. Przez cały czas autokraci na całym świecie coraz bardziej pomagają sobie nawzajem i podżegają, tworząc globalną kabałę i wymieniając najlepsze praktyki w zakresie represji i korupcji".

Te naładowane uniesieniem hasła znane są z wielu poprawnych politycznie mediów. Jakkolwiek wielu obserwatorów społeczeństwa uważa, że przynajmniej w części odbiegają one od właściwej oceny sytuacji, a mają za zadanie służyć jedynie grupie interesu, która pod pozorem wzniosłych słów chce utorować sobie drogę do władzy politycznej, społecznej, a może przede wszystkim gospodarczej.

DEMOKRACJA NA POLACH BITWY ŚWIATA

Na stronie organizacji A4D umieszczono wprost rubrykę z napisem „Pola bitwy" („Battlegrounds"), wśród których wskazano Włochy, Brazylię, Węgry i Polskę jako kraje, w których zagrożona jest demokracja i którym pilnie na pomoc ruszyć musi amerykańska organizacja pozarządowa. Jak podkreślono, są to kraje, w których wedle organizacji „demokracja jest najbardziej zagrożona i gdzie w ciągu najbliższego roku odbędą się wybory, które zadecydują o losie tych demokracji".

W tym celu A4D chce „wzmacniać odporność demokratyczną i społeczeństwo obywatelskie w Polsce". Twierdzi przy tym, że nie tak dawno Polska była uważana za najbardziej udany przykład przemian demokratycznych w Europie Środkowo-Wschodniej i pioniera integracji europejskiej, a dziś w kraju wykazuje się coraz więcej oznak osłabienia demokracji i regresu. Jak uważa, rosną wpływy polityczne partii na instytucje państwowe, szerzy się retoryka nacjonalistyczna oraz dyskryminacyjna, ograniczane są prawa kobiet, mniejszości i społeczności LGBTIQ+, przeprowadzane są ciągłe ataki na niezawisłość sądownictwa, tłumione jest niezależne dziennikarstwo, a kumoterstwo staje się coraz bardziej powszechne. Jak stwierdza A4D, przy takich uwarunkowaniach kraj przygotowuje się do wyborów parlamentarnych jesienią tego roku.

Wedle organizacji odporność polskiej demokracji ma kluczowe znaczenie dla jej globalnych celów. A4D chce bowiem być aktywna w następujących obszarach: prawa kobiet, ochrona i promocja demokracji; mobilizacja i zaangażowanie grup zmarginalizowanych lub niedostatecznie reprezentowanych; prawa pracownicze; zmiany klimatyczne i transformacja energetyczna; wsparcie ofiar wykorzystywania seksualnego dzieci; uniwersalne wartości i prawa człowieka, koszty życia i kryzys związany z ubóstwem; prawa osób LGBTIQ+; zwalczanie ekstremizmu i dyskryminacji; demaskowanie korupcji i bezkarności, zwalczanie dezinformacji; monitorowanie i przeciwdziałanie wpływom rosyjskim oraz monitorowanie i przeciwdziałanie chińskim wpływom.

Mimo szczytnych haseł deklaracje składane przez organizację oznaczają wprost podejmowanie niekrytej interwencji w przebieg wyborów w demokratycznych państwach przez obcy, zagraniczny podmiot, którym jest A4D. Jak widać, możni świata uważają, że dziś nie potrzebują przykrywki, ale całkiem otwarcie mówią, które tereny chcą podbić na polu bitwy, by podporządkować je swemu władztwu, jakże odmiennemu nieraz od tych wzniosłych słów.

BITWA O WARSZAWĘ I O ZIMBABWE?

Po porażce na Węgrzech organizacja ma koncentrować swoje wysiłki na wyborach parlamentarnych w Polsce. Warto wskazać, że działalność A4D była badana pod kątem wpływania na węgierskie wybory i musiała tłumaczyć się, w jaki sposób przekazywała pieniądze do tego kraju. Jednym z tłumaczeń miała być argumentacja, że pieniądze przekazywane były od Węgrów mieszkających w Ameryce. Czy podobnie będzie tłumaczone wspieranie darowiznami organizacji pozarządowych zaangażowanych w nadchodzącą kampanię wyborczą w Polsce?

Wedle A4D odporność polskiej demokracji ma kluczowe znaczenie dla jej globalnych celów

A4D pojawiła się też na Facebooku i Twitterze, gdzie od jakiegoś czasu pojawiają się posty dotyczące praktycznie wyłącznie Polski. Wśród nich można znaleźć te krytykujące prawo aborcyjne w Polsce, wspierające demonstracje na rzecz praw LGBTIQ+ czy informujące o rzekomym braku niezależnego sądownictwa w Polsce. Lider organizacji, Dávid Korányi, w czerwcu brał udział w konferencji tzw. Paktu Wolnych Miast, która miała miejsce w Warszawie. Stwierdzono po niej, że miasta pozostają kluczowym filarem w obronie przed autokracjami w Polsce, na Węgrzech i… w Zimbabwe.

POLSKA POMOC DLA UKRAINY NIE ZNACZY NIC?

W minionym czasie Polska stanęła na wysokości ogromnego zadania, udzielając przykładnego, organizowanego z poświęceniem wsparcia Ukrainie w czasie konfliktu zbrojnego z Rosją. Jak widać, dla A4D to nic nie znaczy, gdyż patrzy tylko przez pryzmat swoich własnych interesów. Wśród wskazanych pól bitewnych organizacja i jej donatorzy odnieśli sukces w Brazylii, gdzie wybory wygrał Lula da Silva. Polegli jednak we Włoszech i na Węgrzech. Co czeka ich w Polsce? To zależy przede wszystkim od Polaków, gdyż, jak widać, zagraniczne finansowanie polegające na eksportowaniu specyficznie rozumianej „korpodemokracji" wbrew teoriom spiskowym nie zawsze jest wszechmogące. Warto jednak wiedzieć, co się dzieje, i zachowywać czujność. A miłosiernego Boga prosić, by miał w opiece naszą ukochaną, najjaśniejszą Rzeczpospolitą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Ostatnia prosta wymęczonych wojowników

Piotr Semka

PiS, w którym nie ma nadmiernego optymizmu, ale i nie ma paniki. PO, którą Tusk wziął w żelazny uścisk i narzuca nawet Giertycha na listach. Znikająca Trzecia Droga. Lewica, która nie umie zyskać, i Konfederacja, która nie umie nie tracić. Co z tego wyniknie przy urnach wyborczych?

Kampania wyborcza? A cóż to za nowina? Gracze polskiej sceny politycznej prowadzili polityczny bój o władzę właściwie przez wszystkie dni ostatnich ośmiu lat. Formalna kampania to dla nich tylko finisz wyczerpującego biegu, w którym nie było oddechu ani na moment. A jednak ci wymęczeni wojownicy muszą na ostatnie sześć tygodni politycznego wyścigu wymyślić coś jeszcze bardziej wyrazistego, dorzucić jeszcze jedną dawkę brutalności, dosadności – i posypać to szczyptą politycznego sprytu. Nowicjusze łapią ostatni oddech, stare wygi umieją ukrywać oznaki wyczerpania. Tak u końca tego wielkiego biegu wygląda kondycja poszczególnych partii.

TUSK ROBI, CO ZECHCE

Roman Giertych wije się w wymuszonych deklaracjach, że z jednej strony pozostaje przeciwnikiem aborcji, a z drugiej będzie lojalnie przestrzegał dyscypliny klubowej. Niegdysiejsza nadzieja konserwatywnych narodowców w obliczu szansy zemsty na Jarosławie Kaczyńskim próbuje obłaskawić liberalne elity filmikiem z młodziutką córką, zapewniającą, że wraz z mamą i siostrą dopilnują, by tata przestrzegał praw kobiet.

Publiczne łamanie sumienia Romana Giertycha przypominało ZMP-owskie zebrania, na których student ze złym pochodzeniem w imię zachowania znaczka ZMP musi wypierać się reakcyjnych elementów swego wychowania. Ta na wpół groteskowa martyrologia pana Romana okazała siłę Donalda Tuska, który niczym wszechmocny czarodziej dyktuje, co mają myśleć wyznawcy jego partii i szerzej – wyznawcy obozu antykaczyzmu.

„Nie ma powodu do moralnej paniki" – poucza czytelników „Polityki" Adam Szostkiewicz. I dalej pisze: „Stawką jest odsunięcie PiS od władzy. Decyzja Tuska temu służy". Na tle tego chóru, udowadniającego, że pan Roman to fantastyczny facet, felietony lewicowego publicysty „Galopującego Majora" brzmią jak warte pogardy drobnomieszczańskie wątpliwości: „Wskutek wzięcia Giertycha na pokład – PO traci możliwość wiarygodnego punktowania PiS w obszarze praw kobiet". Jak wskazuje „Galopujący Major", marsz miliona serc 1 października miał być przecież marszem w imię solidarności z Joanną z Krakowa. Dziwi się więc, że

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c26aa5272a

taki marsz miałby iść z duchową adopcją mecenasa Giertycha.

Lewicowy publicysta wykazuje zdumiewającą naiwność. O tym, że Tusk zapowiedział marsz miliona serc z powodu rzekomej ofiary policji z Krakowa, nikt już w obozie postępu nie pamięta. Marsz odbędzie się pod takimi hasłami, jakie będą akurat tego dnia wygodne dla „wielkiego Donalda". A ten kucharz – by nawiązać do słynnych słów Mandelsztama – lubi ostrą kuchnię.

W Platformie nie decyduje o niczym już nikt poza Tuskiem. Odtwarzają się tam mechanizmy, które przywodzą na myśl epokę tego obozu władzy, pod którego rządami Mandelsztam musiał wegetować. Oto tygodnik „Polityka" ogłasza na 6 września premierę książki: „Symetryści. Jak się pomaga autokratycznej władzy". Jak zaznaczają autorzy (Mariusz Janicki i Wiesław Władyka): „Polemizujemy z konkretnymi publicystami i dziennikarzami, komentujemy typowe przekazy symetrystów, szukamy źródeł ich postawy". Janicki i Władyka już szukają źródeł postawy Grzegorza Sroczyńskiego? Pewnie zainteresuje ich informacja, że Sroczyński pracował w jednym „wołkowym" „Życiu" z niejakimi Piotrem Semką i Bronisławem Wildsteinem. Ileż taka cenna informacja może dać pola do spiskowych teorii…. Ale żarty na bok. To, że hejterskie środowisko Silnych Razem było zdolne do wyrzucenia symetrystów z Campusu Polska, a tuzy „Polityki" szykują już tablice hańby dla zbyt miękkich towarzyszy, pokazuje, że w obozie tym moda na radykalny antykaczyzm zaczyna zmieniać wewnętrzne relacje. To wszystko doskonale współbrzmi z całkowitym przejęciem władzy nad partią przez Donalda Tuska. W sieci pojawiła się informacja, że na 920 kandydatów na listy posłów PO w całej Polsce jest aż 250 debiutantów. Oznaczać może to, że Tusk chce, by przyszły klub jadł mu z ręki. Taka dyspozycyjność przyda się zarówno w razie wygranej, jak i przegranej. Jeśli wygra, to rozhuśtani antykaczystowskim radykalizmem posłowie będą akceptować każdy, nawet najbardziej radykalny program wdeptania PiS-owców w ziemię raz na zawsze. Jeśli przegra – to znów, tak jak w 2005 r., ogłosi, że wszyscy tym bardziej muszą skupić się wokół lidera, i zacznie przymiarki do własnej prezydentury.

Ten mentalny rausz doskonale maskuje zarówno fakt nieujawnienia programu Platformy, jak i niezdolność Tuska do znalezienia dobrej odpowiedzi na wyzwanie, by w referendum mającym się odbyć razem z wyborami parlamentarnymi odpowiedzieć cztery razy „nie".

Pierwszy problem Tusk rozładowuje, wciskając uczestnikom wiecu jak dzieciom tezę, że nic nie zyskają od opowiadania lidera o programie przyszłego rządu. Drugie wyzwanie zaklajstrował pozornie efektowną frazą: „Uroczyście unieważniam to referendum".

Wrzesień – jak można podejrzewać – będzie wielką mobilizacją przed marszem miliona 1 października. Wcześniej aktywiści Platformy mają wykreować wiele konfliktów społecznych. Sympatyzujący z opozycją socjolog Przemysław Sadura jest zachwycony wizją, że marsz Platformy ma nastąpić po wrześniu, kiedy ma się odbyć wiele protestów: budżetówki, nauczycieli, urzędników państwowych, pracowników ochrony zdrowia. Prowadząca wywiad z Sadurą Katarzyna Przyborska z „Krytyki Politycznej" rozmarzona stwierdziła: „Po takiej wrześniowej rozgrzewce marsz 1 października może być momentem uruchomienia zbiorowego wku.wu". Sadura też wydawał się zachwycony: „Platforma próbuje zastosować, i bardzo dobrze, że to robi, strategię, którą wcześniej stosowało Prawo i Sprawiedliwość. Przywdziewa populistyczny kostium, do czego zresztą i my w naszej książce zachęcaliśmy opozycję, mówiąc, że w fazie populistycznej, kiedy standard debaty publicznej jest tak niski, trzeba włożyć te rękawice populizmu i boksować".

Taktyka Platformy może więc zmierzać do maksymalnego rozkręcenia emocji roszczeniowych na 1 października, a potem liczenia, że ta „meksykańska fala" doprowadzi w dniu wyborów do maksymalnej mobilizacji elektoratu niechętnego PiS.

KACZYŃSKI NIE KRZYCZY

Przypomnijmy trafną obserwację publicysty Igora Zalewskiego: „Kiedy Kaczyński wrzeszczy, oznacza to, że jest słaby. Kiedy się uśmiecha, znaczy, że dla przeciwników jest groźny".

Siedemdziesięcioczteroletni lider PiS ma już swoje lata. Nie sposób zauważyć, że znacznie mniej udziela się

eprasa.pl c26aa5272a

publicznie. W tej kampanii znajduje jednak czas na spotkania z wyborcami w setkach miejscowości Polski. I wypowiada się spokojnie, z typową dla siebie zgryźliwością wobec swego arcyrywala.

Choć „Gazeta Wyborcza" snuje teorie o ucieczce Kaczyńskiego ze stołecznego pola bitwy na znacznie bardziej spokojną Kielecczyznę, a „Newsweek" i „Polityka" co rusz ogłaszają, że w PiS jest nastrój jak na tonącym „Titanicu", to są to tylko rytualne zaklęcia. W PiS nastroje są dosyć stonowane. Nie ma hurraoptymizmu, ale i nie ma paniki. Ostatnie sejmowe głosowania w sprawie powołania komisji do zbadania wpływów rosyjskich pokazały, że PiS ma wciąż większość w Sejmie. Wychwytywane przez „Wyborczą" plotki o jakichś konfliktach wywołanych umieszczeniem na zbyt niskiej pozycji na listach wyborczych także nie muszą prowadzić do jakichś gwałtownych kłótni. Ewentualni buntownicy w PiS nie mieliby specjalnie dokąd się udać. Ci na polskiej scenie politycznej, którzy mieli być ewentualną bezpieczną przystanią – jak PSL – sami naprawdę toną.

W sondażach po raz pierwszy w wypadku rządzącej partii pojawiły się wyniki z czwórką na przodzie, a Platforma ciągle przebija próg 31–32 proc. Panuje zgoda w opiniach, że w razie równowagi między PiS a PO, po wyborach więcej manewru będzie miała obecnie rządząca partia, która może liczyć na współpracę z prezydentem. Jej inni rywale oprócz PO raczej słabną.

Wszystko to oczywiście jest także wynikiem dość sprytnego pomysłu z zapytaniem Polaków o zdanie w referendum. Platforma, powtarzając w kółko, że referendum jest bez sensu, bo np. nikt nie chce zburzyć muru na granicy z Białorusią, sama siebie oszukuje. Nietrudno zauważyć, że wielu polityków opozycji traktuje podlaską zaporę jak francuski lud Bastylię, widząc w płocie nad Bugiem znienawidzony symbol kaczyzmu.

Tak samo jest z referendalnym pytaniem o uchodźców. To, że Bruksela nie ustąpi, zanim nie wciśnie nam iluś tysięcy imigrantów, jest jasne dla sporej części Polaków. Może nawet dla większości – tylko nie dla polityków opozycji.

PiS dzięki czterem pytaniom referendalnym może zdobyć głosy poparcia od elektoratu Konfederacji, PSL, a być może nawet od niektórych wyborców Hołowni. Platforma będzie próbowała temu przeciwdziałać, zachęcając wyborców do awantur w lokalach wyborczych. Paliwo do tej polityki zapewnił opozycji Jacek Czaputowicz, były szef MSZ w tej kadencji PiS, który jako pierwszy zasugerował, że odnotowywanie, kto wziął kartę, a kto nie, może posłużyć do zakwestionowania przez Brukselę wyników wyborów.

Na każde osłabienie Konfederacji czyha PiS, który wie, że metoda D'Hondta promuje największych graczy

Nie zmieniam zdania, że pomysł z referendum był i jest dla PiS ryzykiem, ale kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana.

ŻYWE CIENIE NA CAMPUSIE I POZA NIM

Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz próbujący wykazać witalizm swoich ugrupowań na spotkaniu pod patronatem Rafała Trzaskowskiego wyglądali, jakby sami nie wierzyli w to, co mówią. Kolejne sondaże pokazują, że z pokonaniem ośmioprocentowego koalicyjnego progu mogą mieć duże problemy.

Trzeba przyznać, że duet Hołownia – Kosiniak-Kamysz był na to skazany od początku. Kanony politycznej poprawności nie pozwalały im na ostre zaatakowanie Tuska. Ten z kolei, gdy tylko odrzucili jego ofertę wejścia na wspólną listę, uznał ich za buntowników, którzy muszą ponieść widowiskową klęskę. Przy okazji kłopotów PSL możemy zobaczyć, w jak widowiskowy sposób kończy się złudzenie, że tacy politycy jak Kazimierz Ujazdowski, Paweł Zalewski czy Jan Filip Libicki są w stanie zmienić ludowców w jakąś konserwatywną chadecję. PSL to żadna chadecja. Ludowcy nie pasują do tego wzorca ze swoją faktyczną zgodą na zmianę ustawy antyaborcyjnej i słuchając pokornie, jak Hołownia ogłasza potrzebę rozdziału państwa od Kościoła.

Nieco lepiej tylko wygląda Lewica, która także nie ma zbyt wielu atrakcyjnych kart. Zamiast podkreślać swój rozsądek, sięga po dość awanturnicze postacie, jak przybyła z Białorusi Jana Shostak, która żąda prawa do aborcji do samego końca ciąży. I znów się okazało, że wiecznie dobrze rokujący Adrian Zandberg nic ciekawego w kampanii wyborczej nie ma do powiedzenia, a Włodzimierz Czarzasty nie potrafi na wiecach wyborczych wyjść poza styl cynicznego aparatczyka.

Paliwem dla lewicy miał być status najbardziej radykalnego obrońcy kobiet, ale wiece progresistów nie zaczęły od tego przypominać czarnych marszów kobiet z października i listopada 2020 r.

Lewicy zostaje jedynie nadzieja, że takie demonstracje siły Tuska, jak wepchnięcie Romana Giertycha na listę świętokrzyską, wywołają jakąś zwyżkę sympatii dla niej.

Trzecim biegaczem na ostatniej prostej wyborów jest lekko słabująca już Konfederacja. Być może nie spadnie ona do 6–7 proc. poparcia, jak głoszą niektóre sondaże, ale chyba nie zdobędzie nic więcej prócz 11 proc. No, może 12 proc.

Mentzen zraził do siebie część wyborców zniesmaczonych planami gry na spadek politycznych wpływów PO i PiS. Zbyt wiele przedostało się z jego sztabu na świat makiawelistycznych scenariuszy o Konfederacji, która nie poprze ani PiS, ani PO i doprowadzi do kolejnych wyborów, po których ponoć ma już rozdawać wszystkim innym karty. Zobaczymy, czy Mentzen wymyśli jeszcze coś nowego na ostatni miesiąc kampanii, ale takie dziwactwa, jak pomysł Dobromira Sośnierza, by zgodzić się na wprowadzenie do obrotu mięsa psów, na pewno Mentzenowi nie pomogą. Tymczasem na każde osłabienie wyników Konfederacji czyha już PiS, słusznie zakładając, że ordynacja D'Hondta promuje największych graczy.

Mamy finisz kampanii, w trakcie którego haki już niewiele dają, bo było ich zbyt wiele w przeszłości. Gorący czas, w którym nawet nikt z lewicy nie liczy na poruszenie emocji filmem Agnieszki Holland o biednych uchodźcach na białoruskiej granicy, bo już wcześniej filmy Tomasza Sekielskiego niewiele wpłynęły na wynik wyborów. PiS zakłada, że największym jego atutem jest skłonienie wyborców do odpowiedzi na pytanie: „Czy żyje ci się lepiej niż cztery lata lub osiem lat temu?". I być może to, że do Polski dotarła ta zasada, która niegdyś decydowała o wynikach wyborczych pojedynków, to jest najbardziej optymistyczne przesłanie tegorocznej kampanii.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

GSK

pl.gsk.com

Jesteśmy jednym z największych producentów szczepionek na świecie

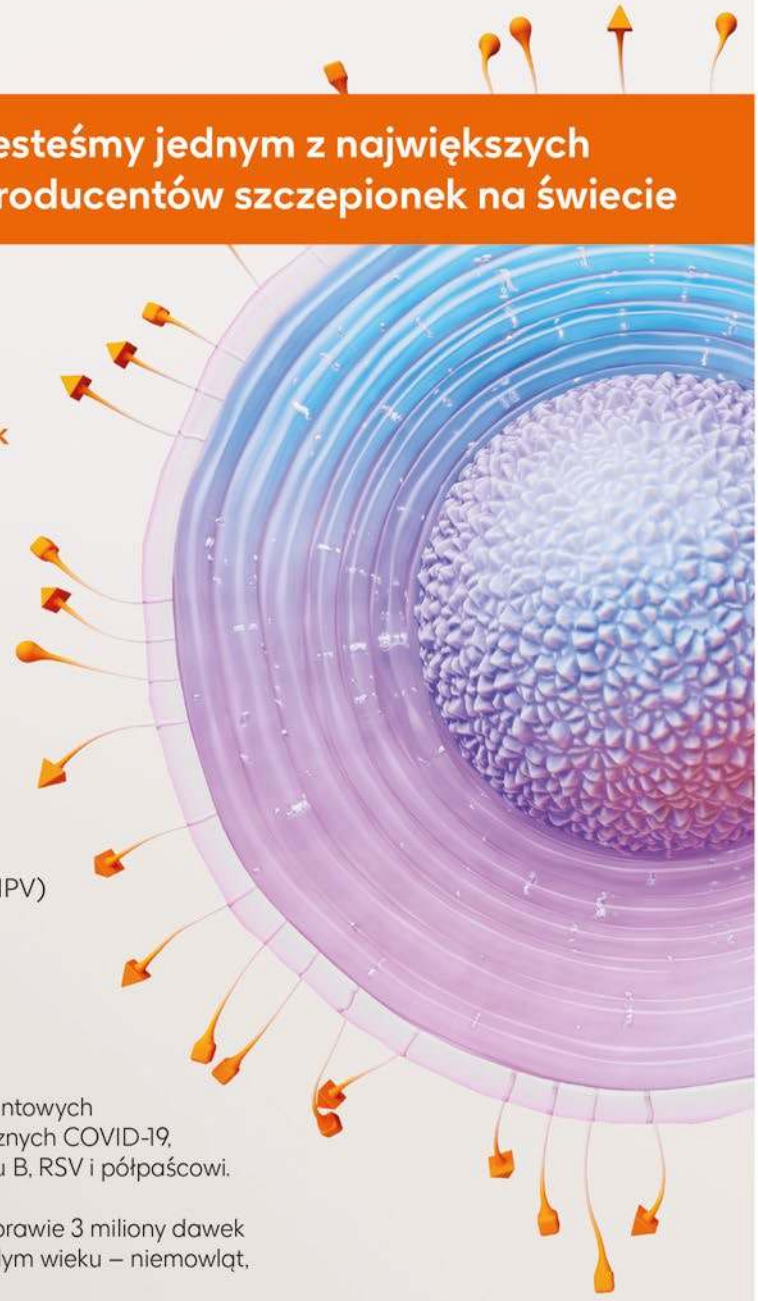

Nasze portfolio obejmuje innowacyjne szczepionki przeciw półpaścowi, RSV i meningokokom typu B, a także ponad 20 szczepionek od lat stosowanych w profilaktyce:

- krztuśca, tężca i błonicy u dzieci i dorosłych
- odry, świnki i różyczki
- WZW typu A i B
- WZW typu B u osób dializowanych
- inwazyjnej choroby meningokokowej (meningokoki typu B i ACWY)
- zakażeń pneumokokowych u dzieci
- zakażeń rotawirusowych
- zakażeń Haemophilus influenzae typu b
- zakażeń wirusem brodawczaka ludzkiego (HPV)
- ospy wietrznej
- grypy
- polio
- malarii

Jesteśmy wynalazcą platformy systemów adjuwantowych stosowanych w szczepionkach przeciwpandemicznych COVID-19, a także szczepionkach przeciwko HPV, WZW typu B, RSV i półpaścowi.

Każdego roku dostarczamy pacjentom w Polsce prawie 3 miliony dawek szczepionek zabezpieczając zdrowie osób w każdym wieku – niemowląt, dzieci i młodzieży, osób dorosłych oraz seniorów.

20+
szczepionek w portfolio

~3 mln
dawek dostarczanych każdego roku dla polskich pacjentów

4 na 10
dzieci na świecie otrzymuje każdego roku szczepionkę GSK

~2 mln
dawek dostarczanych codziennie pacjentom na całym świecie

Źródło: na podstawie raportu „GSK w Polsce. Innowacyjna firma biofarmaceutyczna. PARTNER POLSKIEJ GOSPODARKI", sierpień 2022

Sierpień 2023, SUPP-2302513

eprasa.pl c26aa5272a

Z prof. Henrykiem Domańskim, socjologiem z Polskiej Akademii Nauk
rozmawia Ryszard Gromadzki

Niepotrzebne programy

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Z czego wynika spektakularny wzrost notowań PiS w ostatnich sondażach? Mówię przede wszystkim o badaniu CBOS, ale ten trend potwierdza także najnowszy sondaż pracowni Social Changes. Wynik Prawa i Sprawiedliwości w obydwu sondażach oscyluje wokół 40 proc. Ten skok poparcia to następstwo intensywnej polaryzacji sceny politycznej, strategicznych błędów Tuska czy strachu przed imigrantami, przenikającymi zza białoruskiej granicy?

PROF. HENRYK DOMAŃSKI: Ponieważ wszystkie wyniki muszą być obciążone jakimś błędem, najlepszą strategią jest rozpatrywanie wyników sondaży w perspektywie czasowej, a ostatni wynik CBOS na tle wyników uzyskiwanych przez inne ośrodki badawcze. Na przykład od maja można by z wyników CBOS wnioskować o systematycznym zmniejszaniu się dystansu między PiS a Platformą. Było to zaskakujące, bo wcześniej przez kilkanaście miesięcy było odwrotnie i zadawaliśmy sobie pytanie, dlaczego CBOS pokazuje tak duże poparcie dla PiS, a tak małe dla Platformy. Poparcie dla PO zawsze kształtowało się wtedy na poziomie 18–19 proc., a dla PiS 32–35 proc. W lipcu wyniki obydwu ugrupowań niemal się zrównały (29 do 28 dla PiS), a teraz znowu jest skok w drugą stronę. Rzeczywiście, mamy do czynienia z pewnym wzrostem poparcia w wyborach deklarowanego na rzecz PiS i wynika to pewnie ze wszystkich rzeczy, o których pan powiedział. Wszystkie te elementy występowały od kilkunastu miesięcy, z wyjątkiem strategii Tuska. Od kilku miesięcy staje się ona coraz bardziej agresywna. Były premier i jego otoczenie nie przebierają w słowach, a bywa, że namawiają do rebelii. Ten rodzaj wzmożonej agresji, niemającej potwierdzenia w faktach, może ludzi zniechęcać. W przekazie Tuska i innych liderów Platformy PiS grabi Polskę, gospodarka jest w upadku, mamy szalejącą inflację i panuje nepotyzm w obsadzaniu stanowisk (jakby nie dominował za rządów PO-PSL). Prawdopodobnie ta zaostrzona retoryka jest czynnikiem degustującym tych niezdecydowanych, którzy nie wiedzą jeszcze, na kogo głosować. Na wzrastającą agresywność Tuska rząd odpowiada konsekwentnym przedstawianiem strategii rozwoju i poprawy stopy życiowej w postaci konkretnych programów, czego unika PO. Ludzie widzą, że żyje się lepiej, od 2017 r. w świetle danych GUS mamy dodatni bilans migracji, tzn. więcej ludzi wraca lub przybywa do Polski, niż wyjeżdża, niezależnie od wojny na Ukrainie. Dodałbym gwarancje bezpieczeństwa przed niekontrolowaną imigracją, co przekłada się w sumie na myślenie, że na ten rząd warto głosować, bo polityka ta daje poczucie stabilizacji i obrony przed grabieżą, zamieszkami, paleniem samochodów.

W przeciwieństwie do ewentualnego rządu Tuska, który byłby gotowy otworzyć szeroko granice dla imigrantów...

Zrobiłby prawdopodobnie to, czego oczekuje od niego Bruksela. Co by to miało być, nie wiadomo, niemniej cokolwiek, co zapewniałoby mu przychylność liderów UE i pozostawanie w „mainstreamie". W każdym razie nie warto ryzykować „z tym Tuskiem". Tak zapewne jest to postrzegane przez ogół. Sytuacja na granicy

eprasa.pl c26aa5272a

z Białorusią, zagrożenie falą imigracji czy obecnością u nas ludzi spoza naszego kręgu cywilizacyjnego to elementy, które na pewno oddziałują na preferencje wyborcze. Żeby skomplikować, nakłada się na to stosunek do Ukraińców, który się nieco pogorszył. Chodzi o uprzywilejowaną pozycję Ukraińców w Polsce, na którą w odczuciu społecznym nie zasłużyli tak bardzo naszym kosztem. Jest to naturalna reakcja części elektoratu, która w końcu musiała zaistnieć.

Jednak to rząd PiS firmuje afirmatywną politykę wobec Ukraińców pozostających w Polsce. To on realizował i realizuje różne transfery socjalne na ich rzecz...

Ma pan rację. Jednak zauważmy, że w ciągu ostatnich kilkunastu tygodni w wypowiedziach polityków obozu rządzącego wystąpiły oznaki oczekiwania rekompensaty za korzyści uzyskiwane przez uchodźców z Ukrainy po rozpętaniu wojny przez Rosję. Zresztą nie tylko za to, lecz także z tytułu rozliczenia historii, „rzezi wołyńskiej". Niektóre wystąpienia polityków Prawa i Sprawiedliwości w sprawach dotyczących relacji z Ukrainą były na pograniczu ostrości. Obóz rządzący jakby zareagował „właściwie". Wydaje mi się, że zmiana podejścia ze strony PiS do kwestii ukraińskiej wyrównała korzyści, które z tego tytułu odnosiła do tej pory Konfederacja, która zbudowała w oparciu o hasło asertywnej polityki wobec Ukrainy istotny kapitał polityczny, dochodzący momentami do 14 proc. deklarowanego poparcia. Teraz to się zmieniło, co znajduje odbicie w sondażach potwierdzających pewien spadek notowań Konfederacji.

Tusk przelicytował, rekomendując Romana Giertycha na listę wyborczą Platformy w województwie świętokrzyskim i tym samym konfrontując go wprost z prezes PiS, który wystartuje w tym samym okręgu? Podobnie jak z obsadzeniem na listach PO lidera AgroUnii Kołodziejczaka?

Tym samym Tusk, zapewne nieintencjonalnie, potwierdził, że w Platformie Obywatelskiej nie ma demokracji w podejmowaniu decyzji. Oznaki tego zaczęły się od przywrócenia Tuskowi stanowiska przewodniczącego PO zamiast Budki. Bez żadnych wyborów, wszystko dokonało się na podstawie czegoś w rodzaju puczu. Teraz mamy przypadek samozwańczego ulokowania na listach Platformy Giertycha, przedtem Kołodziejczaka, w międzyczasie Tusk przeprowadził marginalizację Schetyny i Kidawy-Błońskiej. Nie może się pozbyć potrzeby wykańczania najbliższych współpracowników, co robił od powstania PO. Giertycha nie chciał na listach nikt z innych partii nazywanych opozycyjnymi, Platforma też go nie chciała, aż tu w ostatniej chwili pojawił się Giertych z powodów znanych tylko Tuskowi. Być może chodziło, jak domniemywamy, o dowartościowanie Giertycha za lojalność i prowadzenie spraw sądowych lidera PO. Lojalność, która przejawiała się w niezwykle zaciekłych, bezpardonowych atakach na PiS. Oczywiście Tusk wprost tego nie powie. A te wszystkie uwagi, że Giertych będzie rozliczał Kaczyńskiego i da mu popalić w Świętokrzyskiem, zostały przywołane przez Tuska ad hoc, żeby nadać temu pozory racjonalizacji.

Żyjemy w kryzysie demokracji i dotyczy to nie tylko Polski

Czy to nie zaskakujące? Mamy do czynienia z przebiegłym graczem, który zjadł zęby na polskiej polityce. Tymczasem lista błędów Tuska popełnionych w ostatnich tygodniach obecnej kampanii wyborczej jest zadziwiająco długa.

Rzeczywiście robi to wrażenie, jakby wykonywał rozpaczliwe gesty, zakładając: „A może się uda". W przypadku Kołodziejczaka, podobnie jak z marszem 4 czerwca, wynikało to z przekonania, że „warto spróbować, bo wiem, że i tak przegram z PiS, a później będą mnie rozliczać. Po przegranej PO nie pomogą mi ani autorytet, ani kontakty w Unii Europejskiej. Przestaną się bać, zdejmą mnie z fotela przewodniczącego i będę już nikim. A tu jest argument, że spróbowałem wszystkiego, łącznie z wpuszczeniem w końcu liczącej się postaci, jaką jest Kołodziejczak na listy". Reasumując, można skłaniać się do wniosku, że to wszystko są gesty polityka, który nie ma nic do stracenia i poważnie liczy się z przegraną w wyborach, a jednocześnie dąży za wszelką cenę do pokonania przeciwnika, którego nienawidzi i który jest dla niego obsesją. Ponadto chce poprawić swój wizerunek. Sądzę, że był to główny powód powrotu Tuska do krajowej polityki – obok powrotu do władzy. Musiał być bardzo zdziwiony, gdy po 2015 r. jego wizerunek aż tak się pogorszył. Oczywiście pewien wkład do demontażu wizerunku Tuska jako męża stanu zrobiło oddziaływanie przekazów medialnych obozu rządzącego dotyczącego jego polityki. Mam tu na myśli choćby firm „Reset" pokazywany w telewizji publicznej.

Nie ma pan poczucia, że żyjemy w świecie wydrążonej, coraz bardziej pozornej demokracji? Wystarczy spojrzeć na toczącą się kampanię wyborczą. Programy są nieistotne, nikt o nie nie pyta. Dla opozycji jedynym programem jest odsunięcie PiS od władzy, dla rządzącej formacji – jej utrzymanie. Wybory przestają być mechanizmem kreowania nowych liderów, nie ma w nich miejsca na otwartą debatę. Dominują kwestie zastępcze, czysty marketing.

Żyjemy w kryzysie demokracji i dotyczy to nie tylko Polski. Politycy zdają sobie sprawę, że na wyborców nie działają tzw. programy, ponieważ trudno jest coś oryginalnego wymyślić, tym bardziej że obietnice wyborcze, które różne partie przedstawiają wyborcom, są do siebie podobne. To nachylenie populistyczne jest bardzo dobrze zdefiniowane, jego wyznacznikami są cykle recesji gospodarczej i oczekiwania dotyczące wzrostu stopy życiowej. Kryzys demokracji polega m.in. na tym, że politycy przyjmują role graczy na scenie teatralnej, gdzie aktorzy dostosowują się do oczekiwań widzów, czyli wyborców. Jeśli chodzi o polską sceną polityczną, to pewnym novum jest to, że w obecnej kampanii widzimy, jak ważne dla mechanizmu politycznego jest układanie list wyborczych, kto ma na nich być, a kogo trzeba pominąć. Robione jest to bez żadnych ogródek i wstydu, który w poprzednich kampaniach wyborczych powstrzymywał polityków od podkreślania wymiaru „merkantylnego". Z kolei ci, których nie obsadzono, dają otwarty upust niezadowoleniu, bez krępowania się pod względem słownictwa. Nie sądzę, żeby ten trend zasługiwał na jakąś specjalną krytykę. Polityka to zawód i zaczynamy to chyba rozumieć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Pod własnym

Łukasz Zboralski

Wysyp zarażeń legionellą, hakerskie zatrzymania pociągów. ABW sprawdzała, czy to nie rosyjskie działania. Jednak okazało się, że to tylko nasze rodzime zaniedbania i bałagan. Trudno ocenić, czy to lepiej

Nam nie trzeba Bundeswehry, nam wystarczy minus cztery – to powiedzenie z PRL okazuje się wciąż zaskakująco aktualne nad Wisłą. W wielu obszarach naszej państwowości panują tak daleko posunięty rozkład i urzędnicze nieróbstwo, że w chwilach, gdy media czymś szczególnie się zainteresują, przecieramy oczy ze zdumienia.

Dokładnie tak się stało w przypadku pociągów zatrzymywanych na torach za pomocą krótkofalówek. Gdy do mediów trafiły informacje o tym, że za pomocą sygnału „radio-stop" ktoś wstrzymuje ruch pociągów, pojawiły się podejrzenia o hybrydowym ataku. Zwłaszcza że dane przerażały. PKP PLK informowały, że zaledwie w ciągu jednego dnia (29 sierpnia) do godziny 13 w wyniku „nieuprawnionego użycia sygnału »radio-stop« zatrzymanych zostało łącznie 25 pociągów". Ktoś zatrzymał pociągi w województwach: łódzkim, mazowieckim, opolskim i pomorskim. Średnie ich opóźnienia przez to sięgnęły siedem minut.

Trudno było się nie wystraszyć. Tyle ataków hakerskich w całym kraju? A do tego ABW poinformowała, że prowadzi czynności w związku z incydentami na kolei.

W dodatku akurat w tym czasie gruchnęła wiadomość, że ABW rozbiła siatkę rosyjskiego wywiadu w Polsce. Tę informację ujawnił „Washington Post". Z 16 szpiegów, których zatrzymano, aż 12 stanowili obywatele Ukrainy. Część z nich – jak się okazało – ma u nas w kraju status uchodźców wojennych (co samo w sobie jest tematem na zupełnie oddzielny tekst).

Siatkę szpiegowską rozpracowano, bo przechodzień zauważył, że na drzewie – wzdłuż istotnego w kontekście dostaw wojennych odcinka torów w Polsce – zainstalowano kamerę. Dane z kamery (logowano się na nią przez smartfon) doprowadziły służby do pierwszego ogniwa tej grupy. Resztę wydał już sam.

JAK SIĘ STARAJĄ W PKP

Dość szybko służby zatrzymały dwóch ludzi – w wieku 24 i 29 lat – odpowiedzialnych za zatrzymania pociągów. Młodszy, mieszkaniec powiatu skierniewickiego, w momencie zatrzymania był pod wpływem alkoholu. Drugi okazał się… policjantem. „Gazeta Wyborcza" szybko ustaliła, że funkcjonariusz Komendy Wojewódzkiej w Białymstoku pracował w wydziale techniki operacyjnej. Dziennikarze zwrócili uwagę, że wydział ten zajmuje się m.in. prowadzeniem obserwacji transgranicznych.

To oczywiście znów mogło nasuwać myśli o jakiejś akcji dywersyjnej obcego mocarstwa. Tyle że zatrzymania pociągów za pomocą urządzeń krótkofalarskich to żadna nowość w Polsce. Nikt tylko wcześniej nie obnażył skali tego problemu. Łukasz Malinowski, redaktor naczelny „Rynku Kolejowego", pokazał na Twitterze to, co od lat w raportach prezentuje Urząd Transportu Kolejowego. Wszyscy w branży wiedzą, że od lat średnio prawie dwa razy dziennie ktoś w Polsce zatrzymuje sobie pociąg za pomocą sprzętu krótkofalarskiego. W zestawieniu UTK „nieuprawnione emitowanie sygnałów alarmowych »radio-stop«" wygląda następująco w ostatnich latach: 2015 r. – 575 zatrzymań, 2016 r. – 609, 2017 r. – 528, 2018 r. – 541, 2020 r. – 708 (wyraźnie więcej – czyli amatorom takiej „zabawy" najwyraźniej w czasie pandemii znacznie bardziej się nudziło), 2021 r. – 557, 2022 r. – 482.

Dlaczego do tego dopuszczamy w Polsce i nie reagujemy? Odpowiedź jest taka, jak zawsze. Bo urzędnicy – w tym wypadku władze PKP – latami nie prowadzili prac, które powinni byli wykonać. I nikt ich z tego nie rozlicza.

System „radio-stop" to nic innego jak analogowy system sprzed 40 lat. Radiowy system wprowadzono na kolei po katastrofie pod Otłoczynem w 1980 r.

eprasa.pl c26aa5272a

ciężarem

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK/JAN

(67 ofiar śmiertelnych i 64 rannych). Kilka lat później dodano do niego sygnał „radio-stop", który automatycznie uruchamia hamulec pociągu. Wystarczy nadać radiowo dwa tony z przerwą na pewnej częstotliwości, a pociąg hamuje.

System ten od dawna powinien być zmieniony na nowoczesny, cyfrowy system awaryjnego zatrzymywania kolei – ERTMS/GSM-R. Ten zarządca infrastruktury kolejowej w kraju powinien wdrażać od kilku lat. Tymczasem, jak wskazała Najwyższa Izba Kontroli, PKP PLK od 2017 r. nie zainstalowały nowego systemu na żadnym (sic!) odcinku z 14 tys. km linii zaplanowanych do wdrożenia tego rozwiązania.

Czy ktoś w PKP PLK stracił z tego powodu stanowisko? A może choć dostał jakąś naganę? Nie. Rozdano nagrody. NIK ujawnił w raporcie, że zarząd PKP PLK wypłacił członkom zarządu premię za wdrażanie systemu GMS-R w kwocie blisko 38 tys. zł (do podziału na osiem osób). Inspektorzy zauważyli, że podstawą wypłaty nagrody był oficjalnie wynik wdrożenia systemu na linii Pomorskiej Kolei Metropolitalnej, która akurat – tak się składa – nie należy do PKP PLK. NIK wystąpił do prezesa PKP PLK z żądaniem, by zarząd premię zwrócił.

BAKTERIA, BADANIA, BRAK DZIAŁANIA

Podobnie zatrważająco – w kontekście domniemanych ataków hybrydowych – zaczęły wyglądać doniesienia medialne o zakażaniach legionellą. To bakteria, która powoduje legionellozę, chorobę układu oddechowego (nazwa pochodzi od grupowych zachorowań, które po raz pierwszy odnotowano w 1976 r. w Pensylwanii, podczas zjazdu weteranów drugiej wojny światowej; zakażali się w jednym hotelu, w którym mieszkali, i na ostre zapalenie zmarło ich w sumie aż 34).

O zakażeniach najpierw informowano w Rzeszowie. Tam też odnotowywano pierwsze zgony. Informacja, że umierali ludzie zwykle obciążeni np. chorobami nowotworowymi czy starsi, nie była uspokajająca. Bo nie było wspólnego odnośnika. Zakażenia odnotowywano w różnych miejscach i w końcu władze miasta zdecydowały się nawet na specjalne odkażanie sieci wodociągowej (legionellą zarazić się nie można od drugiego człowieka, ale już przez aerozol, np. pod prysznicem – tak).

Jeszcze więcej podejrzeń pojawiło się, gdy zachorowania i zgony odnotowano nie tylko w Rzeszowie, lecz także w innych częściach kraju. Choć lekarze wskazywali, że po prostu lepiej się obecnie diagnozuje przyczynę i stąd odnotowuje się bakterię, to media podały, że i tę sprawę bada ABW – więc skojarzenia z ewentualnym wrogim sabotażem zaczęły być znów przekonująco zatrważające.

Ostatecznie służby sanitarne z Podkarpacia pod koniec ubiegłego tygodnia wskazały, że epidemia legionellozy „jest na etapie wygaszania". Zmarło 18 pacjentów (przedział wiekowy 58–98 lat i obciążenia chorobami współistniejącymi), a zakażeń odnotowano 150. Przyczyny zakażeń nie są jeszcze ustalone, a eksperci mówią, że bakteria występuje w środowisku stale i do szerszego jej ataku wśród ludzi mogły przyczynić się choroba, wyższa temperatura, słaba higiena pomieszczeń sanitarnych czy nawet „struktura demograficzna".

Oczywiście to nie wszystko, bo znów – niejako przy okazji – wyszło na jaw poważne zaniedbanie na poziomie krajowym. Polska nie wdrożyła bowiem unijnej dyrektywy z 16 grudnia 2020 r. „w sprawie jakości wody przeznaczonej do spożycia przez ludzi". Do stycznia 2023 r. kraje członkowskie miały – zgodnie z tą dyrektywą – wprowadzić m.in. obowiązkową „ocenę ryzyka w wewnętrznych systemach wodociągowych". Miała ona polegać na monitorowaniu zawartości np. bakterii legionelli. Kraje mogły uznać, że w takiej ocenie wody skupią się na obiektach priorytetowych – szkołach, placówkach zdrowotnych, domach opieki itd.

Minister ds. Unii Europejskiej Szymon Szynkowski vel Sęk w Radiu Plus przyznał, że Polska dyrektywy nie wdrożyła. Zapewniał jednak, że i dziś „są przepisy pozwalające na odpowiednie badanie próbek".

Jest więc wiele procedur i systemów, które życie Polaków mogłyby uczynić bezpieczniejszym. Tylko są niewdrażane. Jednak zamiast o nich w kampanii wyborczej tematem przewodnim jest np. to, czy Konfederacja zamierza zjadać psy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Opozycyjne partie chcą rozebrania zapory na granicy Polski z Białorusią

FOT. MARCIN PAWLUKIEWICZ/REPORTER

Eksport niemieckich problemów

Tomasz Rowiński

Przymuszenie Polski do zatrzymywania nielegalnych migrantów u siebie byłoby dla Niemców idealnym rozwiązaniem. To stąd biorą się ataki na polską zaporę na granicy z Białorusią

Rozebrać płot, a resztki dać mieszkańcom Podlasia – powiedziała ledwie kilkanaście dni temu w jednej z medialnych deklaracji Jana Shostak, polsko-białoruska aktywistka, obecnie kandydatka do Sejmu z list Lewicy (gdy wypowiadała te słowa, była jeszcze kandydatką partii Donalda Tuska, co potem zmieniło się, gdy opowiedziała się za możliwością aborcji do dziewiątego miesiąca ciąży).

Choć Shostak zapewne nie ma wielkich szans na wejście do parlamentu, to postawa ugrupowań opozycyjnych wobec jej wypowiedzi skłania do zastanowienia. Czy zapora stojąca na naszej północno-wschodniej granicy nie stałaby się znów przedmiotem niebezpiecznej dla Polski gry politycznej, gdyby na jesieni do władzy doszła opozycja?

Są zatem przynajmniej dwa opozycyjne ugrupowania, które w wyraźny sposób określiły swoje stanowisko w tej sprawie. Najwyraźniej istnieje ciągłość pomiędzy zachowaniem biegającego latem 2021 r. po granicy polsko-białoruskiej posła Franciszka Sterczewskiego, który chciał „ratować" imigrantów przez polską Strażą Graniczną, czy głośną wypowiedzią posłanki Iwony Hartwich w mediach społecznościowych („Wpuśćcie w końcu tych ludzi do Polski! Kim są, ustali się później! Od czego macie służby?"), a dzisiejszym stanowiskiem PO. Lewica, na której listach wyborczych ostatecznie znalazła się Shostak, także nie może mieć w tej sprawie żadnych wymówek. Postulat rozbiórki zapory wisi w powietrzu.

CZY PŁOT MOŻE WSZYSTKO?

Istnienie zapory przeważnie atakowane jest z jednej określonej perspektywy: ma ona być nieskuteczna. W czerwcu wiceprzewodniczący klubu parlamentarnego Koalicji Obywatelskiej Paweł Poncyliusz na falach Polskiego Radia mówi, że „co chwila po polskiej stronie odnajdywani są w lesie uchodźcy, nie tylko przez Straż Graniczną, lecz także przez organizacje pomocowe, które funkcjonują w tym rejonie". I dodawał: „To oznacza, że ta zapora – nawet jeśli kosztowała ponad miliard złotych – dalej jest nieskuteczna".

Wrażenie, które otrzymujemy po lekturze różnych, rozproszonych wypowiedzi polityków głównej partii opozycyjnej w sprawie zapory, jest dość oczywiste. Ludzie Donalda Tuska promują i utrwalają w społeczeństwie polskim przekonanie o całkowicie bezsensownym charakterze całej inwestycji.

Trudno tych zarzutów nie uznać za chybione, jeśli przyjrzeć się konkretom. Długość bariery to zaledwie 187 km wobec 418, które liczy cała granica Polski i Białorusi. Stawianie przed zaporą i działającym przy niej służbom nierealnego zadania doprowadzenia do całkowitej nieprzepuszczalności granicy nie służy wcale jej uszczelnieniu, ale politycznemu demontażowi projektu. Czy opozycja chce otoczyć całą Polskę „szczelnym murem"? Oczywiście, że nie. Zapora została wyskalowana na inne cele. W pierwszej kolejności ma ona znaczenie polityczne, w rzeczywisty sposób utrudnia służbom białoruskim planowanie powtórki z hybrydowego ataku na polską granicę z lata 2021 r. Wtedy to realnym zagrożeniem stało się wdarcie na

eprasa.pl c26aa5272a

terytorium Polski niekontrolowanych dużych grup gotowych do agresji migrantów.

W tym samym czasie jednak, gdy zapora spełnia swoje zadanie polegające na wspieraniu pracy polskich służb patrolujących wschodnią granicę, nielegalni imigranci, podążający przede wszystkim do Niemiec, przenikają do Polski również z innych krajów. Także tych będących w strefie Schengen. Opisany nie tak dawno przez media przypadek zatrzymania w Katowicach busa przewożącego 18 nielegalnych migrantów to tylko jeden z przykładów przenikania do Polski migrantów idących do naszej części Europy od południa. Czy mamy postawić też płot na granicy ze Słowacją? Bus prowadzony był przez dwóch ukraińskich przemytników, choć trzeba pamiętać, że szajki przemytnicze są zdecydowanie międzynarodowe.

NIEMIECKIE ŹRÓDŁA ATAKU

Intensyfikacja ataków medialnych na zaporę, połączona z szerszymi atakami na politykę migracyjną PiS, jedno ze swoich źródeł ma w niemieckiej prasie. Nie znaczy to oczywiście, że polityka PiS nie nadaje się do krytyki, jednak w pewnych aspektach jest ona na rękę przynajmniej części niemieckich elit politycznych. „Chociaż rząd polski chełpi się skutecznością bariery wzniesionej na polsko-białoruskiej granicy, to w ostatnim czasie przez Polskę do Niemiec dotarło ok. 14 tys. nielegalnych migrantów, co jest absolutnym rekordem" – napisała w „Tageszeitung" Karolina Wigura z „Kultury Liberalnej". Jaka część z tych ludzi przeszła przez wschodnią granicę Polski, a jaka weszła do strefy Schengen gdzie indziej i potem tylko przemieszczała się naszymi autostradami w kierunku zachodnim? Ilu więcej ludzi trafiłoby do Niemiec, gdyby Polacy nie wykonywali swojej pracy wyłapywania wśród miliona białych dostawczaków królujących na naszych drogach tych, które akurat wiozą migrantów? Po prostu ludzie, którzy na swoim szlaku przeszli nieraz wiele krajów, podają niemieckim służbom ostatni, który minęli, a nie ten, na którego granicy weszli do Schengen. Geografia polityczna nie jest raczej mocną stroną imigrantów. Może o tym świadczyć podpis mający określać lokalizację pod jednym z krążących w ostatnim czasie filmików udostępnionych przez samych migrantów: „Bułgaria, Belgrad". Nawet jeśli to tylko mylenie tropów, to tym bardziej wskazywanie Polski jako kraju, z którego się przybyło, imigranci mogą uznawać za bardzo wygodne.

Philip Ther, niemiecki ekspert do spraw migracji, na łamach „Die Welt" określił polską politykę migracyjną mianem „zakłamanej i krótkowzrocznej". Może tak nawet być, jednak nie to tak naprawdę denerwuje Niemców, którzy mają coraz większe problemy z masami nielegalnych migrantów trafiającymi do ich kraju. Ther w swojej analizie, referowanej dla polskiego czytelnika przez redakcję „niemieckiego głosu w polskim domu", czyli Deutsche Welle, krytykuje to, że Polska przyjmuje migrantów zarobkowych. Jego zdaniem to musi skończyć się fatalnie. To sprawa dyskusyjna, ale do czego naprawdę zmierza niemiecki publicysta, dowiadujemy się akapit dalej. „Tylko liberalny rząd w Polsce mógłby przekonać Polaków, że muzułmanie są na trwałe potrzebni w kraju. Taki rząd mógłby odwołać się do historycznych doświadczeń – Polska, jako jeden z nielicznych krajów, potrafiła we wczesnej epoce nowożytnej zintegrować muzułmanów. Nie udało się to ani Habsburgom, ani carskiej Rosji" – czytamy w tekście „Problemy z migracją. Możliwy rozpad strefy Schengen", opublikowanym na portalu interia.pl we współpracy z Dw.com.

Nie dajmy się jednak zwieść słodkim słowom. Nie chodzi raczej o imigrantów legalnych i zarobkowych. Niemcom nie podoba się polski sposób działania w zakresie, który dotyczy ich własnej sytuacji i w praktyce sprowadza się do usuwania nielegalnych migrantów z naszego kraju. Ci złapani przy granicy są wypychani na białoruską stronę jako zagubieni turyści Łukaszenki, a ci, którzy się przedrą, jadą na Zachód i najczęściej także opuszczają Polskę. Pod wieloma względami ta – jednak – dość konsekwentna polityka polskiego rządu musi powodować irytację szczególnie wśród polityków niemieckich szczebla regionalnego, działających w poszczególnych landach. To na nich według niemieckiego ustroju spoczywa obowiązek przyjmowania imigrantów, tymczasem od miesięcy mówi się o problemach zarówno z lokalami, finansowaniem, jak i procedurami. System zwyczajnie staje się niewydolny. Przymuszenie Polski do zatrzymywania nielegalnych imigrantów u siebie i powstanie w naszym kraju migracyjnych obozów byłoby dla Niemców idealnym rozwiązaniem.

ORGANIZACJE SOFT POWER

Stąd też brały się naciski na Polskę ze strony organizacji promujących prawa człowieka. Tak zwane prawa człowieka i ekologia to dwa skrzydła niemieckiej soft power. Skłonienie Polski do zmiany sposobu działania odciążyłoby system niemiecki, a także osłabiłoby wewnętrznie Polskę. Stąd też biorą się takie głosy jak Karoliny Wigury, współbrzmiące z niemieckim interesem. „Chować głowę w piasek, jak w Polsce czy innych krajach, można tylko do pewnej granicy. Jeżeli politycy nie znajdą mądrych i długofalowych rozwiązań, to prawdopodobnie w ciągu kilku lat dojdzie do rozpadu strefy Schengen" – pisała Wigura w „TAZ". Polityka „mądra i długofalowa" to oczywiście wspieranie Niemiec w kłopotach, które sami na siebie sprowadzili, zapraszając do siebie w połowie zeszłej dekady wszystkich migrantów świata.

Tymczasem nacisk migracyjny, najprawdopodobniej stymulowany przez Moskwę i Mińsk, rośnie. Straż Graniczna tylko w pierwszych siedmiu miesiącach tego roku odnotowała 18 tys. prób przekroczenia granicy polsko-białoruskiej, podczas gdy w całym roku 2022 było to jedynie niespełna 16 tys. Jest oczywiste, że dla Moskwy napędzanie ruchu migracyjnego jest tanim sposobem na zmiękczenie narodów i rządów europejskich, a także zniechęcenie ich do zajmowania się wojną. Generowanie problemów wewnętrznych w państwach uznawanych za wrogie to podstawa wojennego elementarza.

W Niemczech od stycznia do lipca tego roku aż 175 tys. osób złożyło wniosek o ochronę przed prześladowaniami. To prawie o 80 proc. więcej niż w zeszłym roku. Swoją drogą warto zauważyć, jaki odsetek migracyjnego problemu w Niemczech stanowią ci, którzy docierają tam przez Polskę. Jeśli oczywiście w ogóle uznamy, że informacja mówiąca o 14 tys. migrantów z Polski jest wiarygodna.

Poparcie dla AfD wzmacniającej swój elektorat m.in. na temacie migracji przebiło 20 proc., spychając na trzecie miejsce rządzącą SPD. Nieuchronnie napięcie w polityce niemieckiej będzie rosło i przenikało do polityki międzynarodowej. Nie jest bowiem niczym nowym, że Niemcy lubią eksportować swoje problemy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Przedwczesna popularność

Zuzanna Dąbrowska

Kariera internetowego influencera jawi się wielu dzieciom jako atrakcyjny sposób na szybkie i proste zdobycie popularności. Części, dzięki pomocy najbliższych, udaje się zyskać zasięgi i nie popaść w problemy. Co jednak z tymi, którzy niekontrolowani przez nikogo wpadają w Internet jak w ciemną studnię bez dna?

Ale pyszny deser, takiego to jeszcze nie widziałem. Trzy rodzaje galaretki, jeszcze na dole galaretka, truskawki, po prostu niesamowite – zachwyca się Tomek, który w sieci występuje pod nazwą „Dotomik". W komentarzach internauci nie mogą się nachwalić naturalności i szczerości, z jaką 10-latek wypowiada się o słodkim pucharku. Podobnie jest z jego wyprawą po nowy rower czy krótką wideorelacją z dożynek w Piszczacu. Nagrania chłopca są tak odmienne od pełnych sztuczności treści, które dominują sieć, że szybko zyskuje on nowych obserwatorów. „Czy ten chłopiec nadaje z przeszłości do nas? Mam wrażenie, że to jakaś misja ratunkowa dla milenialsów" – stwierdza jedna użytkowniczek Instagrama.

Na tym portalu Tomka obserwuje 176 tys. osób, na platformie YouTube ma ponad 15 tys. subskrybentów. Z kolei na TikToku powstają konta fanowskie, które promują postać „Dotomika" i tworzą tzw. edity, czyli przerobione wideo lub zdjęcia z nałożonymi efektami wizualnymi i dźwiękowymi, poświęcone twórcy. – Chłopak pokazuje na swoim profilu swoją codzienność bez udawania i upiększeń. Przeszliśmy do czasów, w których ludzie są przesyceni sztucznym światem mediów społecznościowych i potrzebują naturalności, a on zdecydowanie ją oferuje – powiedziała Wirtualnym Mediom Dominika Leszczyńska, project manager w agencji Public Management.

MŁODE SŁAWY

Dziesięcioletni Tomek nie jest rzecz jasna pierwszym dzieckiem, które podbija sieć. W przypadku tych z największymi zasięgami można mówić de facto o karierach, które są nadzorowane – najczęściej przez rodziców menedżerów. To zgodne z prawem, choć według wielu wątpliwe etycznie. Kanał „Hejka tu Lenka" na YT subskrybuje 1,48 mln osób, „Zaczarowany Świat Sary" – 1,09 mln, „Misia i ja" ma 779 tys. obserwatorów, „Trojaczki TV" 270 tys., a „Fiki Miki Agatki i Moniki" 140 tys. subskrybentów. Tymczasem „Dotomik" – tak przynajmniej wynika z publikowanych przez niego zdjęć i nagrań oraz opisów w mediach społecznościowych – działa sam, bez wsparcia i kontroli opiekunów. „Konta reprezentujące osobę poniżej 13. roku życia muszą

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c26aa5272a

zawierać w biogramie wyraźną informację, że kontem zarządza rodzic lub opiekun. Jeżeli Twoje dziecko nie ukończyło 13 lat i ma konto, którym nie zarządzasz ani Ty, ani opiekun, możesz pokazać mu, jak usunąć konto" – informuje Instagram. Z kolei YouTube pozwala dziecku poniżej tej granicy wiekowej posiadać konto, ale jedynie poprzez nadzorowany przez dorosłych Family Link. Samowolne publikowanie nagrań jest zabronione. Trzynaście lat to także minimalny dopuszczalny wiek użytkownika TikToka. Tyle regulamin. W rzeczywistości treści na platformach społecznościowych umieszczają już kilkulatki, ponieważ obejście zabezpieczeń jest – nomen omen – dziecinnie proste.

„Tomek ma 10 lat. Wszem i wobec trąbi się o tym, że dzieci do 13. roku życia nie powinny korzystać z sm [social mediów – przyp. red.]. Tego wymaga regulamin i zdrowy rozsądek. A mimo to 140 tys. dorosłych osób wspiera jego aktywność na sm. Nikt nie widzi w tym niczego złego. Aktywność wspierają osoby publiczne, dorośli, nawet psycholodzy. Wydaje mi się to skrajnie nieetyczne. Nie róbmy z dziecka maskotki social media, tylko zachowujmy się po dorosłemu. Odpowiedzialnie!" – apeluje psycholog Joanna Flis. Ekspertka zwraca uwagę na problem, który w całym zachwycie związanym z oryginalnością chłopca po prostu umyka. Nie powinniśmy się jednak łudzić, że alarm podnoszony przez Flis na coś się zda. Wystarczy bowiem wspomnieć, że „Dotomikowi" popularność pomogli zyskać profil Make Life Harder (1 mln followersów na Instagramie!) oraz Michał Marszał, administrator mediów społecznościowych tygodnika „Nie".

WIELE ZAGROŻEŃ

A o zagrożeniach, które wiążą się (z niekontrolowaną) obecnością dziecka w sieci, trzeba mówić głośno. Nie po to, aby demonizować Internet, bo przecież jest on źródłem wiedzy i możliwości, ale po to, by chronić najmłodszych. Niekontrolowane publikowanie stających się viralem (zyskujących szybko dużą popularność) treści może przyciągnąć osoby chcące wykorzystać zasięgi nieletniego użytkownika dla własnych korzyści. Z jednej strony materialnych (np. poprzez nakłonienie nieświadomego dziecka do reklamowania scamu, czyli niedziałającego produktu). I choć według prawa młody influencer nie może bezpośrednio namawiać do zakupu produktu, to przecież oszuści prawem się nie przejmują. Z drugiej strony nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że Internet to niestety eldorado dla przestępców seksualnych. – Chłopak powinien być stale zachęcany do zdrowego podejścia do zarządzania swoją popularnością w mediach społecznościowych i edukowany, w jaki sposób może zabezpieczyć swoją sferę prywatności. Chociażby powinien on unikać nagrań, na podstawie których istnieje możliwość zidentyfikowania jego miejsca zamieszkania – tak o Tomku mówi Dominika Leszczyńska. To jednak zasady uniwersalne.

Niektórzy nieletni twórcy, by zyskiwać nowych widzów, posuwają się do zachowań skrajnie niebezpiecznych

Na poważnie należy też traktować zagrożenia dla zdrowia psychicznego. Aby być na topie, trzeba publikować regularnie, im częściej, tym lepiej. To prosta droga do uzależnienia od Internetu oraz – nie mniej groźnego – uzależnienia od oceny innych. Dalej są kompleksy, chęć dążenia do nieosiągalnego ideału. Nienawistne komentarze i krytyka mogą być dla młodej wrażliwości zabójcze. Z raportu „EU Kids Online 2020" wynika, że polskie dzieci najczęściej, w porównaniu z innymi krajami europejskimi, wskazują, że spotkały się on-line z hejtem (48 proc.). Jest też na szczęście informacja bardziej optymistyczna: badani z Polski częściej i szybciej reagują, gdy spotkają się w Internecie z nienawistnym komentarzem – 60 proc. przyznało, że wyłącza aplikację lub stronę będącą źródłem hejtu, a 58 proc. blokuje osobę, która jest jego sprawcą.

W kontekście zagrożeń wspomnieć też warto o nieletnich twórcach, którzy by zyskiwać nowych widzów i wyświetlenia, posuwają się do zachowań skrajnie niebezpiecznych. Ostatnio na popularności zyskuje „48 hours challenge – zniknij bez śladu". Zabawa polega na trwającej dwie doby ucieczce. Osoba, która bierze udział w wyzwaniu, musi upozorować swoje zaginięcie, tak aby szukała jej jak największa liczba osób – im więcej, tym bardziej powiększa się pula zdobytych punktów. Z kolei w 2021 r. policja ostrzegała przed „Pass out challenge". Wyzwanie polegało na odcięciu dopływu tlenu do mózgu i chwilowej utracie przytomności. Służby podkreślały, że takie „zabawy" w skrajnych przypadkach mogą się skończyć nawet śmiercią. Tymczasem relacjonowanie całego procesu w mediach społecznościowych może się dziecku wydawać (i niestety być) dobrym sposobem na podbicie zasięgów.

CZUJNE OKO DOROSŁYCH

Dlatego tak ważne jest, aby dziecięcy twórcy mieli przy sobie zaufanego dorosłego, który będzie nadzorował ich działalność w sieci. Dorota Pachuc, matka 13-letniej bohaterki kanału „Hejka tu Lenka", w wywiadach zachwala influencerskie życie córki. – Lenka kiedyś oglądała różne kanały. Pewnego wieczoru powiedziała, że też chce mieć „łapki w górę" […]. Poszliśmy za tym. Stworzyliśmy kanał dla zabawy. Dzieci są od tego, żeby dzieci wspierać w tych wyborach – stwierdza. – Fajnie jest być mamą sławnego dziecka. Zmienia się życie. Przestajemy być osobami prywatnymi […]. Trzeba to lubić, a my się dobrze w tym odnajdujemy – zapewnia. I dodaje, że Lenka, której kanał działa, od kiedy miała zaledwie 6,5 roku, w rodzinnej miejscowości jest traktowana „jak zwykła Lenka". – Nie zmieniła się. Jest serdeczna i pogodna – dodaje mama małej gwiazdy. Młodszy brat dziewczynki ma również swój kanał na platformie YouTube, gdzie obserwuje go 440 tys. internautów.

Niemal połowa dziewcząt (48 proc.) w wieku 10–15 lat uznała prowadzenie kanału w mediach społecznościowych, takich jak YouTube, Instagram czy TikTok, za atrakcyjne zajęcie zawodowe, w którym widzą siebie w przyszłości – wynika z przeprowadzonych w 2021 r. badań IQS. Co prawda, badanie dotyczyło tylko dziewcząt, ale i tak daje obraz pokolenia, które postrzega Internet nie tylko jako przestrzeń do zabawy i pewien dodatek do życia w realu, lecz także jako atrakcyjną perspektywę na dostatnie dorosłe życie. Nic więc dziwnego, że młodych twórców wciąż przybywa. Jeżeli dzieje się to za wiedzą i przy współpracy z dorosłymi, to łatwiej uniknąć negatywnych skutków. Problem w tym, że opiekunowie często po prostu nie wiedzą, co ich dziecko robi w sieci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

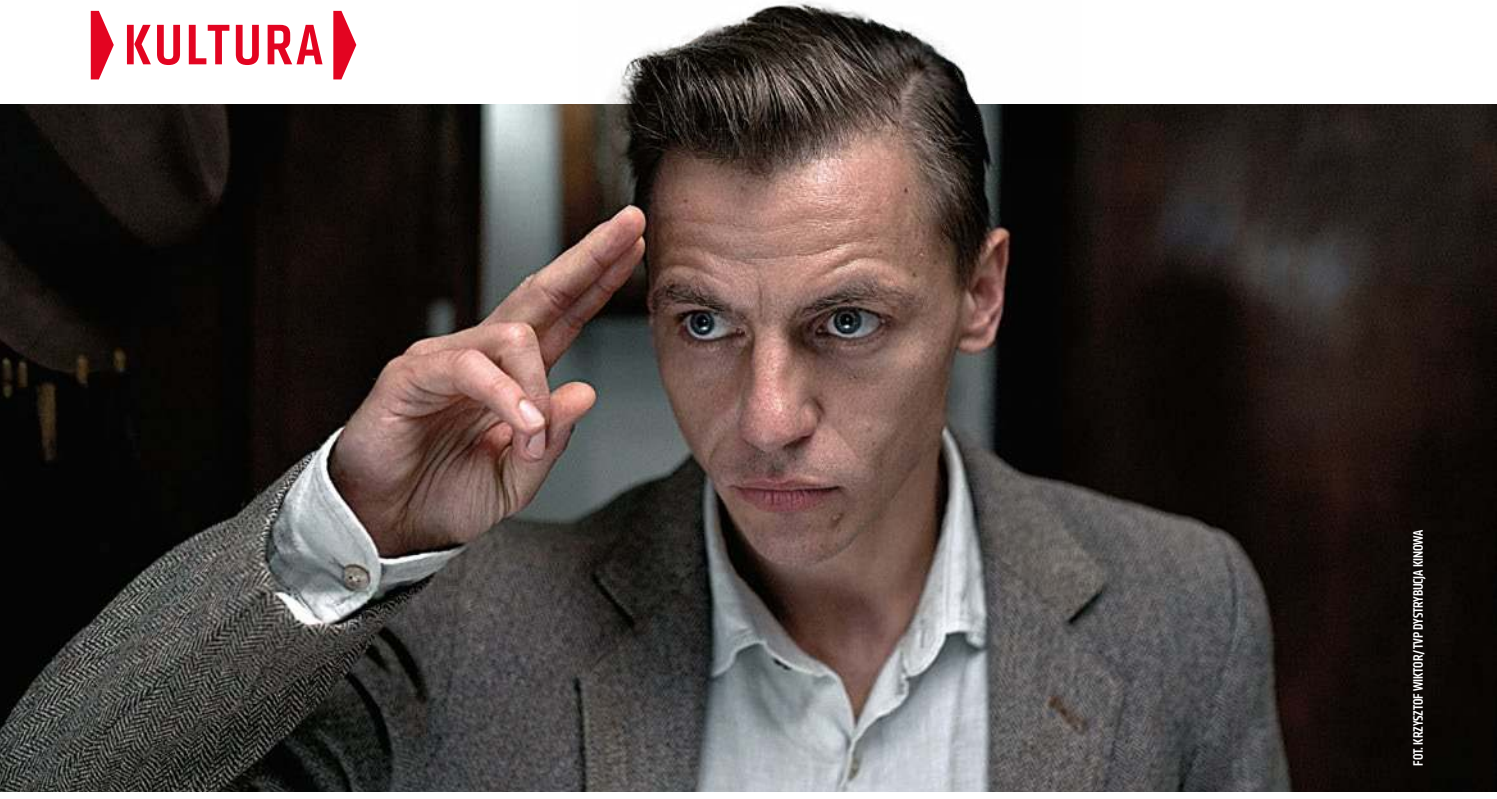

FOT. KRZYSZTOF WIKTOR/TVP DYSTRYBUCJA KINOWA

Pilecki. Historia prawdziwa

Piotr Gociek

Zaczął Leszek Wosiewicz, skończył Krzysztof Łukaszewicz, produkcja trwała pięć lat. Otrzymaliśmy film pęknięty, ale wciąż jego zalety przeważają nad wadami

Film „Raport Pileckiego" ma dwa wielkie atuty, które sprawiają, że ukazana na ekranie historia zostaje w głowie na długo. Pierwszy to sceny z niemieckiego obozu zagłady w Auschwitz. Drugim jest Przemysław Wyszyński jako rtm. Witold Pilecki, jakże ważna postać w naszej historii XX w., symbol polskiego losu w XX stuleciu. Bronił Grodna przed bolszewikami podczas wojny 1920 r., niszczył niemieckie czołgi w kampanii wrześniowej, aktywny uczestnik zbrojnej konspiracji antyniemieckiej, gdy nastała hitlerowska okupacja. Ochotnik do Auschwitz, który dał się złapać Niemcom po to, by poznać prawdę o niemieckim obozie zagłady i tą prawdą podzielić się ze światem, a także aby organizować tam ruch oporu i podtrzymywać na duchu. Uciekinier z Auschwitz, po wojnie bojownik antykomunistycznego podziemia, schwytany, torturowany i zamordowany przez komunistów.

Kino potrzebuje wyrazistych bohaterów – w biografii Pileckiego tyle jest ważnych wydarzeń i niesamowitych zwrotów akcji, że dałoby się obdzielić nimi niejeden film czy serial. Nie bez powodu więc wołanie o przywracanie prawdy o polskiej historii w kinie było też wołaniem o opowieści o Pileckim. Od roku 1990 r. powstawały filmy dokumentalne (w tym fabularyzowane dokumenty), powstał znakomity spektakl telewizyjny Ryszarda Bugajskiego „Śmierć rotmistrza Pileckiego". Powracały pytania o film kinowy, nie tylko dlatego że rotmistrz na taki zasługiwał, lecz także dlatego, że widziano w nim – zresztą słusznie – postać wielce istotną dla objaśniania światu zawiłości polskiej historii i walki z głęboko zakorzenionymi antypolskimi stereotypami. Stąd Pilecki w nazwie instytucji zwanej czasem „polskim Yad Vashem", czyli w nazwie Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego.

HOLLYWOODZKA OPOWIEŚĆ

Droga do filmu kinowego była długa i pełna wybojów. Jesienią 2019 r. wicepremier i minister kultury Piotr Gliński zapowiadał w wywiadzie dla „Do Rze-

eprasa.pl c26aa5272a

czy" dwa ważne międzynarodowe projekty filmowe o polskiej historii. Jednym była opowieść o „Merianie C. Cooperze, amerykańskim ochotniku, który walczył przeciw bolszewikom w 1920 roku w eskadrze kościuszkowskiej, potem został wybitnym producentem filmowym w Hollywood". Profesor Gliński ujawniał wtedy: „Scenariusz zamówiliśmy u jednego z amerykańskich oscarowych scenarzystów". Drugi projekt – znów przytoczmy słowa ówczesnego wicepremiera – to „amerykański film o rtm. Pileckim, współprodukowany przez tę samą firmę, która produkowała ostatni film Agnieszki Holland. Hollywoodzka opowieść, którą twórcy sami odkryli, zdokumentowali, napisali scenariusz – zupełnie inny niż »Raport Pileckiego« realizowany już w Polsce przez Leszka Wosiewicza".

Amerykański projekt powstaje, wiemy, że roboczy tytuł to „Enemy of My Enemy", że producentem jest Jayne-Ann Tenggren, która produkowała m.in. „1917" Sama Mendesa czy jeden z filmów o Bondzie („Spectre"). Konsultantem historycznym jest włoski historyk, prof. Marco Patricelli, autor książki „Ochotnik" o rtm. Witoldzie Pileckim, która jest także podstawą scenariusza. „Pilecki powinien stać się tak samo znany na świecie jak Schindler, zasługuje bowiem na to jako ochotnik, bohater, postać wręcz symboliczna" – mówił niedawno Patricelli dla Polskiej Agencji Prasowej. I dodawał: „Od 2018 r. razem ze scenarzystą Mattem Kingiem rozpoczęliśmy intensywne prace. Film ma precyzyjnie przedstawiać życie w obozie Auschwitz. Jeździłem tam wiele razy, żeby doprecyzować pewne szczegóły scenariusza. Poza tym w filmie ma być pokazane bardzo szczegółowo Powstanie Warszawskie".

Jednak film „Raport Pileckiego", który teraz trafił na ekrany kin, to kontynuacja owej wspomnianej przez Glińskiego innej polskiej produkcji, czyli filmu realizowanego przez Leszka Wosiewicza. Pod „Raportem Pileckiego" podpisany jest ostatecznie, jako reżyser, Krzysztof Łukaszewicz („Lincz", „Karbala", „Orlęta. Grodno '39" i liczne seriale). Jego rolę określono jako „reżyseria – udział większościowy", bo Łukaszewicz kończył to, co Wosiewicz zaczął. W roku 2020 doszło do zmiany reżysera i koncepcji filmu. Wosiewiczowi zarzucono, że nie panuje nad nakręconym materiałem i wychodzi z tego narracyjna katastrofa. Ten bronił się, mówiąc, że eksperci resortu kultury i studio filmowe nie rozumieją jego nowatorstwa, bo „wymiar tego filmu przerastał kompetencje i wyobraźnię niektórych ekspertów decydujących o wspieraniu projektów filmowych". Łukaszewicz wykorzystał część nakręconego materiału, resztę zrobił – i całość zmontował – po swojemu.

NIESPÓJNA HYBRYDA

Pamiętając tak dobre i ważne filmy Wosiewicza jak „Kornblumenblau" czy „Cynga", żałuję, że nie było mu dane nakręcić opowieści o Pileckim po swojemu. Mając w pamięci rzemieślniczą sprawność Łukaszewicza, myślę sobie, że trzeba było dać mu do zrobienia miniserial telewizyjny, cztery–sześć odcinków, mogła z tego być porządna popularyzatorska robota, jak kiedyś serial Macieja Migasa „1920. Wojna i miłość". Wyszło jak wyszło, oceniajmy więc to, co na ekranie. Pamiętając jednocześnie, że najwięcej krokodylich łez nad krzywdą Wosiewicza uronili autorzy „Wyborczej", „Polityki" czy Onetu, którzy prezentują charakterystyczne dwójmyślenie. Otóż gdy kapitalista z cygarem w zębach stojący na czele studia filmowego nakazuje – po ocenie nakręconego materiału – coś zmienić czy poprawić, jest w prawie, bo wykłada pieniądze, więc decyduje. Jednak gdy pieniądze wykłada państwowa instytucja – wszelkie sugestie czy zmiany są oczywiście nie do przyjęcia.

„Raport Pileckiego" jest więc hybrydą, wypadkową oczekiwań i ministerstwa, i twórców, i rodziny rtm. Pileckiego, i konsultantów historycznych, i ekspertów. Otrzymaliśmy film trochę niespójny, ale moim zdaniem plusy przeważają nad minusami. Jak wspomniałem na początku: to jest opowieść, która daje nam fascynującego bohatera, jakim jest Pilecki, a kreacja Przemysława Wyszyńskiego jest nietuzinkowa. Udało się uniknąć plakatowości, udało się uniknąć laurki ku czci. Dobrym pomysłem było oparcie fabuły na przeciwstawieniu dwóch osobowości: z jednej strony Pilecki walczący uparcie z jednym i drugim okupantem, z drugiej Józef Cyrankiewicz, komunistyczny działacz, a po wojnie premier marionetkowego rządu PRL. W chwili próby, to znaczy w piekle lagru, Pilecki okazuje się nieugiętym człowiekiem czynu, Cyrankiewicz zaś osobnikiem o złamanym kręgosłupie moralnym, co z pewnością ułatwiło mu potem karierę w strukturach komunistycznej władzy, a jednocześnie musiało uczynić nieprzejednanym wrogiem Pileckiego jako konkurenta do tytułu „twórcy ruchu oporu w Auschwitz". Paweł Paprocki w roli Cyrankiewicza to zresztą jeden z atutów filmu.

REŻ. KRZYSZTOF ŁUKASZEWICZ, LESZEK WOSIEWICZ „RAPORT PILECKIEGO"

Trochę o niedociągnięciach: brakuje tej opowieści wyraźnej ekspozycji, chwilami motywacja bohaterów jest niejasna. „Raport Pileckiego" to film, który wyśmienicie zostanie zrozumiany przez tych, którzy biografię rotmistrza już znają, natomiast ci, którzy nie wiedzą o nim nic, mogą czuć się nieco zagubieni. Realizacyjnie rzecz się broni, może kilka sekwencji robi wrażenie trochę telewizyjnych, ale bledną te kłopoty wobec mocy scen z Auschwitz, kluczowych dla całej historii Pileckiego, oraz scen ze śledztwa UB (przypomnijmy: Krzysztof Łukaszewicz to także drugi reżyser spektaklu „Śmierć rotmistrza Pileckiego" oraz scenarzysta „Generała Nila").

Wyważając wady i zalety, jestem na tak: powstał film dużo lepszy, niż spodziewali się sceptycy, ale nie na tyle znaczący, żeby zaspokoić głód tych, którzy oczekują od polskich filmowców „wielkiego kina historycznego". I tak mi krąży po głowie: być może w kontrze do pytania „Kiedy wreszcie powstaną filmy historyczne, na jakie Polacy zasługują?" należałoby zapytać: „A może zasługują na takie, jakie powstają?". Casting na polskiego Alexandra Kordę czy Jamesa Ivory'ego wciąż bowiem zostaje nierozstrzygnięty – i mam wrażenie, że taki pozostanie. A główni medialni dystrybutorzy prestiżu nad Wisłą tresują publiczność w duchu szyderki ze wszystkiego, co na poważnie i o Polsce. Zobaczycie, Amerykanom też nie wybaczą. ©℗

Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Parowski – in memoriam

Rozciągnięta na półtora roku produkcja opowieści biograficznej o Macieju Parowskim nieoczekiwanie przerodziła się w wyścig z czasem. Tuż po zakończeniu zdjęć zmarli tłumacz Lech Jęczmyk i pisarz Feliks W. Kres – ich wypowiedzi okazują się ostatnimi zarejestrowanymi wywiadami. Nie żyje także Mirosław Kowalski, redaktor podziemnej Nowej i później wydającej Andrzeja Sapkowskiego SuperNowej. Ekipa odwiedziła go, by przygotować plan i umówić się na nagranie. Przeprowadzić rozmowy już nie zdążyli. Ale wspominają Macieja inni – wspomniani już Sapkowski, Jęczmyk, Kres, a także Łukasz Orbitowski, Marek Baraniecki, Jacek Inglot, Szczepan Twardoch, Marek Huberath i wielu innych. Pisarze, fani, tłumacze, redaktorzy, scenarzyści, rysownicy komiksów. Ludzie, których życie odmienione zostało przez Macieja Parowskiego, redaktora „Fantastyki" i „Nowej Fantastyki", przenikliwego krytyka, nietuzinkowego autora.

Byłem jednym z nich. Maciej odrzucił kilka moich opowiadań, potem wyróżnił jedno w konkursie „Fantastyki", zachęcał do uprawiania krytyki literackiej, podpowiadał książki do przeczytania. Wadziłem się z nim przez kilkanaście lat, by potem szczerze się zaprzyjaźnić. Jednak i bez tego bagażu powiedziałbym to, co powtarzam od lat: był Parowski jednym z wielkich polskich redaktorów, którzy odcisnęli olbrzymie piętno na polskiej kulturze, tak jak Giedroyc, Grydzewski czy Bereza. Był bowiem człowiekiem, który ukształtował więcej niż jedną pisarską generację (nawet gdy młodzi adepci pisarskiej sztuki kształtowali się w sprzeciwie wobec Maćka). Wiele z tych wątków znajdziecie w filmie Paducha, który podchwycił pomysł rzucony przez Marka Oramusa.

Dokument o Maćku Parowskim debiutował wiosną podczas festiwalu Doc Against Gravity, teraz oglądać go można w kinach. Prócz gadających głów ujrzymy w nim animowane wstawki Krzysztofa Ostrowskiego i sporo ciekawych archiwaliów. Nie jest to jednak dzieło doskonałe – niektóre wątki (spory w fandomie) będą mało zrozumiałe dla postronnego widza, sekwencje animacyjne jednych ubawią, innym utrudnią odbiór. Część rzeczy oczywistych dla dyskutantów z ekranu dla dzisiejszych czytelników wcale oczywista nie jest. Jednak tak czy inaczej jest to bardzo potrzebna lekcja historii polskiej popkultury i hołd, na który Parowski zasługiwał. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. BARTOSZ PADUCH
„FANTASTYCZY MATT PAREY"
POLSKA 2023

dokumentalny

NOWE SERIALE: „BUPKIS"

sky SHOWTIME

Komik Pete Davidson gra wykrzywioną wersję samego siebie – niedojrzałego luzaka z nadopiekuńczej rodziny, w której prym wiedzie matka (znana z „Rodziny Soprano" Edie Falco), a najbardziej wygadany jest dziadek – świetny Joe Pesci. Do tego wuj kobieciarz (Bobby Cannavale), który powtarza: „Rób to, co mówię, a nie to, co robię". Całość działa nadspodziewanie dobrze jako przypowieść – że i to, co dobre, i to, co nieciekawe, wynosimy z domu. Pod koniec pierwszego sezonu robi się mroczniej, drugi sezon już w produkcji. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***sezon 1 „Bupkis", USA 2023***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 3* ***„Rozczarowani" („Disenchantment")****, USA 2023* N
- *sezon 2* ***„Koło czasu" („The Wheel of Time")****, USA 2023* prime video
- *reż. Shekar Kapur* ***„Plan na miłość" („What's Love Got to Do with It")****, Wielka Brytania 2022* CANAL+ ONLINE

eprasa.pl c26aa5272a

sky SHOWTIME

Asertywność i dolary

Świetny serial o tworzeniu znakomitego filmu. W jednej z pierwszych scen Mario Puzo, żarłok z literackimi ambicjami, szuka sposobu na wyjście z długów, w ostatniej chwali się milionem dolarów otrzymanym za wstępny zarys scenariusza „Supermana". Per aspera ad astra. Początek lat 70. minionego wieku był dla amerykańskiego kina dobrym czasem, choć obserwując udręki głównego bohatera, na chwilę uwierzyłem, że ekranizacja bestsellera to może nie najgorsze, ale na pewno najbardziej wykańczające zajęcie pod słońcem. W Hollywood trwa bowiem wojna księgowych z artystami. Te dwa plemiona się nienawidzą, lecz rozsądek podpowiada im, że tylko działając wspólnie i w porozumieniu, osiągną cel. Gwiazdorzy grymaszą, bruździ Frank Sinatra. Prawdziwa cosa nostra się waha: storpedować produkcję czy zdobyć nad nią kontrolę?

O kulisach narodzin „Ojca chrzestnego" wiadomo prawie wszystko. Możliwość spojrzenia na produkcję oczami rekinów i płotek z Paramount Pictures jest jednak nie do pogardzenia, a dla kilku aktorów ten serial może stać się punktem zwrotnym. Najbardziej zaskakują Giovanni Ribisi w roli nowojorskiego mafiosa tudzież finałowa laudacja na cześć nonkonformizmu. Miej własne zdanie i broń go do upadłego, to się naprawdę opłaca – przekonują twórcy „The Offer". Żart czy nędzna prowokacja? © ℗

Wiesław Chełminiak

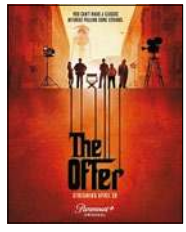

★★★★★☆

PROD. MICHAEL TOLKIN, NIKKI TOSCANO
„THE OFFER"
USA 2022

wyst. Miles Teller, Matthew Goode, Juno Temple

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIARA I POSTĘP

NINATEKA

Jerzy Nowosielski urodził się i umarł w Krakowie, lecz serce zostawił na Podlasiu. Uczucie pozostało nieodwzajemnione. Wierni oraz kapłani wzdragali się, patrząc na ikony, witraże i freski mistrza. Mariaż prawosławnego kanonu i XX-wiecznej awangardy zaintrygował natomiast wielkomiejską inteligencję. U schyłku życia Nowosielski stał się bardzo modny, co musiało wprawiać w ambaras prostolinijnego artystę. Oczywiście nie był sam: do odrodzenia sztuki sakralnej ściany wschodniej przyczynili się również Adam Stalony-Dobrzański oraz Aleksander Gregorowicz. Dokument o podlaskich epizodach biografii malarza Ninateka serwuje jako przystawkę do dania głównego – debaty ekspertów, urządzonej z okazji Roku Nowosielskiego. Bywają jednak konsumenci, którzy nie lubią biesiadować i po przystawkach od razu proszą o desery. Im proponuję wycieczkę do Gródka, Grabarki albo Hajnówki. Satysfakcja gwarantowana. © ℗

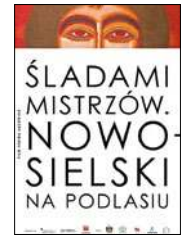

★★★★☆☆

REŻ. PIOTR ŁOZOWIK
„ŚLADAMI MISTRZÓW. NOWOSIELSKI NA PODLASIU"
POLSKA 2019

KREW I MGŁA

FILMCLASSIC

Najtrudniej być prorokiem we własnym domu. Gdy amerykańska i europejska krytyka tytułowała Akirę Kurosawę „cesarzem kina", porównując go do Szekspira i Beethovena, rodacy narzekali, że jest za mało japoński, a jego twórczość to objaw fatalnego zauroczenia kulturą Zachodu. Owe zarzuty wydają się nie do końca zasłużone. „Tron we krwi" jest co prawda adaptacją „Makbeta", lecz przemawia przede wszystkim obrazem. Może tak naprawdę chodziło o to, że Pajęczynowy Zamek pomogli zbudować amerykańscy okupanci? Styl zmarłego 25 lat temu Kurosawy zainspirował wielu reżyserów święcie przekonanych, że film jest sztuką przez duże SZ, a także tabuny spryciarzy, którzy chcieli widzów jedynie tumanić i przestraszać. Bądźmy szczerzy – „Tron we krwi" to regularny horror. Mifune szczerzy zęby i toczy wokół dzikim wzrokiem, stosy trupów oblepia mgła, a „diabelska ścieżka wiedzie prosto ku zagładzie". © ℗

Wiesław Chełminiak

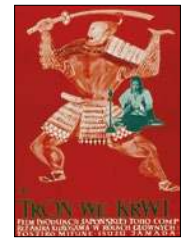

★★★★☆☆

AKIRA KUROSAWA
„TRON WE KRWI" („KUMONOSU JÔ")
JAPONIA 1957

wyst. Toshiro Mifune, Isuzu Yamada, Minoru Chiaki

GRA TYGODNIA: „AGE OF EMPIRES IV" (XBOX)

★★★★★☆

Wiedzieliśmy od dawna, że będzie wersja konsolowa, ale nie znaliśmy daty premiery. Oto i jest. Fanów gatunku nie trzeba zachęcać, czwarta część „AoE" to kawał dobrego RTS-a. Gra przenosi nas w czasy średniowiecza, dając do dyspozycji kampanie toczące się na przestrzeni setek lat. Można narzekać, że grafika mogłaby być ciut lepsza, a AI mieć nieco więcej cyfrowego IQ, ale najważniejsze jest to, że gra się w to bardzo przyjemnie. I w ramach GamePass, więc tym bardziej warto. ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RTS*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE (wersja PC od 2021 r.)*
- ***Producent, wydawca:*** *Relic Entertainment/World's Edge, Xbox Game Studios*

eprasa.pl c26aa5272a

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Rembek krzepi

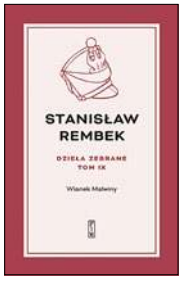

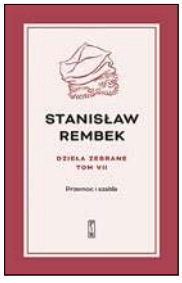

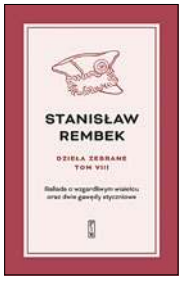

★★★★★★
STANISŁAW REMBEK „DZIEŁA ZEBRANE T. VII–IX: »PRZEMOC I SZABLA«, »BALLADA O WZGARDLIWYM WISIELCU ORAZ DWIE GAWĘDY STYCZNIOWE«, »WIANEK MALWINY«"
PIW, WARSZAWA 2023

Z kolejnych trzech tomów „Dzieł zebranych" Stanisława Rembeka (1901–1985) wydanych przez PIW pod redakcją prof. Macieja Urbanowskiego najwięcej czytelniczej radości dostarczyła mi „Przemoc i szabla", jak głosi podtytuł – „powieść z XVIII wieku". Po raz pierwszy przeczytałem ją w 2011 r., gdy edycja Agawy, wydawnictwa Maryli i Grzegorza Łatuszyńskich, rzecz tę, drukowaną w 1939 r., tuż przed wojną, w odcinkach w warszawskim „Kurierze Porannym", wydobyła z absolutnej niepamięci.

Z całą pewnością nie doceniłem wtedy powieści, może dlatego, że skupiony byłem na dzienniku Rembeka i jego opowiadaniach okupacyjnych, na „Wyroku na Franciszka Kłosa", stąd po pobieżnej lekturze potraktowałem „Przemoc i szablę" jak historyczną powiastkę dla młodzieży. Teraz odkryłem w niej nie tylko historię młodych lat Józefa Wybickiego, twórcy polskiego hymnu narodowego, lecz także powieść o ostatecznym upadku Rzeczypospolitej, najsmutniejszych może latach w naszych dziejach. Aż roi się tu od świetnych sylwetek postaci historycznych, a także po części fikcyjnych bohaterów ukazanych z humorem, na czele z kapitalnym podczaszycem Szczepanem Szerszeniewskim, wiecznie pijanym było nie było patriotą, karykaturą Sienkiewiczowskiego Wołodyjowskiego, czy z Łukowiczem, sługą Wybickiego, pełnym pomysłów na unowocześnienie Polski. Bodaj nigdzie indziej humor pisarza nie ujawnił się z taką mocą. Dlaczego nie mogło dojść do edycji tej powieści, także w PAX, który odstąpił od jej wydania? Czy tak się stało wyłącznie ze względu na antyrosyjskość „Przemocy i szabli"?

Trafiamy w książce na kapitalną postać córki cześnika chełmińskiego, pięknej panny Klary Orłowskiej, miłośniczki i wielbicielki Woltera, a co za tym idzie – i carycy Katarzyny. Aż skręca człowieka, gdy czyta takie jej wywody: „Nie masz gorszej niewoli jako panowanie ciemnoty i gorszych wrogów niż ciemne mnichy, ci, co w nich wierzą!". Rzuca ona w twarz Wybickiemu i konfederacji barskiej: „… życzę wam, by was do nogi wysiekano albo na pale powbijano. Bo stokroć wolę, by w tym barbarzyńskim kraju Moskal, Prusak albo i Turek rządy sprawował niźli ta zgraja ciemnych klechów i ich sługusów, do których i waćpan należysz. Bo jeśliby w samej rzeczy takowe terminy nastąpiły, iżbyście rządy w Rzeczypospolitej sprawować mieli, tedy bym wolała zginąć albo on kraj przeklętej ciemnoty na zawsze opuścić, niźli ścierpieć takową hańbę". Swoją drogą, niezależnie od nieoczekiwanie współczesnej wymowy tego fragmentu, mamy tu do czynienia z pełnokrwistą, choć ukazaną z satyryczną przesadą postacią kobiecą, a to u Rembeka rzadkość.

Z kolei pan Ksawery Kaszczor, dzierżawca – z łaski księcia Michała Radziwiłła Rybeńki – Piasków Zaleśnych wyróżniał się zgoła wyjątkowym poczuciem humoru: „Był to bowiem mąż nadzwyczajnej fantazji i zamiłowany we wszelkiego rodzaju figlach i uciechach. Najulubieńszą jego rozrywką, gdy sobie podochocił, było strzelanie z pistoletu do sznurka, na którym wisiał na drzewie zawiązany w worku Żyd. Strzelał wtedy wśród wielkiej radości biesiadników dopóty, dopóki kula sznurka nie przerwała i Żyd nie spadł na ziemię, na wpół żywy ze strachu". Nie ma co, uroczy facet. Skąd ich brał Rembek, bo przecież nie tylko z pamiętnika Wybickiego „Życie moje".

Pozostałe dwa tomy „Dzieł zebranych" Rembeka to „Ballada o wzgardliwym wisielcu oraz dwie gawędy styczniowe", znakomite utwory, stosunkowo często wznawiane, a nawet zekranizowane przez Juliusza Machulskiego (film „Szwadron" z 1992 r.), jak również nieukończona powieść „Wianek Malwiny", dotycząca powstania listopadowego, i szkice historycznoliterackie pomyślane jako „Uzupełnienia brązownicze", przeciwstawiające się szyderczemu spojrzeniu na nasze dzieje, co szczególnie wybrzmiewa w recenzji z „Lotnej" Andrzeja Wajdy czy w obronie pisarstwa Zofii Kossak przed nieprzytomnymi atakami Hamiltona (starsi pamiętają, kto zacz, młodsi nie muszą wiedzieć).

Sens najgłębszy książek Stanisława Rembeka zawiera się w zdaniu przywołanym w posłowiu prof. Urbanowskiego, w tym cytacie z krótkiego tekstu, a właściwie szkolnej czytanki o Józefie Wybickim: „… nie sztuką jest kochać swój naród, gdy ten jest wielki i potężny; nie sztuką jest poświęcać się dla niej, gdy za to płaci chociażby dobrym słowem. Ale sztuką jest utrzymać w sercu tę miłość, gdy się widzi rodaków bezsilnych, poniżonych, ciemnych i znikczemniałych, kiedy musi się walczyć z nimi o ich własne dobro, o podźwignięcie ich z niemocy i upodlenia". Tekst ten znajdował się w wypisach dla VII klasy szkół podstawowych w latach 1946–1947. Potem zniknął, choć aktualny był zawsze. A dziś może ważny jest szczególnie. ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Na ramię broń

Służba w armii podczas drugiej wojny światowej zaszczepiła w Harrym Harrisonie na całe życie niechęć do wszelkich form hierarchii i militaryzmu. Po latach przekuł swą traumę w powieść „Bill, bohater galaktyki", zjadliwą satyrę, która jest całkowitym przeciwieństwem innej słynnej powieści SF o wojnie. W „Żołnierzach kosmosu" Robert Heinlein prawił, że służba w armii zrobi z ciebie człowieka, a poświęcenie – obywatela. Wedle Harrisona wojsko wypierze ci mózg, okaleczy i odbierze człowieczeństwo. Myślę, że te dwa punkty widzenia po prostu się uzupełniają, bo w pewnym stopniu oba są prawdziwe. Prawda zaś nie leży pośrodku, lecz w syntezie.

Bill, głupawy, ale umięśniony chłopak z rolniczej planety (jego wielkim marzeniem jest obsługa elektronicznego roztrząsacza obornika), zostaje podstępem zwerbowany do armii prowadzącej kosmiczną wojnę przeciwko jaszczurkopodobnym obcym. Po morderczym szkoleniu zostaje bezpiecznikowym na pokładzie jednego z okrętów wojennych, a przez przypadek bohaterem – co jest jedynie początkiem jego prawdziwych kłopotów. Pierwsza część powieści jest niemal perfekcyjna – to kapitalna satyra, która wytrzymuje porównanie z dziejami dobrego wojaka Szwejka. W drugiej fabuła się rozsypuje na epizody rozmaitej jakości, jakby Harrison chciał zapakować zbyt wiele do jednego worka, szydząc i z naukowców, i z urzędników, i z tajnych agentów. Zamienia się wtedy owa książka w wielki manifest przeciw władzy jako takiej.

Pod tym przesłaniem podpisać się nie mogę, bo to właśnie zorganizowanie się w strukturę hierarchiczną ratuje w chwili próby dobrych ludzi przed zagrożeniem ze strony bandziorów grających bez reguł. Jednak inną rzecz Harrison dostrzega i oddaje kapitalnie. Otóż gdzieś za zasłoną żartów odkrywamy prawdziwe oblicze wojny totalnej – a każda wielka wojna prędzej czy później w taką się zmienia. Ludzie zamieniają się w numerki, a potem w pył, którego unicestwienia nikt już nie dostrzega. Wszystko liczy się w dziesiątkach milionów – tony zaopatrzenia, rekrutów i worki na ciała. I tu książka Harrisona staje się opowieścią nie tylko prześmieszną (choć jest to humor bardzo czarny), lecz także naprawdę przerażającą, aż do rozdzierającego serce finału. Ciało może ujść cało z wielkiej maszynki do mięsa. Ale co z duszą? Trudne pytania na trudne czasy. ©℗

★★★★★☆
HARRY HARRISON „BILL, BOHATER GALAKTYKI" REBIS 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Krwawa historia dynastii Achmenidów, tym razem nie oczami stawiających im opór Greków, lecz wedle źródeł, które wytworzyło na swój temat perskie imperium, cywilizacja Cyrusa, Dariusza i Kserksesa.

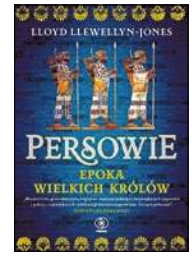

LLOYD LLEWELLYN-JONES „PERSOWIE. EPOKA WIELKICH KRÓLÓW" REBIS

Rewolucja angielska dobiega końca, a ci, którzy skazali na śmierć króla Karola I, stają się zwierzyną łowną. W nowej powieści autora „Vaterlandu" mściciel rusza za dwoma z nich aż do amerykańskich kolonii.

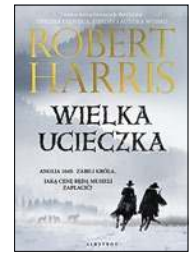

ROBERT HARRIS „WIELKA UCIECZKA" ALBATROS

Wznowienie tomu nieco zapomnianego klasyka polskiej fantastyki lat 80., bez wątpienia jednej z gwiazd tamtej dekady. Tytułowa nowela była sensacją, pozostałe teksty też trzymają poziom. Nie zestarzały się.

MAREK BARANIECKI „GŁOWA KASANDRY" SUPERNOWA

Obszerna antologia odkrywająca przed polskim czytelnikiem tereny dotąd nieznane. Wśród autorów nie tylko zapomniani klasycy włoskiej grozy, lecz także takie tuzy jak Levi, Buzzati, Calvino czy Moravia.

AUTORZY RÓŻNI „OPOWIEŚCI NIESAMOWITE Z JĘZYKA WŁOSKIEGO" PIW

KOMIKS TYGODNIA: „OGAR I INNE OPOWIADANIA"

Pragnąc tworzyć – jak sam mówił – opowieści o potworach bez szczęśliwych zakończeń, japoński twórca zwrócił się ku literackiej spuściźnie H.P. Lovecrafta. Efekt jest intrygujący: seria mangowych adaptacji klasyka amerykańskiej literatury. Oprócz tomu „Ogar i inne opowieści" w Polsce ukazały się także „Kolor z innego wszechświata", „Nawiedziciel mroku" i podzielona na dwie części adaptacja mikropowieści „W górach szaleństwa".

TANABE GOU „OGAR I INNE OPOWIADANIA" STUDIO JG 2023

eprasa.pl c26aa5272a

Beata Biały

Do „Gry w króla" mam stosunek bardzo osobisty. Wręczając mi tę książkę w prezencie wiele lat temu, mój francuski przyjaciel powiedział: „Spodoba ci się. To książka o potędze marzenia". Miał rację. „Gra w króla" to prawdziwa apoteoza marzenia. Jednak marzenia nie byle jakiego, bo marzenia o czymś nietuzinkowym – o królestwie

FOT. ADOBE STOCK

Gra w króla pod flagą Patagonii

I chyba nikt, kto choć trochę zna życie i twórczość Jeana Raspaila – zagorzałego rojalisty – nie będzie zaskoczony, że właśnie królestwo stało się przedmiotem tej niezwykłej epopei wyobraźni. Co ciekawe, jest to epopeja, w której świat wyimaginowany ściśle spleciony jest ze światem realnym, historia wyobrażona z historią prawdziwą i niezwykle poruszającą, a także z tym, co Raspail na kartach swej powieści wielokrotnie nazywa szaleństwem. Ale uwaga! Szaleństwo, które w XIX w. popchnęło pewnego prowincjonalnego adwokata z Perigordu do proklamowania Królestwa Patagonii i ogłoszenia się królem Antonim I (historia prawdziwa!), w oczach narratora „Gry w króla" (i zapewne samego autora) nie jest bynajmniej słabością, ale przywilejem nielicznych. Tych, którzy pośród przyziemności i mierności współczesnego świata zdolni są jeszcze marzyć.

Nie przez przypadek narratorem „Gry w króla" jest mężczyzna, który zachował duszę dziecka. Gdy jako 13-letni chłopiec spotyka pewnego wiejskiego notariusza, właściciela i mieszkańca zamku leżącego na skalistym wybrzeżu Bretanii, wkracza do świata marzeń, w którym notariusz jest królem, spadkobiercą Królestwa Patagonii. I w tym świecie pozostaje już na zawsze. Bo – jak pisze Raspail – „tylko dzieci potrafią być królami. Dorośli już nie marzą. Podcięto im skrzydła". A bohaterowie „Gry w króla" potrafią latać. Potrafią też żeglować. W ich wyprawach bretońskie wybrzeże staje się wybrzeżem Ziemi Ognistej, mała żaglówka – wielkim żaglowcem, a charakterystyczny dla Bretanii północno-zachodni wiatr noroît – wichrem hulającym nad przylądkiem Horn.

„Gra w króla" to powieść na wskroś raspailowska. Uważny czytelnik odnajdzie w niej wiele wątków i postaci znanych z innych, notabene późniejszych, książek tego autora – Pedra de Lunę, Pikkendorfów czy Jego Wysokość Antoniego de Tounensa, pierwszego króla Patagonii. Nic w tym dziwnego – wszyscy oni są mieszkańcami świata marzeń, królestwa pod niebiesko-biało-zieloną flagą Patagonii. Ich wspólną cechą jest przedkładanie świata wyobrażonego nad ten uznawany przez większość ludzkości za realny. Oni nie bawią się w królestwo, ale prowadzą ze światem i samymi sobą swoistą grę – grę w króla.

JEAN RASPAIL „GRA W KRÓLA" WYDAWNICTWO DĘBOGÓRA 2023

Jednak przywilej bycia królem lub poddanym Królestwa Patagonii ma swoją cenę. Jest nią samotność. Każda przygoda przeżywana w tym kraju za morzem ma w sobie rys tragizmu. Nie może być inaczej. Bo kiedy w Patagonii zaświeci słońce, to – jak mówi jedna z wiernych poddanych tego królestwa – aż robi się niedobrze. A mimo to, jeśli jesteś, czytelniku, gotów na chwilę porzucić ten przyziemny i przywiązany do ziemskich (nomen omen) rzeczy świat, jeśli nie zatraciłeś całkiem dziecięcej umiejętności marzenia o sprawach wielkich, choć być może z góry przegranych, zapewniam, że gdy zagrasz w grę w króla, zatęsknisz za Patagonią. Ja tęsknię za nią każdego dnia. ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

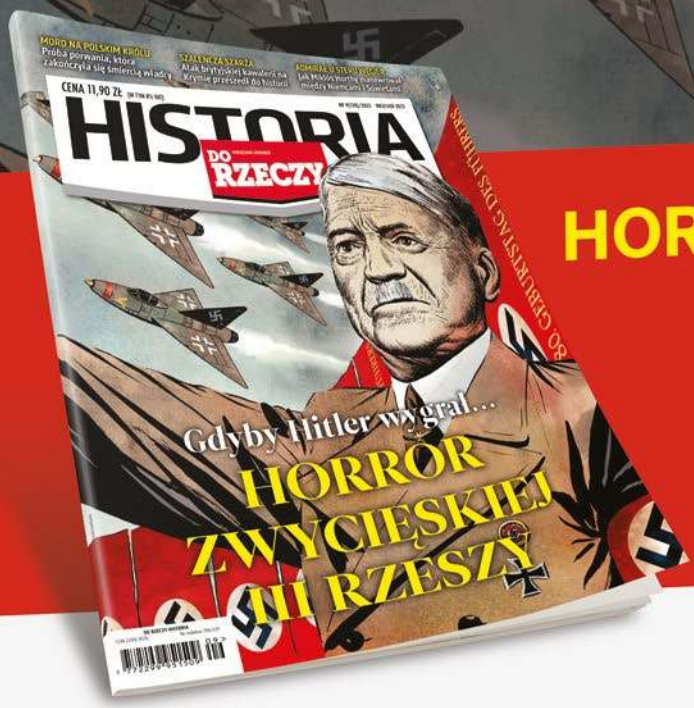

HORROR ZWYCIĘSKIEJ III RZESZY

Niemieckie plany wobec Europy po wygranej wojnie

Największy błąd Hitlera – Dlaczego Niemcy zdecydowali się na krok, który doprowadził do ich upadku?

Plan Germania – W 1950 r. przebudowana stolica Niemiec miała stać się tak wspaniała jak starożytny Rzym

Mord na królu Polski – Próba porwania Przemysła II zakończyła się zabójstwem monarchy

Zbrodnia 00486 – Ten rozkaz oznaczał koszmar dla żon i dzieci mężczyzn skazanych w wielkim terrorze

Szaleńcza szarża Brytyjczyków – Absurdalny atak kawalerii pod Bałakławą przeszedł do historii

Admirał u steru Węgier – Jak Miklós Horthy manewrował między Niemcami i Sowietami

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl c26aa5272a

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Malarz Północy

W wieku 19 lat rzucił studia na akademii sztuk pięknych w Oslo, stwierdzając buńczucznie: „Nie mogą mnie niczego nauczyć". Kto może? „Na obrazie Caravaggia dostrzegłem, jak można wyrazić moje własne tęsknoty, i poczułem, jakby jego dramatyczna, obnażająca ludzkość wizja zrodziła mnie na nowo" – wspomina. Poświęcił lata na zgłębianie tajników warsztatu klasycznych mistrzów, staje w opozycji do modernizmu, uważając, że to sztuka klasyczna jest wieczna.

Jak piszą autorzy wystawy „Odd Nerdrum Malarz Północy": „Jeden z najznakomitszych malarzy norweskich od czasów Edwarda Muncha". Jon Eirik Lundberg, kurator wystawy: „W obrazach Nerdruma ludzkość znajduje się w otchłani mitologicznego świata; poza historią, czasem i przestrzenią [...]. Ludzie ubrani są w skóry lub starodawne tkaniny, często są niemal nadzy [...]. Lecz nie jest to jakaś wizja wczesnych etapów ludzkości; to my, współcześni Nerdrumowi, odarci jedynie z naszych nowoczesnych strojów. Czas nie istnieje". ©℗

GDZIE? ***Warszawa, CSW Zamek Ujazdowski***
KIEDY? ***do 10 grudnia***

FOT. DANIEL CZARNOCKI/CSW ZAMEK UJAZDOWSKI

FOT. TEATR POLSKI WE WROCŁAWIU/FACEBOOK

ZA KULISAMI

Teatr Polski we Wrocławiu jest największym teatrem na Dolnym Śląsku i jednym z największych w Polsce. Przedstawienia grane są na trzech scenach i to na wysokości jednej z nich – Sceny Kameralnej przy ul. Świdnickiej – oglądać można wystawę plenerową z okazji 75-lecia istnienia teatru. Rzecz o historii wszystkich trzech scen, a także o roli kulturotwórczej teatru. Przypomina też niektóre z wielu premier w powojennej historii, takie jak „Śluby panieńskie" (1946), „Jak wam się podoba" (1966), „Gra w zabijanego" (1973), „Płatonow" (1993), „Sprawa Dantona" (2008), „Dziady" (2016). ©℗

GDZIE? ***Wrocław, ul. Świdnicka***
KIEDY? ***do 15 września***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

I znowu mniej znaczy więcej

Pianista i wokalista Jon Batiste, absolwent słynnej Juilliard School, zdobywca Oscara i Grammy, chce łączyć ludzi muzyką nieznającą kulturowych i politycznych podziałów.

Album „World Music Radio" zawiera audycję międzygwiezdnego DJ-a radiowego Billy'ego Boba Bo (głos Batiste'a), której przesłaniem jest międzyludzka jedność. Pomysł ani nowy, ani oryginalny. W koncepcji autora sprowadziło się to do stworzenia popowej produkcji przekraczającej muzyczne gatunki. Punktem wyjścia kompozycji Batiste'a są jazz i nowoorleański R&B. Niestety, by stworzyć globalną muzykę, postanowił wymieszać kierunki, na których się wychował, z najprzeróżniejszymi stylistykami od afrobeatu i disco do reggaetonu i rapu. Do studia zaangażował najprzedniejszych producentów i zaprosił gości z całego świata (Kolumbia, RPA, Korea, Nigeria, Anglia). Jest też tata Michael Batiste oraz wielkie gwiazdy jak Lana Del Rey, Lil Wayne i ikona wygładzonego saksofonu Kenny G. Aż dziw bierze, że ta karkołomna koncepcja nie rozleciała się z hukiem na kawałki.

Kołem ratunkowym okazały się proste piosenki zawierające autentyczne emocje. Dwa lata temu żona Jona, pisarka Suleika Jaouad, walczyła z białaczką. Batiste napisał dla niej kołysanki. „Butterfly" utrzymana w tradycji ballad Paula McCartneya jest prawdziwą perłą w zestawieniu. Wbrew moim narzekaniom zachęcam do wysłuchania płyty. ©℗

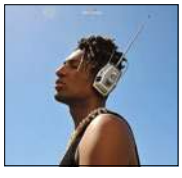

★★★★☆☆
JON BATISTE
„WORLD MUSIC RADIO"
INTERSCOPE

★★★★☆☆
ALICE COOPER
„ROAD"
EAR
Praojciec rockowego horroru stworzył koncept album o życiu w trasie. Wieloletni producent Bob Ezrin dopieścił stare brzmienie, a Tom Morello gościnnie wymiata na gitarze. W finale jest „Magic Bus" The Who, bo Alice będzie grał dopóty, dopóki koła nie odpadną od autobusu.

★★★★☆☆
LOR
„PANNY MŁODE"
AGORA
Cztery „panny", które kochają folk, nagrały popowy, melancholijny album, na którym czarują wokalnymi harmoniami. Zachwyca on też aranżacjami, w których na tle nowoczesnych bitów prym wiodą skrzypce i fortepian. Całość uzupełniają pełne uroku teksty Pauliny Sumery.

eprasa.pl c26aa5272a

*DOBRZE SKONSTRUOWANE KŁAMSTWO JEST W DUŻEJ MIERZE ZBUDOWANE Z FAKTÓW**

NIE ZAŚMIECAJ SOBIE GŁOWY.

WŁĄCZ PRAWDĘ O 19:00.

REPUBLIKA

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

Od 1 września główne wydanie serwisu informacyjnego Telewizji Republika „DZISIAJ" zmienia godzinę emisji na 19:00.

Zapraszają: **Piotr Kieraga, Jacek Sobala i Magdalena Bałkowiec**

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

*cytat amerykańskiej pisarki Lionel Shriver, laureatki prestiżowej nagrody Orange Prize.

eprasa.pl c26aa5272a

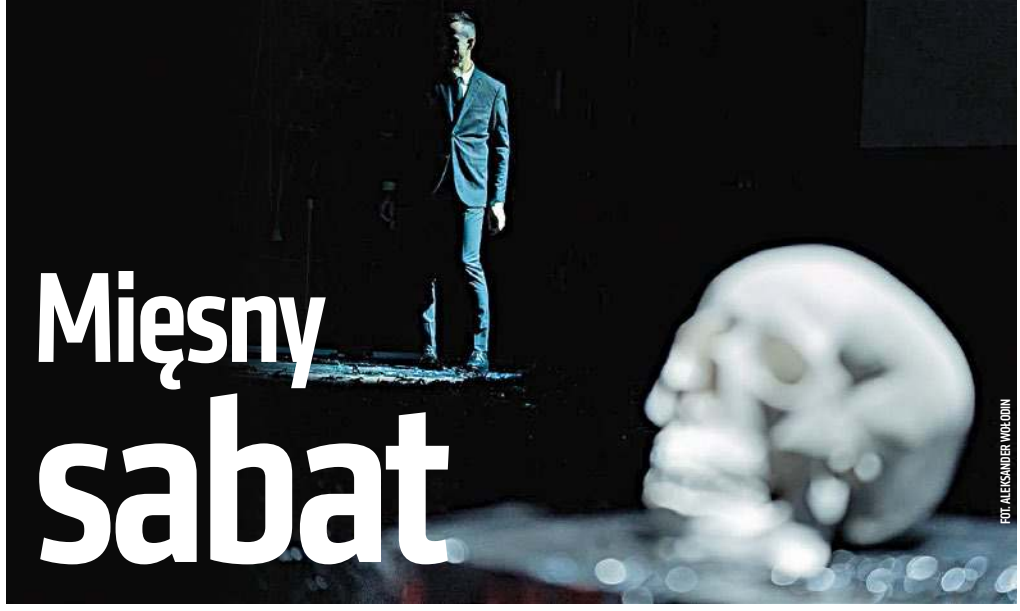

FOT. ALEKSANDER WOŁODIN

Mięsny sabat

Grzegorz Kondrasiuk

Od pewnego czasu opisuję na tych łamach fenomen polskiego życia teatralnego ostatnich lat, czyli emigracyjny teatr robiony przez uciekinierów z Białorusi i Ukrainy.

Najlepsze rzeczy, które w nim powstają, daleko wykraczają poza publicystykę, proste skargi na zbrodnie na własnym narodzie, poza dokumentalne opisy działania reżimów rosyjskiego czy białoruskiego. Klucz posttraumatyczny i terapeutyczny również się tu nie przydaje. Fascynują mnie, tak bardzo przecież różne, teatry Jury Dziwakoua, Paliny Dabrawolskiej czy – współpracujących z Pawłem Passinim i Aleksandra Konarską – Wolnych Kupałowców albo Zmicera Waynowskiego.

Dla dobrego artysty martyrologia jest za łatwa, za prosta. Ten rejestr pojawia się, ale od razu przeniesiony na wyższy poziom. Wracam na kolejne spektakle tych twórców, bo widzę w nich szansę na ożywczy impuls, jak nigdy potrzebny polskiemu teatrowi, który kręci się w kółko jak zacięta płyta, gdzie ci sami ludzie mówią wciąż to samo, o tym samym i do tej samej publiczności. To duszenie się we własnym sosie dotyczy zarówno tematyki (zawsze ten nudziarski, słusznościowy przekaz plus tematy z aktualnej paplaniny w social mediach), jak i formy: mało strawnej, zużytej kopii dawnych pomysłów Lupy, Warlikowskiego czy duetu Strzępka-Demirski, zmieszanej z kopiowaniem Netflixa i przeładowanej multimediami. Polska scena mogłaby z tego wschodniego impulsu skorzystać – gdyby go w ogóle zauważyła. Ale dyrektorzy teatrów i festiwali, kuratorzy i krytycy mają zbyt wielu dobrych znajomych do obsłużenia i wyżywienia, są zajęci własnymi dealami i ustawieniami. Żeby dotrzeć do tego offu podniesionego do potęgi, trzeba by wyjść poza własne ciepełko… Na zakończony właśnie Inexkult Fest, pokazujący najciekawsze wschodnie produkcje, o ile się nie mylę, nie dotarł żaden z bonzów polskiego teatru – dlatego że nie musiał, bo pokazujący się tam artyści nie mają niczego, poza talentem, do zaoferowania i nie należą do niczyjej „stajni".

Na Inexkult Fest najnowszą premierę pokazał Jura Dziwakou, niegdyś twórca grupy Laboratory Figures Oskar Schlemmer, reprezentant nieopatrzonej w Polsce białoruskiej awangardy, łączący sztuki wizualne, projekcje wideo, operę, lalki z teatrem dramatycznym. Ma swój niepodrabialny styl, któremu najbliżej chyba do surrealizmu z odniesieniami do teatru okrucieństwa. Po udanej adaptacji prozy Sorokina, „Nastii", którą wciąż można oglądać w warszawskim Teatrze Powszechnym, znowu zrobił ważny spektakl.

Tym razem (wspólnie z polską reżyserką Pauliną Prokopiuk) na warsztat wziął „Koniec półświni", dramat Helmuta Kajzara, zapomnianego dziś twórcy, uważanego w latach 70. za jedno z najbardziej obiecujących nazwisk polskiego teatru. „Koniec półświni" to pamiętny, świetnie napisany, wygłaszany w trakcie świniobicia monolog świni obdarzonej nadświadomością. To tekst-eksces, prowokacyjny, ironiczny, konsekwentna realizacja jednej, dużej metafory morderstwa-ofiary, gdzie z masochistyczną rozkoszą prosiak wygłasza apologię ludzkiego świata ufundowanego na pożeraniu innych stworzeń, przeplatając je wieloma przenikliwymi obserwacjami i proroctwami.

Na ten otwarty, wielowarstwowy dramat Dziwakou nałożył równie złożoną poetykę, potęgując teatralność w perfekcyjny sposób. W serii obrazów-scen wykreował, kojarzącą się w przewrotny sposób z operą, atmosferę patosu, skontrastowaną z kabaretowymi pastiszami. Żeby nie było zbyt prosto – wszystko to zostało przełamane silną, podprogowo działającą obecnością znaków-archetypów, błąkających się w zlaicyzowanej przestrzeni odwołań do dawnych porządków religijnych.

Monolog rozpisał na dwóch aktorów, zmieniając im kostiumy i scenerię: koncert, burleska, zapasy, postapokalipsa – i tak dalej… Wygłaszają go, skandują, wyśpiewują po polsku, z silnym wschodnim akcentem, co wzmacnia jeszcze efekt dystansu. Te stare chwyty awangardy wciąż są niezwykle skuteczne – ale warunkiem jest ich stosowanie przez artystę o spotęgowanej skłonności do ironii.

W uszach dźwięczy mi sardoniczny śmiech Dziwakoua, to zarazem klucz do zrozumienia tego, w czym uczestniczyłem, i rzeczywistość – bo reżyser przysiadł w ostatnim rzędzie i chichotem beckettowskiego błazna uzupełniał własne działo o bezsłowny komentarz. I tak wychodzimy z teatru z pytaniem: O czym to było? Ani Kajzar, ani tym bardziej Dziwakou nie dostarczają w tej materii jasnych wskazówek, a raczej – dostarczają ich za dużo. Odpowiedzi i interpretacje pojawiają się w głowie obok siebie i każda jest uprawniona. O banalnym, sadomasochistycznym konformizmie życia codziennego? O przemocy immanentnie wmontowanej w świat? O tym, że farsa jest tragedią – i odwrotnie? ©℗

HELMUT KAJZAR, „KONIEC PÓŁŚWINI"
PRODUKCJA: INEXKULT FEST
REŻYSERIA: JURA DZIWAKOU, PAULINA PROKOPIUK
OBSADA: ALEXEI SAPRYKIN, MIKALAI STONKA
PREMIERA: 17 SIERPNIA 2023 R.

eprasa.pl c26aa5272a

PRAWNA OBRONA § PRZED POLONOFOBIĄ

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 15

Edukacja w walce o prawdę historyczną

- Najskuteczniejsze metody opowiadania o naszych dziejach
- Jak polskie szkoły budują poczucie wspólnoty narodowej?
- Muzea bronią w walce o prawdę
- Jak efektywnie docierać z polską historią do odbiorców zagranicznych?

© Marek Borawski/KPRP

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości
funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

TYGODNIK DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl c26aa5272a

FOT. ADOBE STOCK

SPIS TREŚCI

49 ROZMOWA Z BARBARĄ NOWAK

TO KWESTIA PRZETRWANIA POLSKI

– Jesteśmy stale bombardowani nowinkami ideologicznymi – mówi małopolska kurator oświaty, nauczycielka historii

52 JAKUB OSTROMĘCKI

WYCIĄGNĄĆ HISTORIĘ Z LAMUSA

Jak najskuteczniej przekonać polską młodzież do zgłębiania naszych dziejów, do budowania na tej podstawie poczucia wspólnoty?

55 WOJCIECH SIMON

PASJONACI ŻYWEJ HISTORII

Polscy rekonstruktorzy potrafią nie tylko jeździć konno, władać mieczem czy włócznią. Wydarzania odgrywają z taką pasją, że ich pokazy przyciągają tłumy

58 RADOSŁAW WOJTAS

PRZEZ MUZEUM DO SERCA

W ostatnich latach przybyło w Polsce wiele światowej klasy obiektów muzealnych, które w sposób ciekawy i zróżnicowany opowiadają naszą historię

61 ZUZANNA DĄBROWSKA

HISTORIA POZA GRANICAMI

Dbałość o prawdę historyczną to wyzwanie niełatwe i wymagające cierpliwości, szczególnie gdy chcemy realizować je poza granicami Polski

eprasa.pl c26aa5272a

Z Barbarą Nowak, małopolską kurator oświaty, nauczycielką historii
rozmawia Piotr Włoczyk

To kwestia przetrwania Polski

PIOTR WŁOCZYK: Słyszymy, że to historycy powinni się zajmować historią, a nie państwo. Może więc walkę o prawdę historyczną powinniśmy zostawić specjalistom?

BARBARA NOWAK: Jednym z głównych zadań instytucji państwowych jest dbanie o zachowanie ciągłości tego państwa. Nie wyobrażam sobie, że instytucje „abdykują" i zostawiają to zadanie historykom. Bez podtrzymywania narracji patriotycznej, obrony prawdy historycznej o naszych dziejach naród przestaje być narodem i staje się zbieraniną jednostek, które coraz mniej łączy. A przecież to naród polski tworzy sprawnie funkcjonujące państwo polskie. Poza tym w instytucjach państwowych nie brakuje przecież historyków – specjalistów w tym temacie.

Jedną z podstawowych instytucji, które powinny się zajmować pielęgnowaniem prawdy historycznej, jest szkoła. Nie da się ukształtować świadomego obywatela państwa bez wyposażenia go w wiedzę na temat korzeni naszej wspólnoty. Bez tego kolejne pokolenia nie będą dbały o dobro wspólne, bo nie będą takiego dobra dostrzegały.

A jednak zdaje się, że lewicowy program edukacji zakłada wyłączenie z programu szkolnego kształtowania takich postaw. Szkoła ma w tej wizji jedynie przekazywać wiedzę i uczyć umiejętności.

To prawda, że dzisiejsi zwolennicy burzenia tożsamości narodowych państw europejskich przekonują, że kompletnie niepotrzebne jest przekazywanie młodzieży wartości patriotycznych. Musimy rozumieć, dlaczego tak robią. Bez poczucia patriotyzmu, które wynosimy w znacznej mierze ze szkoły, choć rola rodziny również jest ogromnie ważna, łatwiej będzie im zbudować „nowoczesną" Europę, o której tak marzą – jedno wielkie superpaństwo UE, w którym obywatele zapomną o dumie z własnej tożsamości narodowej i zamiast tego będą hołdowali głównie bliżej niesprecyzowanym „wartościom europejskim". Jeżeli nie chcemy, żeby Europa zamieniła się w taki bezkształtny twór, wręcz kołchoz, to nie możemy ulec „modzie" na wycinanie patriotyzmu ze szkół.

Stawka jest tu ogromna – jeżeli odpuścimy to pole, to grozi nam rozpad państwa. Odwołam się do tego, co wprost mówili neomarksistowscy ideolodzy, w tym Antonio Gramsci. Postulowali oni „wyhodowanie" nowego człowieka m.in. właśnie poprzez zmianę programów wychowawczych przedszkoli i szkół. Ci ludzie, którzy dziś zostali wzięci na sztandary przez znaczną część elit europejskich, nieprzypadkowo twierdzili, że już przedszkola powinny być bezdyskusyjnie obowiązkowe. Nie mam nic przeciwko samej instytucji przedszkola, ale musimy rozumieć, że Gramsciemu i jego zwolennikom chodziło o antypatriotyczną indoktrynację dzieci już od tego najniższego poziomu edukacji.

Neomarksiści proponują dziś właściwie to samo, co postulowali marksiści, tylko w nieco innym opakowaniu. Dziś poczucie więzi narodowej, dumy z naszej historii ma być zastąpione m.in. „równością". Pod tym pięknie brzmiącym pojęciem kryje się w rzeczywistości chęć sprawienia, by to, co nienormalne, było uważane za normalne i odwrotnie. Mamy tu do czynienia w istocie ze starciem dwóch cywilizacji. Jedna oparta jest na fundamencie chrześcijańskim, który pozwala rozwijać społeczeństwa i który doskonale się sprawdził w historii. Druga to czysty nihilizm, który nie ma przyszłości.

A może ten dryf w kierunku nihilizmu jest nieunikniony i nawet bez zewnętrznego sterowania nasza młodzież coraz mniej „kupuje" opowieści o tradycyjnej Polsce? Może taka jest po prostu kolej rzeczy?

Jeżeli wszystko miałoby być przesądzone, to faktycznie opór nie miałby sensu. Ale ja nie wierzę w determinizm dziejowy. Jestem historykiem i patrząc na dzieje świata, wiem, że choć nasze społeczeństwa cały czas zmieniają się, to jednak wiele zależy od determinacji ludzi i nie jesteśmy na nic skazani. Ludzie są obdarzeni rozumem i wolną wolą. Wszystko zależy od tego, czy znajdziemy w sobie siłę, by powstrzymać niebezpieczne trendy.

To nie jest tak, że jesteśmy już skazani na świat bez wartości, w którym nie będzie miejsca ani na chrześcijaństwo, ani na patriotyzm narodowy. Oczywiście niektórzy ludzie nie potrzebują takich wartości, a wręcz obawiają się ich, ale jednak większość wciąż czuje przywiązanie do wspólnoty narodowej, nie wstydzi się naszej historii i nie odrzuca chrześcijańskich zasad.

W szkołach musimy wychowywać wolnego obywatela. Jako nauczycielka z wieloletnim doświadczeniem wiem,

eprasa.pl c26aa5272a

że człowieka wolnego mogą wychować jedynie ludzie wolni. Niestety, dziś widzimy napływ do szkół ludzi mocno lewicujących, dla których wolność oznacza coś zupełnie innego. Swawola nie jest wolnością, która zawsze przecież łączy się z odpowiedzialnością.

Mówi pani teraz o młodych nauczycielach?

W znacznej mierze są to młodzi nauczyciele, choć niepokoi też wpuszczanie do naszych szkół, szczególnie w dużych miastach, wszelkiej maści „aktywistów", którzy wciskają dzieciom do głów szkodliwe treści niezgodne z podstawami programowymi.

Zaniedbano w Polsce kształtowanie etyczne nauczycieli na uczelniach wyższych. Kiedyś przekaz formatujący nauczycieli był powszechny. Dla niemal każdego, który wchodził do tego zawodu, było oczywiste, że poza konkretną wiedzą – historyczną, biologiczną czy matematyczną – ma też dbać o odpowiednie ukształtowanie ucznia pod kątem społecznym. Nie tylko chodzi tu o kulturę osobistą, lecz także o poczucie przynależności narodowej i państwowej. A dziś? Polskość dla niektórych młodych nauczycieli bywa problemem, kojarzy się negatywnie. Dobro i piękno, które powinniśmy kształtować w uczniach, zanikają w etosie nauczycielskim. Mam też spore wątpliwości, na ile młodzi nauczyciele widzą etos w zawodzie, który powinien być służbą człowiekowi i ojczyźnie, bo słyszę coraz częściej, że to zawód „jak każdy inny". Nie możemy iść w tym kierunku, bo skończy się jak w niektórych krajach zachodnich, gdzie nauczyciel jest z reguły pasem transmisyjnym ideologii neomarksistowskiej kształtującym nowego człowieka według koncepcji opisanych przez Yuvala Harariego. Człowieka bezwolnego, który jest „hakowany" przez tych, którzy dzierżą władzę i wytyczają całą jego drogę życiową

Osobiście jestem przywiązana do ideału nauczycielskiego wypracowanego jeszcze w II RP, gdy nauczyciel był odpowiedzialny za swojego ucznia w znacznie większym zakresie, niż ma to miejsce obecnie. Zresztą wiemy, jak wspaniale ukształtowane zostało to pokolenie, które musiało walczyć o wolność w czasach komunistycznych.

Barbara Nowak FOT. MARCIN KAPRON

Jeszcze nie tak dawno słyszeliśmy, że szkoły zostaną uzdrowione i wychowanie patriotyczne będzie traktowane w sposób absolutnie priorytetowy.

To miało wyglądać dużo lepiej. Powiedziałabym wręcz, że nauczycielowi wykształconemu według zasad i wartości cywilizacji chrześcijańskiej trudno dziś znaleźć w kwestii wychowania młodzieży wspólny język z kolegami i koleżankami, którzy dopiero zaczynają swoją karierę. Cały czas mówię o zakresie odpowiedzialności za młodego człowieka. Nie tylko chodzi tu o nauczenie go konkretnych umiejętności, lecz także o wpojenie mu wartości, dzięki którym nasze społeczeństwo będzie mogło trwać i się o rozwijać. Młodzi nauczyciele nie mogą poprzestawać na tym pierwszym zadaniu… Przy czym mówiąc o wartościach, nie mam na myśli lewackich wymysłów, które dziś podciąga się pod tolerancję. To nie są wartości – to są antywartości. Gra toczy się tu o to, jakim państwem będzie Polska przyszłości. I czy w ogóle Polska będzie czy jednak damy się rozpuścić w jakimś paneuropejskim, ponadnarodowym sosie… Dopóki mamy jeszcze nauczycieli świadomych wagi polskiego zadania, dopóty jest nadzieja.

Nie chciałabym jednak brzmieć zbyt pesymistycznie. Widać bowiem, że rewolucjoniści nie zwyciężają u nas tak łatwo jak na Zachodzie. Nie wiem, jak to wygląda w całym kraju, ale w Małopolsce

eprasa.pl c26aa5272a

największym powodzeniem cieszą się wśród uczniów konkursy o charakterze patriotycznym i religijnym. Widać, że ta część młodzieży jest najbardziej aktywna, co pozwala zachować pewną dozę optymizmu. W Małopolsce nie widzę też, by młodzież odrzucała gremialnie dziedzictwo Jana Pawła II. Dobrze wiemy, że część naszych elit wydała już wyrok na papieża Polaka i stara się przekonać do tego resztę społeczeństwa, ale jednak nie idzie im to tak łatwo, jak by chcieli. Dla naszej młodzieży Jan Paweł II to wciąż ważna postać, o której chcą się uczyć i która żywo ich interesuje.

Mam też wrażenie, że na Zachodzie neomarksiści „przedobrzyli" i napotkali opór społeczny, którego zupełnie się nie spodziewali. Myślę tu o tzw. korekcie płci u dzieci. Nawet ludzie o lewicowych poglądach instynktownie czują, że dzieje się to z ogromną krzywdą dla najmłodszych.

Jednak jeżeli chodzi o inne ważne tematy cywilizacyjne, takie jak choćby aborcja czy związki homoseksualne, to chyba ciężko mówić o zmianie nastawienia zachodnich społeczeństw?

Ma pan rację, że w tych kwestiach raczej nie widać zmiany. Ale proszę zwrócić uwagę, że lewica na zachodzie „porwana" została przez ekstremistów, którzy bardzo naciskają w sprawie „tranzycji" dzieci. Wiele nadziei daje rosnący w siłę ruch antytranzycyjny złożony z ofiar tych okrutnych eksperymentów. Skoro stoi za tym kłamstwo wymierzone w ludzką naturę, to ta ideologia musi upaść. I wygląda na to, że to się dzieje na naszych oczach.

Wróćmy do edukacji i prawdy historycznej. Jak skutecznie promować taki przekaz?

Przede wszystkim trzeba wyeliminować to wszystko, co jest niezgodne z naukowym przekazem, a jest ideologiczną indoktrynacją. Niestety, nie zostało zatamowane wprowadzanie do polski szkół programów promowanych przez agendy UE i ONZ. Jedną z nich jest Europejska Agencja na rzecz Rozwoju Edukacji Specjalnej i Włączającej, która realizuje nakaz likwidacji szkół specjalnych, określanych jako „segregujące", „dyskryminujące". Agencja ta promuje i nakazuje działania „równościowe", które mają m.in. usuwać „stereotypowe" podejście do płci, wprowadzać płcie kulturowe czy wspomagać „dzieci LGBT". Niemal wszystkie programy wymiany młodzieżowej są obarczone zapisami ideologicznymi traktującymi o rzekomych zbrodniach człowieka wobec klimatu, szkodliwości jedzenia mięsa, potrzebie traktowania związków homoseksualnych i innych jako rodzinę. Wiele krzywd wyrządza powielany i wzmacniany systemowo komunikat do młodych ludzi o tym, że każdy ma prawo do wyrażania swoich emocji, formułowania opinii bez konieczności oparcia ich na faktach, logice czy rozumie.

Mitem jest to, że szkoła w Polsce jest absolutnie autonomiczna. Jesteśmy stale bombardowani nowinkami ideologicznymi. Polska jest „obdarowywana" finansami nie dlatego, że tak nas miłują unijni decydenci, ale dlatego, żebyśmy wyznawali ich poglądy na każdą sferę życia.

Problemem jest też to, że nie przekazujemy wszystkim dzieciom odpowiednich treści na temat życia rodzinnego. Mamy wprawdzie w szkołach przedmiot wychowanie do życia w rodzinie, ale jest on nieobowiązkowy i z roku na rok uczestniczy w nim coraz mniej uczniów z powodu lewicowej propagandy przedstawiającej go jako przejaw zacofania. To powinien być przedmiot obowiązkowy, gdzie każdy uczeń otrzyma wiedzę o tym, jak ważne dla jego osobistego dobra i szczęścia, a także dla społeczeństwa, jest zbudowanie trwałego związku małżeńskiego i posiadanie potomstwa.

> **Mam wrażenie, że na Zachodzie neomarksiści „przedobrzyli" i napotkali opór społeczny, którego zupełnie się nie spodziewali**

Widać pomysł na to, jak szkoła powinna kształtować świadomego obywatela?

Jest na to pomysł, prawo oświatowe jest całkiem dobre. Niestety, nie jest ono przestrzegane. Problemem są „genderowe samorządy" wprowadzające własne programy kształcenia. Forpocztą jest samorząd warszawski. Mamy dwuwładzę nad szkołami. Samorząd jest organem prowadzącym, który powinien się zajmować kwestiami organizacyjnymi, ale nie zawsze tak jest. „Genderowe samorządy" łamią bowiem prawo i wchodzą w kompetencje ministerstwa i kuratoriów. Brakuje tu zdecydowanej reakcji władz rządowych, a ponieważ jej nie ma, to mimo dobrego prawa często do głów uczniów stopniowo wtłaczane są groźne idee grożące w przyszłości rozpadem naszej wspólnoty narodowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BARBARA NOWAK – jest małopolską kurator oświaty (od 2016 r.). Ukończyła historię na UJ, przez wiele lat pracowała jako nauczycielka historii i dyrektorka szkoły podstawowej. W latach 2010–2016 była krakowską radną z ramienia PiS.

eprasa.pl c26aa5272a

Wyciągnąć historię z lamusa

Jakub Ostromęcki

Jak najskuteczniej przekonać polską młodzież do zgłębiania naszych dziejów, do budowania na tej podstawie poczucia wspólnoty?

Rok 2015. Trwa kampania marketingowa wódki produkowanej przez bielski Polmos. Młoda pracownica firmy reklamowej umieszcza na facebookowym profilu promującym ognisty trunek czarno-białe zdjęcie. Na nim kilku mężczyzn niesie swojego, zdawałoby się nieprzytomnego kolegę. Do tego dodaje przaśny podpis mówiący coś o wieczorze kawalerskim, kacu, dobrej zabawie. Jest to jedna z gorszych decyzji w jej życiu. Zdjęcie przedstawia bowiem ofiary ZOMO z 1982 r. z Lubina. Na skutek oburzenia internautów i członków Solidarności pracownica musi szybko pożegnać się z firmą. Przez sąd zostaje uznana winną przestępstwa zniesławienia. Tłumaczy, że będąc osobą młodą, nie wiedziała wiele o czasach stanu wojennego.

Kilka lat później krakowski historyk prof. Andrzej Nowak udziela wywiadu „Gazecie Wyborczej". Mówi o Oleandrach. O osobistym i historycznym znaczeniu tego miejsca. Dziennikarz, z wykształcenia humanista, człowiek wówczas ponad 45-letni, mający na koncie kilka książek, nie wie, o co chodzi. Zapada milczenie, ale profesor wyprowadza rozmówcę z zakłopotania z niezwykłą klasą, napomykając jedynie o „przepaści międzypokoleniowej". Komentarze czytelników są jednak bezlitosne.

Te dwie sytuacje mogłyby sugerować, że nauczanie historii w naszym kraju jest w ruinie. Że mamy do czynienia z przerwaniem transmisji kulturowej, rozpadem wspólnoty, nawet brakiem umiejętności porozumienia się. Czy jest aż tak źle? Na to pytanie odpowiada raport IPN pt. „Edukacja dla pamięci. Przekaz wiedzy historycznej w kontekście postaw Polaków wobec ich przeszłości". Badanie to, w formie testu, ankiety oraz wywiadu, zostało przeprowadzone w 2022 r. Składało się z kilku elementów: sprawdzenia wiedzy historycznej respondentów, ich stosunku do historii w ogóle, stosunku do ważnych wydarzeń i postaci oraz preferowanych metod i narzędzi nauczania. Pytano nie tylko uczniów szkół średnich, lecz także osoby powyżej 20. roku życia oraz nauczycieli. Dobrym uzupełnieniem, choć bardziej interdyscyplinarnym, jest kolejne badanie IPN zorientowane na użycie najnowszych technologii w nauczaniu historii, również z 2022 r.: „Immersyjna edukacja historyczna – w stronę nowych ścieżek edukacyjnych".

Zacznijmy od testu wiedzy, ograniczając wnioski z tej części badania do uczniów. Test w większości składał się

eprasa.pl c26aa5272a

FOT. ADOBE STOCK

z pytań dotyczących wieku XX. Jest to sensowny wybór. To wydarzania tego okresu budzą największe spory, to one są przedmiotem zainteresowania polityki historycznej wielu państw i to wokół wydarzeń i bohaterów wieku XX kształtuje się najważniejszy, choć oczywiście niejedyny, komponent tożsamości narodowej.

39 proc. Tyle wyniósł średni wynik w przypadku uczniów szkół średnich. Najgorzej wypadły zadania testowe, związane z rozumowaniem przyczynowo-skutkowym. Tylko 29 proc. uczniów wie, że ujawnienie zbrodni katyńskiej spowodowało zerwanie stosunków dyplomatycznych z Sowietami. Dwie trzecie nie potrafi określić, kto mordował Polaków na Wołyniu.

Nieco lepiej wypadły pytania oparte na pracy z ikonografią. „Schleswig-Holstein" ostrzeliwujący Westerplatte rozpoznaje na zdjęciu połowa uczniów, powstanie w getcie warszawskim – 38 proc. Niebezpieczeństwo traktowania XX w. po macoszemu w nauczaniu historii widać też w badaniu „Immersyjna edukacja historyczna". 15 proc. przedstawicieli ankietowanych reprezentujących Pokolenie Z, czyli ludzi urodzonych po 1995 r., stwierdziło, że nigdy nie uczyło się historii najnowszej. Wśród starszych od nich millennialsów liczba ta wynosiła 10 proc.

PATRIOTYZM WEDŁUG LEWICY

Jak wygląda dominujący w statystyce typ zwycięzcy testu? Jest mężczyzną, uczniem liceum, deklarującym patriotyzm, prawicowe poglądy i – co ciekawe – chętnie udzielającym się społecznie. Wśród respondentów osiągających kiepski wynik będzie natomiast więcej kobiet ze szkół branżowych, deklarujących lewicowość, nikły patriotyzm i niechętnie działających na rzecz dobra wspólnego.

Badacze wyodrębnili trzy zasadnicze postawy wobec historii: refleksyjną, poznawczą, kontestacyjną. Pierwsza charakteryzuje ludzi, dla których, jak czytamy w raporcie, „historia jest źródłem użytecznej wiedzy, [...] pozwala zrozumieć współczesne problemy, określa tożsamość, pozwala uniknąć popełnionych w przeszłości błędów". Drugą grupę reprezentują uczniowie zwyczajnie lubiący zgłębiać wiedzę, choćby tylko z wybranych epok. Te dwie postawy reprezentuje 15 proc. badanych. Kontestatorzy, jak sama nazwa wskazuje, chcą mieć z przedmiotem jak najmniej do czynienia. Stanowią tylko 8 proc. uczniów. Co z resztą? Ponad połowa badanych uczniów ma wobec historii postawę ambiwalentną. 64 proc. uczniów określiło się jednocześnie jako patrioci, przy czym pamiętać należy, że identyfikowali się oni głównie z patriotyzmem heroicznym. Jednak tylko 17 proc. z badanych reprezentuje postawę afirmacyjną wobec polskich dziejów, a 29 proc. reprezentowało postawę nieustępliwości w sporach o pamięć historyczną z innymi narodami czy państwami.

Jeśli chodzi o kanon bohaterów narodowych, to kolejne pokolenia są ze sobą w miarę zgodne. Prowadzą Józef Piłsudski i Jan Paweł II, przy czym papieża Polaka młodzież wskazuje mniej chętnie niż pokolenie 20-latków. Wśród reszty bohaterów przeważają herosi: wojskowi, bojownicy, działacze. Prawie nie ma w nim przedsiębiorców i wynalazców. Pamiętajmy też, że tylko połowa badanych uczniów była w stanie wskazać swojego bohatera historycznego.

Stosunek do formy i narzędzi nauczania pełen jest paradoksów. 82 proc. uczniów wskazuje na lekcje jako najczęstszy i najbardziej wiarygodny sposób zdobywania wiedzy. Jednocześnie uczniowie uważają, że jest to jedna z najnudniejszych form poznawania przeszłości. Rozmijają się również oczekiwania nauczycieli i uczniów. Według tych pierwszych najatrakcyjniejszym sposobem zdobycia wiedzy są prezentacje uczniów, udział w debatach i spotkania z badaczami. Uczniowie nie chcą o tym słyszeć. W zdecydowanej większości preferują wyjścia, wyjazdy do muzeów czy bardzo nowatorskie testowanie alternatywnej historii za pomocą multimediów. Jest to poniekąd zrozumiałe. Młodzież traktuje wyjścia lub wyjazdy niekoniecznie w kategoriach edukacyjnych, lecz towarzyskich, jest również bardziej biegła w nowych technologiach od starszego pokolenia. Te formy kształcenia z kolei spotykają się ze sceptycyzmem nauczycieli. Przezwyciężenie rozdźwięku między oczekiwaniami uczniów i nauczycieli jest jednym z większych wyzwań, które stoją przed współczesną polską szkołą.

W badaniu okazało się, że mimo nie najlepszego stanu wiedzy i rozmijających się oczekiwań uczniów i nauczycieli wciąż mamy do czynienia z transmisją kulturową między pokoleniami. Ponadto 62 proc. uczniów stwierdziło, że rozmawia w gronie rodzinnym o historii, głównie o przeżyciach rodziców lub dziadków. Jednocześnie jednak jedna trzecia uczniów nie wie, skąd ich rodzina wzięła się na terenie, na którym mieszkają. Potwierdzeniem istnienia transmisji międzypokoleniowej mogą być przytoczone wcześniej wskazania dotyczące ulubionych bohaterów i antybohaterów historycznych.

WKUWANIE DAT

Jakie są konkluzje z badań? Raport słusznie wskazuje, że w pytaniach testowych z wykorzystaniem ikonografii „widać duże obszary niewiedzy, niepokojące, tym bardziej iż współczesny świat jest

eprasa.pl c26aa5272a

zdominowany przez przekaz wizualny". Ofiarą takiej sytuacji mogła być właśnie nieszczęsna pracownica agencji reklamowej przywołana na początku artykułu. O samych lekcjach raport mówi, że „to, co jest źródłem wiedzy najważniejszym i najbardziej wiarygodnym (lekcje historii), rzadko bywa uznawane za ciekawe. To, co jest ważne i ciekawe (Internet), w mniejszym stopniu jest traktowane jako wiarygodne […], są to niespójności warte przemyślenia przez osoby planujące edukację w zakresie historii". Potwierdzeniem owego „paradoksu lekcji" jest badanie „Immersyjna edukacja historyczna". Okazuje się, że tylko 12 proc. tzw. geeków, czyli ludzi świetnie poruszających się w świecie wirtualnym, poszukując wiedzy, chętnie korzystało z lekcji. Uczniowie i absolwenci określeni w badaniu jako „niechętni obserwatorzy", czyli ludzie stroniący zarówno od historii, jak i nowych technologii, w dużo większym stopniu polegali na nauczycielach – 25 proc. z nich wskazało lekcje jako główne źródło wiedzy. Ostateczna konkluzja z badania brzmi: „Przyszły kształt postaw wobec historii ukształtuje się w miejscach żywej pamięci oraz w przestrzeni wirtualnej". Sukces w tym wymiarze zależeć będzie w zdecydowanej większości od nauczycieli.

Badanie, choć dające do myślenia, nie opisuje wszystkich problemów związanych z kształtowaniem wspólnoty narodowej czy też obywatelskiej na lekcjach historii. Należy je uzupełnić obserwacjami poczynionymi „spod tablicy", czyli z codziennej praktyki nauczycielskiej. Autor niniejszego artykułu uczy historii w jednym z wiodących warszawskich liceów. Zacznijmy od tego, że historia jest przedmiotem, jak to niegdyś określiła Centralna Komisja Egzaminacyjna, „dość niskiej rangi". W 2023 r. jako przedmiot maturalny wybrało ją 8 proc. absolwentów szkół średnich. Dla porównania: biologię wybrało 24 proc. absolwentów. Średni wynik z matury z historii wyniósł w liceach 45 proc., a w technikach 27 proc. „Po historii nie pójdę na dobre studia, które dałyby mi pieniądze", „Jest wypracowanie i trzeba wkuwać daty" – tak brzmią najczęstsze wytłumaczenia niechęci do zadawania przedmiotu na maturze. Oba mają w sobie pewne racje.

Przejdźmy do problemu rugowania historii XX w., którego skutki widać w przeprowadzonym przez IPN teście. Jest to sytuacja poniekąd łatwa do wytłumaczenia, choć oczywiście nie powinna mieć miejsca. W szkole średniej na naukę historii po 1945 r. zwyczajnie nie starczało do tej pory czasu. Nauczyciele starali się realizować dokładnie rozkład materiał z klasy I i II. Jednocześnie z różnych powodów (kadrowych czy zdrowotnych) powstawały opóźnienia. Drugą połowę XX w. realizuje się w klasie IV, gdzie zdecydowana większość uczniów skoncentrowana jest już na nauce przedmiotów kierunkowych, czyli tych, które będą zdawali na maturze. W szkołach panuje zatem dość silny nacisk na to, aby „maturzystom dać już spokój z tą historią".

Jeśli polityka historyczna ma być skierowana do ludzi o różnych poglądach, to trzeba uzupełnić program o poczet przedstawicieli polskiego sukcesu gospodarczego

Pewnym rozwiązaniem może być wprowadzenie przedmiotu historia i teraźniejszość, który bardzo mocno koncentruje się na dziejach Polski i świata po 1945 r. Wprowadzenie HiT wygenerowało jednak nowe problemy. Uczeń klasy pierwszej jednego dnia na historii zapoznaje się z dziejami średniowiecza, aby po kilku godzinach zegarowych na „hicie" przeskoczyć do PRL epoki Gomułki. Słabo znając przy tym historię drugiej wojny światowej, która realizowana będzie na historii dopiero w klasie IV. Uczeń taki uczył się co prawda o drugiej wojnie światowej w VIII klasie szkoły podstawowej, ale zazwyczaj niewiele z tego już pamięta.

HISTORIA SUKCESÓW

Co ważne, wcale nie trzeba było „hitu", aby uzyskać czas potrzebny na realizację treści z wieku XX. Wystarczy ciąć, i to solidnie. Mimo kolejnych reform i zmian programów nauczanie historii od dziesięcioleci wygląda podobnie. Uczeń liceum przepytywany jest np. z chronologii dziejów politycznych starożytnego Wschodu, reform instytucji ateńskich, składów rzymskich triumwiratów, etapów walki cesarstwa z papiestwem czy dokładnych przemian terytorialnych w czasach pierwszych Piastów. Uczniowi liceum na poziomie podstawowym nie jest to do niczego potrzebne, zwłaszcza że w wielu podręcznikach nie ma np. osobnych tematów poświęconych zbrodni wołyńskiej. Odchudzając tylko program dla klasy I, można by uzyskać spokojnie 10 dodatkowych godzin na istotniejsze, choć często kontrowersyjne tematy związane ze współczesnością.

W badaniu IPN uczniowie wskazywali bohaterów i wydarzenia kojarzone z patriotyzmem heroicznym, walczącym. Pytanie, czy robili to z przekonania czy z braku innych możliwości. Zadałem kiedyś pytanie klasom kompletnie niezwiązanym z historią o to, jaki mają główny zarzut do tego przedmiotu jako takiego.

Co istotne, było to grubo przed 24 lutego 2022 r. Byli to uczniowie głównie o poglądach liberalno-lewicowych. Ich odpowiedź da się streścić następująco: „Uczymy się o polskiej walce, cierpieniu i oporze, a nie o polskim sukcesie gospodarczym, wynalazczym, społecznym. Nie musimy dziś o nic walczyć, chcemy zarabiać pieniądze i o takich działaniach chcielibyśmy się uczyć." Jeśli zatem polska polityka historyczna ma być skierowana do ludzi o różnych poglądach politycznych, to trzeba uzupełnić program o poczet przedstawicieli polskiego sukcesu gospodarczego. Nie w formie suchej wyliczanki, jak ma to miejsce obecnie, ale bazując na statystykach i tłumacząc okoliczności, w jakich przyszło im działać. Dobrą ściągawką dla nauczycieli może być „Poczet przedsiębiorców polskich" wydawnictwa WEI.

IPN słusznie zauważa, że „najważniejszym wyzwaniem dla systemu edukacji są według raportu nie kontestatorzy historii, ale osoby ambiwalentne". Uczniowie z przytoczonych wyżej rozmów byli przedstawicielami właśnie takiej grupy. Aby przekonać ich do historii – czyli stworzyć z nich członków wspólnoty narodowo-państwowej – nie wystarczy postraszyć ich losem pracownicy marketingu czy dziennikarza z początku artykułu. Trzeba ich również zjednać.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Pasjonaci żywej historii

W lipcu na polach Grunwaldu 1,5 tys. osób wzięło udział w inscenizacji bitwy, która zmieniła losy Polski i Europy FOT. ADOBE STOCK

Wojciech Simon

Odtwarzają bitwę pod Grunwaldem, Bitwę Warszawską, sceny z powstań styczniowego, wielkopolskiego czy warszawskiego oraz najważniejsze batalie z czasów drugiej wojny światowej. Polscy rekonstruktorzy potrafią nie tylko jeździć konno, władać mieczem i włócznią czy strzelać z łuku. Najważniejsze wydarzania odgrywają z taką pasją i dbałością o detale, że ich pokazy przyciągają dziesiątki tysięcy widzów

Barwne stroje z epoki, zbroje, historyczne pojazdy, a nawet sprzęt pancerny, najprawdziwsze odgłosy bitwy oraz setki, a czasem wręcz tysiące zakochanych w historii uczestników inscenizacji pomagają widzom w „podróży w przeszłość". Niezwykłe zaangażowanie wojów/rycerzy/żołnierzy połączone z elementami gry aktorskiej, pirotechniki oraz nowoczesnych multimediów sprawiają, że inscenizacje najważniejszych wydarzeń z historii Polski zmieniają się w zapierające dech w piersiach widowiska i na długo pozostają w pamięci widzów.

Jak czytamy w raporcie z badań „Grupy rekonstrukcji historycznych – działania oddolne na rzecz krzewienia kultury narodowej", tradycja rekonstrukcyjna w Polsce sięga XVIII w. „Ruch odtwórstwa historycznego jest jednym z największych ruchów społecznych powstałych w Polsce po 1989 roku i stanowi potężny filar w uświadamianiu rodaków o ich historii i promowaniu poczucia narodowej tożsamości" – zauważają autorzy dokumentu.

Rzeczywiście, w ciągu ostatnich trzech dekad tego typu grupy zyskiwały na popularności w tak szybkim tempie, że zdołały stać się już jedną z wizytówek współczesnej Polski. Członkowie grup rekonstrukcyjnych – nie tylko historycy, lecz także lekarze, dziennikarze, wojskowi, mechanicy samochodowi, harcerze czy młodzi fani fantasy oraz gier RPG – wcielają się w żołnierzy z różnych epok i z wielką pieczołowitością przeszukują archiwa, aby móc jak najbardziej wiarygodnie odtworzyć szczegóły faktycznego przebiegu zdarzeń, jednocześnie przywracając zbiorową pamięć o polskich bohaterach. Dzięki rekonstruktorom zainteresowanie inscenizacjami historycznymi stało się tak duże, że trudno dziś wyobrazić sobie bez nich rocznicowe

eprasa.pl c26aa5272a

obchody najważniejszych wydarzeń. Część widzów w wakacje podróżuje zaś po całym kraju, aby na żywo oglądać najlepsze inscenizacje scen batalistycznych i zaszczepić w ten sposób w dzieciach historycznego bakcyla.

Potyczka ułanów z bolszewikami podczas rekonstrukcji Bitwy Warszawskiej FOT. WOJTEK JARGIŁO/PAP

WIELKIE ZWYCIĘSTWA POLAKÓW

Bitwa Warszawska uznawana jest przez historyków za jedną z 20 przełomowych batalii w dziejach świata (ambasador brytyjski w przedwojennej Polsce lord Edgar D'Abernon umieścił ją dokładnie na miejscu 18.). 15 sierpnia tego roku, z okazji 103. rocznicy polskiego zwycięstwa nad rosyjską armią na Polach Ossowskich, odbyła się tradycyjna inscenizacja tej przełomowej batalii. Podczas inscenizacji dziesiątki rekonstruktorów z całej Polski przedstawiło wydarzenia sprzed 103 lat. Członkowie grupy rekonstrukcyjnej przypomnieli również publiczności bohaterską postawę ks. Ignacego Skorupki. Widzowie mogli podziwiać m.in. brawurową szarżę polskiej kawalerii pod Komarowem, która rozbiła konną armię Siemiona Budionnego.

Rekonstrukcja Bitwy Warszawskiej, która w XX w. obroniła Polskę oraz Europę przed bolszewicką zarazą, organizowana jest w tym miejscu przez Starostwo Powiatowe w Wołominie już od 2005 r. Inscenizacje wiernie oddają najmniejsze detale. Żołnierze występują w pełnym umundurowaniu, w walkach wykorzystywany jest historyczny sprzęt pancerny (np. czołg Renault FT 1917), a widzowie mogą posłuchać słów dowódców, zobaczyć, jak niegdyś jeździła artyleria, czy doświadczyć tego, jak tupią konie, na których przebrani w dawne mundury polscy ułani z szablami szykują się do szarży na kozaków z armii Tuchaczewskiego.

Wydarzenie stało się tak dobrze znane, że co roku obserwuje je kilkanaście tysięcy widzów, w tym wielu cudzoziemców. Na trybunach goście zasiadają całymi rodzinami, dzięki czemu inscenizacja staje się żywą lekcją historii dla dzieci, a także ich rodziców. Tradycyjnie wydarzeniu towarzyszył również piknik rodzinny.

Miesiąc wcześniej, w lipcu 2023 r., na polach Grunwaldu półtora tysiąca osób z najróżniejszych zakątków świata wzięło udział w pełnej emocji inscenizacji bitwy, w której wojska zakonne poniosły sromotną klęskę i która zmieniła nie tylko losy Polski, lecz także całej Europy. W tym roku jedno z najważniejszych zwycięstw polskiego oręża rekonstruktorzy odtworzyli już po raz 25. Sygnałem do rozpoczęcia XXV Inscenizacja Bitwy pod Grunwaldem było odpalenie trzech armat. Scenariusz wydarzenia tradycyjnie oparty był zaś na relacji autorstwa kronikarza Jana Długosza.

„Gdy w 1992 roku pierwszy raz wyjechaliśmy na pola pod Grunwaldem, nie spodziewaliśmy się, że to, co rozpoczęło się od 20 osób, rozrośnie się do 6,5 tysiąca rekonstruktorów zebranych na okrągłej rocznicy w 2010 roku. Pierwszym sygnałem do tego, jak wiele osób pragnie wziąć udział w takim przedsięwzięciu, była liczba osób zebranych na pierwszej oficjalnej rekonstrukcji. Początki były trudne. Nie mieliśmy skąd czerpać rzetelnych informacji na temat epoki – uzbrojenia, sprzętu oraz sposobu budowania obozu. Daleko nam było do 130-letniej tradycji rekonstruktorskiej, obecnej chociażby w Anglii. W 1998 roku, przy wsparciu wójta gminy Grunwald, podjęliśmy ryzyko organizacji czegoś większego. Odpowiedź środowiska rekonstruktorów historycznych przekroczyła nasze oczekiwania. Przybyło wtedy do obozu około 600 osób" – wspomina Jacek Szymański, który podczas inscenizacji wciela się w króla Władysława Jagiełłę. „Czuję się dumny, że pamięć o tym dniu ciągle żyje w społeczeństwie. Cieszy mnie obserwowanie ludzi, którzy nie przyjechali do nas dla samego jarmarku, ale żeby być i poczuć wagę tego historycznego momentu, stojąc na grunwaldzkiej ziemi" – mówi cytowany na stronie grunwald1410.pl. To przed jego oblicze po zakończeniu bitwy rok w rok zwożony jest na wozie Ulrich von Jungingen (czyli legendarny w środowisku rekonstruktorów Jarosław Struczyński, który od początku lat 90. na co dzień pełni funkcję kasztelana zamku w Gniewie, ale co roku wciela się też w zaszczytną rolę wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego).

Na pola Grunwaldu regularnie ściągają miłośnicy średniowiecza, którzy nie tylko szykują się do powtórki wielkiej bitwy, lecz także starają się żyć i ubierać tak, jak robiono to ponad 600 lat temu. Wojowie i rycerze ściągają pod Grunwald z całego świata: z Niemiec, Włoch, Francji, Finlandii, Czech, ze Słowacji, z Węgier, a nawet zza oceanu. Realistycznej inscenizacji towarzyszą liczne turnieje rycerskie, w tym mistrzostwa w strzelaniu z łuku, władania mieczem. Podczas imprezy rozgrywany jest również Międzynarodowy Turniej Piłki Średniowiecznej (Bruchenball). A podczas wydarzenia odbywają się liczne warsztaty edukacyjne, pokazy strojów z epoki, ptaków łowczych czy koncerty muzyki dawnej.

„1999 rok bardzo mocno zapisał się w mej pamięci, gdyż omal nie zginąłem – tym razem ostatecznie! A było to tak: wieczorem szwagier powiedział mi, że na tę bitwę da mi nowego konia. Przygotowanego do skoków, do rajdów, idealnego na tę okazję. Nie przewidział jednak nikt, że nic nie mogło go przygotować do odgłosów i stresu pola bitwy. Zgrało się to tak, że gdy lektor czytał fragment, jak to wielki mistrz zwala się jak kłoda na ziemię, koń

eprasa.pl c26aa5272a

jak na komendę stanął dęba. Próbując zachować równowagę, zsunąłem się po jego zadzie, łapiąc się jeszcze ogona. Szczęśliwie upadłem na ziemię, ale był to jednocześnie moment ataku polskiego wojska. Koń chcąc najkrótszą drogą wycofać się z zasięgu szarży, przeszedł po mnie, miażdżąc mi kości śródstopia" – wspomina Jarosław Struczyński, cytowany na stronie grunwald1410.pl.

Wśród polskich rekonstruktorów jest wiele grup odtwarzających życie rycerskie, organizujących międzynarodowe turnieje na zamkach oraz pokazy przypominające publiczności o wielkości polskiej husarii. Pasjonaci polskiej historii przypominają też o zasługach Marynarki Wojennej II RP, oddają część bohaterom z armii Andersa, powstańcom warszawskim czy żołnierzom Września '39.

„FIRST TO FIGHT"

Chętnych do bycia rekonstruktorami nie brakuje, bo działalność w grupach pozwala nie tylko lepiej poznać własne dziedzictwo i dorobek przodków, lecz także przenieść się w czasie do czasów drugiej wojny światowej lub jeszcze wcześniej do ery kuszy i zbroi oraz dogłębnie zanurzyć się w dawnej kulturze. Pasjonatów historii jest już tak wielu, że w czerwcu tego roku w Nysie odbył się I Ogólnopolski Zlot Grup Rekonstrukcji Historycznej, którego organizatorem było Stowarzyszenie Miłośników Historii i Wojskowości im. rtm. Witolda Pileckiego (pod koniec lipca obecnego roku żołnierze Napoleona kolejny raz próbowali zaś zdobyć Twierdzę Nysę, odtwarzając bitwę z 1807 r.).

Wielu rekonstruktorów dbających o pamięć polskich bohaterów działa również poza granicami kraju. Ponad dwie dekady temu na Węgrzech powstała Grupa Rekonstrukcji Historycznej Legionu Wysockiego. Jej członkami są Polacy mieszkający na Węgrzech, ich potomkowie, a także Węgrzy zafascynowani polsko-węgierską historią. Wspólnie upamiętniają oni polskich bohaterów m.in. podczas uroczystości jubileuszowych związanych z Wiosną Ludów, a także w sumie niemal 50 różnego typu uroczystościach rocznie. W ramach Legionu powstał również galowy pododdział Żołnierz Września, oddający cześć pamięci 150 tys. polskich żołnierzy oraz cywilów, którzy właśnie na Węgrzech znaleźli schronienie podczas drugiej wojny światowej. W 2019 r. założyciel Grupy Rekonstrukcji Historycznej Legion Wysockiego, Endre Máté, został odznaczony przez szefa MON Mariusza Błaszczaka Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

W 2010 r. przedstawiciele młodej polskiej emigracji zarobkowej z różnych zakątków Wielkiej Brytanii stworzyli Grupę „First to Fight", która odtwarza umundurowanie 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, 3. Dywizji Strzelców Karpackich, Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich oraz Pomocniczej Wojskowej Służby Kobiet. Jak zauważa IPN, członkowie grupy nie tylko biorą udział w najważniejszych polskich uroczystościach upamiętniających historię drugiej wojny światowej, lecz także w zlotach brytyjskich grup rekonstrukcji historycznej, promując wśród Polonii oraz wśród Brytyjczyków wiedzę o polskim wkładzie w alianckie zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami. Członkowie „First to Fight" dbają również o polskie cmentarze wojskowe i opiekują się ostatnimi żyjącymi kombatantami.

Grupy rekonstruktorskie pozwalają na prezentację historii w atrakcyjnej dla współczesnych widzów formie

Niezależnie od tego, gdzie działają grupy rekonstruktorskie, pozwalają one na prezentację teorii opracowanej przez historyków w atrakcyjnej dla współczesnych widzów formie. Taki aktywny patriotyzm ratuje przed zapomnieniem wielu polskich bohaterów, a jednocześnie promuje edukację historyczną – wielu nastoletnich członków grup rekonstrukcyjnych swoją wiedzą mogłoby bowiem zaskoczyć niejednego studenta historii.

UPAMIĘTNIANIE BOHATERÓW

Poza rekonstruktorami w Polsce działa bardzo wiele organizacji zrzeszających fascynatów historii, którzy nagłaśniają lokalne wydarzenia. Jedną z takich grup jest Stowarzyszenie „Wizna 1939". Początkowo zrzeszało ono głównie mieszkańców Wizny i okolic, a jego założycielem był Dariusz Szymanowski. Miała to być organizacja społeczna zajmująca się badaniem losów rodzin z Wizny wywożonych na Sybir (w tym rodziny prezesa Szymanowskiego). „Szybko jednak okazało się, że wiodącym tematem i celem działalności stała się historia bitwy pod Wizną i jej bohatera kpt. Władysława Raginisa. W miarę upływu czasu do stowarzyszenia dołączali nowi członkowie, a organizacja rozszerzyła swoją działalność, tak w zakresie poruszanych tematów, jak zasięgu działania. Zaczęliśmy się zajmować tematami z okresu powstania styczniowego 1863 r., wojny polsko-bolszewickiej 1920 r., wojny 1939 r. i innych okresów – jednym słowem, historią Polski. Lata doświadczeń spowodowały, że ukształtował się też profil naszej działalności. Dziś zajmujemy się głównie poszukiwaniem zatartych mogił polskich żołnierzy poległych w walkach o niepodległość Polski, a także ich upamiętnianiem. To pewnego rodzaju misja, na którą zdecydowaliśmy się wspólnie z kolegami ze stowarzyszenia i którą na razie – w naszej ocenie – z powodzeniem realizujemy" – tłumaczy „Do Rzeczy" wiceprezes i rzecznik prasowy Wizny Marcin Sochoń.

Marcin Sochoń podkreśla, że w polskim społeczeństwie zdecydowanie widać coraz większe zapotrzebowanie na społeczne inicjatywy pasjonatów historii. „To setki organizacji pozarządowych, których nazw nawet nie będę starał się wymieniać, ponieważ mógłbym przez niedopatrzenie jakąś pominąć, ale także bardzo dużo pasjonatów historii i poszukiwań. To w zdecydowanej większości właśnie oni, a nie instytucje państwowe, prowadzą badania, odkrywają absolutnie niebywałe historie ludzkie" – zauważa Marcin Sochoń, podając za przykład Karola Soberskiego z Fundacji Historycznej „Przywracamy Pamięć". „W Gnieźnie i okolicach wykonał on tytaniczną pracę badawczą związaną z mordami niemieckimi z okresu drugiej wojny światowej na pacjentach Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych »Dziekanka«. Ta niebywała praca może przyczynić się do nowych odkryć i pomóc w odnalezieniu i godnym pochowaniu pomordowanych obywateli polskich. Przykłady można liczyć w setkach, a nawet tysiącach. Ważne, że pasja to wielka siła, która zmienia świat i przyczynia się do nowych i spektakularnych z perspektywy historii odkryć" – podkreśla wiceprezes i rzecznik prasowy „Wizny".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Przez muzeum do serca

Wizualizacja nowej siedziby Muzeum Historii Polski FOT. WXCA

Radosław Wojtas

W ostatnich latach przybyło w Polsce wiele światowej klasy obiektów muzealnych, które w sposób ciekawy i zróżnicowany opowiadają naszą historię. W czym tkwi sekret wystaw, które najskuteczniej trafiają do widzów z propolskim przekazem?

Kiedy na początku sierpnia odwiedzam Cytadelę Warszawską, jest ona wciąż placem budowy. Trwają ostatnie przed planowanym na 28 września prace przy „największej inwestycji kulturalnej w dziejach niepodległego państwa polskiego", jak o budowie gmachu Muzeum Historii Polski powiedział w rozmowie z PAP dyrektor tej instytucji, Robert Kostro. Po Cytadeli oprowadza mnie Krzysztof Niewiadomski, kierownik Działu Programowego Wystawy Stałej. Kiedy zbliżamy się do budynku od strony elewacji wschodniej, wyłożonej portugalskim marmurem z reliefami nawiązującymi do historii polskiej architektury, niejednorodnej kolorystycznie i urozmaiconej dużymi przeszkleniami, mój przewodnik tłumaczy: – Poprzez tę wielowarstwowość elewacji chcieliśmy nawiązać do wielowarstwowości historii, na którą nakładają się warstwa po warstwie kolejne wieki i wydarzenia.

Nawiązuję do tego nie bez powodu. Nowoczesny sposób opowiadania historii w muzeach także jest wielopoziomowy, wielozmysłowy.

ARTEFAKTY PRZEDE WSZYSTKIM

Nawet mając do dyspozycji 7,3 tys. mkw. – a taką właśnie powierzchnię MHP poświęci na wystawę stałą, która nie będzie jeszcze udostępniona zwiedzającym w dniu otwarcia muzeum – niełatwo opowiedzieć przeszło tysiąc lat historii Polski. – Pokutuje taki stereotyp, że nowoczesne muzeum równa się multimedialne muzeum. Otóż nie. Oczywiście korzystamy z multimediów, ale od samego początku planowania muzeum naszym zamiarem było gromadzenie kolekcji eksponatów, które będą ilustrować opowiadaną historię – mówi Krzysztof Niewiadomski.

Najstarsze z nich mają mniej więcej tyle samo lat, co państwo polskie, jeśli jego narodziny liczyć od chrztu Mieszka I. Już w holu, który prowadzi bezpośrednio na wystawę stałą, eksponowany będzie jeden z najstarszych artefaktów muzeum. To pień dębu czarnego. Drzewo wyrosło w II połowie X w., w epoce wczesnonowożytnej zostało powalone i wpadło do jeziora. Woda zakonserwowała je i dzięki temu, po tysiącu lat od wykiełkowania, dąb z Kociewia znajdzie się w jednym z najnowocześniejszych muzeów w Polsce.

Z wody, tym razem z rzeki, pochodzi inny ciekawy obiekt, który znajdzie się na wystawie stałej. I będzie to jeden z najbardziej spektakularnych eksponatów. Są to marmury, które Szwedzi ściągnęli z królewskiego pałacu Wazów w Warszawie. Na jego miejscu stoi dziś Pałac Kazimierzowski. Kiedy plądrowali Polskę podczas potopu, zabierali wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość; kradli nawet elewacje. Jedna

eprasa.pl c26aa5272a

z łodzi przewożąca ten łup zatonęła w Wiśle. Kamieniarka została kilka lat temu wydobyta z dna przez archeologów pod wodzą prof. Huberta Kowalskiego. W Muzeum Historii Polski arkada o szerokości 15 m i wysokości 4 m zostanie odtworzona i stanie się istotną częścią opowieści o skali zniszczeń i grabieży, jakich Polska doświadczyła z rąk Szwedów.

– Tam, gdzie historii nie da się opowiedzieć za pomocą artefaktów, bo ich po prostu brakuje, tam pomocne są multimedia – mówi Krzysztof Niewiadomski. – Korzystamy z nich na różne sposoby, niekiedy w formie dużych instalacji immersyjnych, a często jako narzędzie dopowiadające historię, przeznaczone dla bardziej dociekliwych zwiedzających – dodaje. Istotnym elementem jest scenografia. W odpowiedzialnym za nią zespole znalazł się słowacki scenograf Boris Kudlička. – Przemycił dużo teatralnego spojrzenia. Co jest rzadkie, na wystawie gramy poziomem podłogi. Kiedy opowiadamy o XV–XVI w., czyli o okresie zwanym metaforycznie „złotym wiekiem", wchodzimy do góry. Scenografia przypomina wzgórze wawelskie, ale też jest to uniwersalny przekaz rozumiany w każdej kulturze – gdy idziemy w górę, to znaczy, że dzieje się coś dobrego, gdy przechodzimy do mroczniejszych okresów historii, np. do zaborów, schodzimy w dół – wyjaśnia Krzysztof Niewiadomski.

Istotnym elementem scenografii są materiały. W opowieści o początkach państwa polskiego dominują materiały nawiązujące do romańskich budynków, gdy opowieść dotyczy miast i wsi XII w., pojawiają się nawiązania do cegły, w okresie stalinowskim do nieobrobionej stali, a w latach 70. i 80. – do wielkiej płyty.

W DOMU CISZY

Użyte materiały są ważną częścią doświadczenia płynącego ze zwiedzania Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskich w Michniowie. Muzeum w obecnym kształcie funkcjonuje w tym miejscu od 2021 r. i opowiada historię pacyfikacji nie tylko tej jednej wsi (podczas drugiej wojny światowej co najmniej 204 mieszkańców zostało zamordowanych przez Niemców, głównie spalonych żywcem w stodołach), lecz także innych miejscowości, w których wydarzyły się podobne dramaty.

Budynek zaprojektowano w postaci domu-chaty, który w miarę przemieszczania się po ekspozycji ulega defragmentacji. We wnętrzu dominują spalone, sczerniałe drewno, a także beton ze strukturą desek oraz stal. Przeszklenia pomyślano w taki sposób, by nocą budynek przypominał płonące wsie i chaty. Obiekt pełni funkcję muzeum i mauzoleum oraz miejsca pamięci narodowej. Przed budynkiem znajduje się zbiorowy grób pomordowanych mieszkańców wioski.

Zwiedzanie rozpoczyna się w Domu Ciszy. Zgromadzono tam urny z ziemią z niektórych spacyfikowanych polskich miejscowości. Z głośników słyszymy zdającą się nie mieć końca, bo liczącą kilkaset pozycji, listę nazw wsi poddanych represjom podczas drugiej wojny światowej. Zwiedzając kolejne sale tematyczne, w rzeczywistość drugiej wojny światowej wprowadzani jesteśmy poprzez obraz, dźwięk, światło, a nawet… zapach. Multimedia, w tym relacje świadków i specjalnie skomponowana muzyka, pozwalają głębiej zanurzyć się w opowieści.

Centralną częścią Mauzoleum jest sala poświęcona w całości zbrodni w Michniowie z lipca 1943 r., gdzie eksponowane są zdjęcia wymienionych z imienia i nazwiska ofiar Niemców. Osobna sala została poświęcona ludziom, którzy pomagali Żydom w czasie niemieckiej okupacji.

NA POMOC ŻYDOM

Polakom ratującym ludność żydowską poświęcone jest miejsce w wielu muzeach, a jedno z nich – w całości. To Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej. Patroni tej placówki, których beatyfikacja planowana jest na wrzesień tego roku, byli mieszkańcami czteroipółtysięcznej wsi Markowa w przedwojennym województwie lwowskim, a dzisiejszym województwie podkarpackim. Ulmowie pomimo biedy i z narażeniem własnego życia udzielili podczas drugiej wojny światowej schronienia ośmiorgu Żydom. Doniesiono na nich. 24 marca 1944 r. pod ich domem pojawili się niemieccy żandarmi i granatowi policjanci. Zamordowali oni najpierw ukrywanych Żydów, później Józefa i Wiktorię oraz ich dzieci: Stanisława (8 lat), Barbarę (6 lat), Władysława (5 lat), Franciszka (4 lata), Antoniego (3 lata), Marię (1 rok) oraz siódme dziecko (nienarodzone).

Wizualizacja wnętrza Muzeum Historii Polski

FOT. WXCA

Nowoczesna, minimalistyczna i surowa bryła budynku muzeum nawiązuje do prostej wiejskiej chaty. „Podstawowym celem MPRŻ jest pokazanie bohaterskich postaw Polaków, którzy w czasie okupacji niemieckiej pomagali Żydom, ryzykując życie swoje i swoich rodzin – czytamy na stronie internetowej muzeum. – Jest to pierwsza w Polsce placówka muzealna zajmująca się tematyką ratowania ludności żydowskiej na okupowanych ziemiach polskich podczas Zagłady. Wystawa główna pokazuje poznane i udokumentowane przypadki udzielania pomocy Żydom na terenie obecnego województwa podkarpackiego. W przyszłości MPRŻ swoim zainteresowaniem obejmie inne ziemie okupowanej Polski."

eprasa.pl c26aa5272a

Ekspozycja w nowej siedzibie Muzeum Wojska Polskiego
FOT. GOV.PL

Centralnym punktem ekspozycji jest szklany kubik o wymiarach 5 x 8 m, który jest makietą domu Ulmów w skali 1:1. Dom, w którym mieszkali Ulmowie, nie zachował się do dziś, lecz jego makieta daje wyobrażenie warunków, w jakich żyła ta liczna rodzina. Na placu przed budynkiem umieszczono podświetlane tabliczki z nazwiskami Polaków, którzy za pomoc Żydom ponieśli śmierć, a na murze obok muzeum umieszczono nazwiska mieszkańców Podkarpacia, którzy nieśli pomoc ludności żydowskiej. Na środku placu znajduje się z kolei pomnik poświęcony pamięci żydowskich ofiar Zagłady i ich anonimowych polskich wspomożycieli.

Ciekawą koncepcją jest utworzenie w sąsiedztwie muzeum Sadu Pamięci. Jak czytamy na stronie MPRŻ: „[…] nawiązuje z jednej strony do sadowniczej pasji patrona Muzeum, Józefa Ulmy, a z drugiej – do Ogrodu Sprawiedliwych na Wzgórzu Pamięci Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie. Tam, wśród wiecznie zielonych drzew, umieszczono tabliczki z nazwiskami Ratujących i nazwą kraju, z którego pochodzili. W Sadzie w Markowej skupiono się na samej lokalizacji pomocy. Na podświetlanych tablicach znalazło się półtora tysiąca nazw miejscowości z terenów II Rzeczpospolitej, w których działało łącznie prawie siedem tysięcy polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata".

GROZA SYBIRU

W ostatnich latach przybyło w Polsce wiele światowej klasy obiektów muzealnych. Jedno z nich powstało w Białymstoku, w przedwojennym magazynie wojskowym. Budynek ten przylega bezpośrednio do bocznicy kolejowej dawnego Dworca Poleskiego. To miejsce pamięta dramat mieszkańców Białostocczyzny ładowanych przez Sowietów do wagonów i deportowanych na Sybir oraz Żydów z białostockiego getta, których z tego samego miejsca Niemcy wywozili do Treblinki. Symbolem tamtych dramatów i eksponatem, który pełni dziś rolę bramy, przez którą zwiedzający wchodzą na wystawę, jest oryginalny rosyjski wagon towarowy.

Symbolicznych odniesień w projekcie muzeum jest więcej. Wokół budynku wyrósł „las stalowych słupów o wieloznacznej symbolice: z jednej strony mogą przywodzić na myśl stracone istnienia, ludzi, którzy na Sybir wyjechali i nigdy z niego nie wrócili, z drugiej zaś – bezkresną i mroźną syberyjską tajgę".

Wystawa główna mieści się w zbudowanym z betonu i czerwonej cegły magazynie, obok którego powstał nowoczesny budynek pokryty stalową blachą, gdzie umiejscowiono m.in. salę konferencyjną, zaplecze administracyjne, magazynowe i konserwatorskie oraz restaurację serwującą dania kresowe. Sama ekspozycja ma 2 tys. mkw. i została podzielona na trzy części.

Część pierwsza „jest przestrzennym, wizualnym i dźwiękowym wyobrażeniem przedwojennego mikroświata i jego mieszkańców. Mikroświata, który wraz z wojenną nawałą ginie błyskawicznie i bezpowrotnie. Przesuwające się przed oczami zwiedzających obrazy to uścisk dłoni najeźdźców, powiewające na wietrze czerwone flagi, porzucone w pośpiechu dziecięce zabawki… Symbolami tego czasu są spakowane w panice, pełne często nieprzydatnych rzeczy walizki i stukot kół wagonów wiozących ludzi na Wschód". Część druga to opowieść o Sybirze. „Zwieńczeniem tej historii są portrety Sybiraków z całego świata, którzy przeżyli tę gehennę, ich dzieci i wnuków. To symbol przetrwania, zwycięstwa i pamięci". Część trzecia to z kolei memoriał zbrodni katyńskiej.

IDZIE NOWE

Ciekawym połączeniem „nowego" ze „starym" jest Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Dworek Milusin, w którym Józef Piłsudski zamieszkał z rodziną w roku 1923, otaczający go park wraz z dwoma innymi zabytkowymi budynkami, a nawet odtworzone warzywnik, sad i pasieka to ten Sulejówek, do którego sprowadzili się Piłsudscy. Nowy, nieco skryty w parkowych zadrzewieniach budynek to nowoczesne muzeum z multimedialną wystawą stałą. „Centralną część wystawy oddzielono unikatowymi na skalę światową wielkoformatowymi ekranami. Na wystawie pierwszoplanową rolę odgrywają eksponaty, których przekaz uzupełniają infografiki, reprodukcje, cytaty, światło, dźwięk oraz prezentacje multimedialne" – podkreśla muzeum.

A skoro jesteśmy przy utworzonych niedawno muzeach, to wymieńmy jeszcze – także łączące „nowe" ze „starym" – Muzeum Dom Rodziny Pileckich w Ostrowi Mazowieckiej czy Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce. Ta druga placówka, mieszcząca się w dawnym areszcie śledczym, w nowoczesny sposób ukazuje fenomen polskiego oporu przeciwko sowietyzacji Polski po 1945 r. Nakreślając historyczne tło, wykorzystując przy tym różne sposoby narracji, ekspozycja stała opowiada o Żołnierzach Wyklętych jako zjawisku, o podejmowanych przez nich akcjach zbrojnych i kreśli sylwetki niektórych z nich. W muzeum działają kino oraz… strzelnica. Nie taka klasyczna, lecz cyfrowa. Postrzelać można m.in. z MP 40, Mausera Kar98k czy STG 44. Repliki broni z drugiej wojny światowej oraz współczesnej mają identyczne parametry (rozmiar, waga etc.) jak oryginały. Muzealna strzelnica jest jednym z najnowocześniejszych tego typu obiektów w Polsce.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Historia poza granicami

Zuzanna Dąbrowska

Dbałość o prawdę historyczną to wyzwanie niełatwe i wymagające cierpliwości, szczególnie gdy chcemy realizować je poza granicami Polski. Jakie działania podejmują instytucje państwowe oraz osoby prywatne, aby mu sprostać?

Historię piszą zwycięzcy. Jednak co w przypadku państw, które nie były winne wybuchowi wojny, ale jej przecież nie wygrały? Takim przykładem wydaje się być Polska. Kraj w czasie drugiej wojny światowej napadnięty, kraj ofiara – choć nie bezczynnie patrząca na swój trudny los, a podejmująca heroiczną walkę; kraj, który wiele dekad później wciąż musi przypominać, kto był sprawcą, a kto został zaatakowany. Choć Polacy o tym wiedzą, to opinia publiczna na świecie nie zawsze. Obserwując zmagania z zakłamywaniem historii (wciąż dochodzi do niego m.in. na łamach zachodnich gazet), warto przyjrzeć się działaniom kilku największych instytucji, które starają się opisać polskie dzieje językiem zrozumiałym dla zagranicznego odbiorcy.

Ośrodkiem zajmującym się tego rodzaju działaniami jest Instytut Pamięci Narodowej. Wśród wielu projektów warto zwrócić uwagę na ten zainicjowany w związku z ubiegłoroczną, 80. rocznicą rozpoczęcia wędrówki armii gen. Władysława Andersa. Edukacyjno-memoratywny projekt „Szlaki Nadziei. Odyseja Wolności" ukazuje niezwykłą historię przemarszu Armii Andersa – 120 tys. ludzi, którzy w ciągu 1334 dni pokonali 12,5 tys. km, wędrując przez trzy kontynenty: Europę, Azję i Afrykę. Upamiętnia on działanie Polskich Sił Zbrojnych podczas drugiej wojny światowej oraz losy ludności cywilnej ewakuowanej z ZSRS. „Podczas II wojny światowej polscy żołnierze walczyli na wszystkich jej frontach w obronie godności i wolności oraz w imię solidarności z innymi zniewolonymi narodami. IPN chce przypomnieć bohaterskie czyny naszych lotników w Bitwie o Anglię, zapomnianych polskich żołnierzy spod Tobruku, Narwiku czy Monte Cassino. Projekt planowany jest na lata 2022–2025, obejmie swym zasięgiem ponad 50 państw na całym świecie i jest przykładem przekazu historycznego skierowanego do trudnego, wymagającego odbiorcy. Odbiorcy, który nie wie nic albo niewiele o historii Polski. Często też posiada jej bardzo przekłamany, zdeformowany przez różne środki przekazu, obraz" – przekazał „Do Rzeczy" IPN.

Trzonem projektu jest wystawa składająca się z dwóch części: ogólnej, opowiadającej odyseję Polaków podczas drugiej wojny światowej, oraz części lokalnej. Część lokalna odnosi się do historii niekiedy nawet konkretnej miejscowości. Jak wskazuje Instytut, do dziś mieszkańcy Belgii czy Holandii pamiętają żołnierzy 1. Dywizji Pancernej. W trakcie walk o Ypres gen. Stanisław Maczek

eprasa.pl c26aa5272a

wydał rozkaz zakazujący prowadzenia ognia artyleryjskiego w czasie walk o miasta, dzięki któremu cywilna ludność Belgii i Holandii była bezpieczna. Takich lokalnych historii jest wiele. Do tej pory ekspozycja przygotowana w ramach projektu została pokazana już m.in. w Kazachstanie, Iranie, Gruzji, RPA, USA, Kanadzie oraz w Polsce. Dodatkowo zapowiedziano przygotowanie materiałów edukacyjnych w różnych wersjach językowych. „Wraz z lokalną społecznością, ambasadami oraz Polonią będziemy pozyskiwać stopniowo nowe fotografie, źródła, dokumenty dotyczące żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych i ludności cywilnej, którą udało się ewakuować z ZSRS w 1942 r." – zapowiada IPN.

Instytut kierowany przez dr. Karola Nawrockiego zajmuje się także izraelskim „odcinkiem" polityki historycznej, który jest szczególnie trudny. Niestety, mimo upływu lat, kłamliwe sformułowanie „polskie obozy zagłady", stanowiące odzwierciedlenie panującej w wielu kręgach polonofobii, wciąż jest kolportowane w izraelskiej prasie, a także przez tamtejszych polityków. Oliwy do ognia dolewają polscy badacze – wśród nich Barbara Engelking oraz Jan Grabowski – którzy mając światowy posłuch, utrwalają obraz „Polaka żydożercy". Aby dać odpór stronniczej i przede wszystkim nieprawdziwej narracji dotyczącej lat 40. XX w., od 2020 r. IPN wydaje „Polish-Jewish Studies". Jest to recenzowane czasopismo naukowe (rocznik), w którym publikowane są prace naukowe w języku angielskim i polskim na temat wszelkich aspektów związanych z polsko-żydowskimi relacjami w XX w. „Liczymy, że periodyk zainteresuje szerokie grono badaczy zajmujących się naukami humanistycznymi i społecznymi, dla których wspólnym mianownikiem stanie się polsko-żydowski kontekst ich badań" – zaznaczają przedstawiciele IPN.

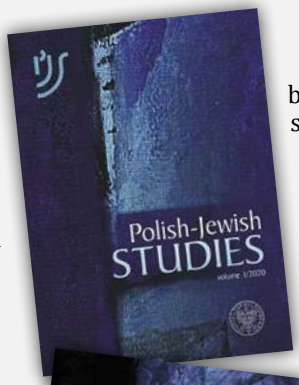

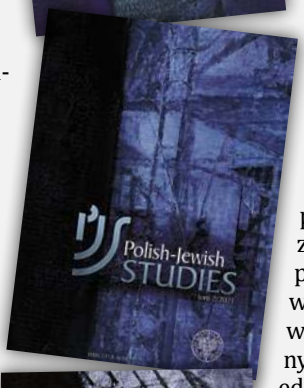

Pozostając w temacie napiętych relacji z Izraelem, ważnym elementem docierania z prawdą historyczną na temat drugiej wojny światowej do obcokrajowców jest perspektywa wznowienia wycieczek młodych Izraelczyków do Polski. Pod koniec lipca w Dzienniku Ustaw opublikowana została ustawa o ratyfikacji podpisanej 22 marca z przedstawicielami państwa Izrael umowy w sprawie wznowienia wycieczek organizowanych przez ministerstwo edukacji tego kraju. Przypomnijmy, że główną osią sporu była ochrona wycieczek przez uzbrojonych agentów izraelskich służb (choć warto przypomnieć, że wycieczki zawieszono najpierw w związku z pandemią COVID-19; następnie wybuchł konflikt wokół ustawy blokującej reprywatyzację, który pogłębił zatarg), co według strony polskiej budowało w turystach poczucie wszechobecnego zagrożenia.

„Porozumienie z Izraelem porządkuje i optymalizuje zasady organizacji izraelskich wizyt edukacyjnych w Polsce, gwarantuje także stronie polskiej możliwość organizacji wizyt edukacyjnych w Izraelu na tych samych zasadach" – mówił w marcu szef polskiej dyplomacji Zbigniew Rau. Z kolei wiceminister Paweł Jabłoński podkreślił, że jest to umowa „przełomowa". „Jej elementy to brak uzbrojonych agentów bez zgody Polski, młodzież z Izraela pozna miejsca ważne dla polskiej historii, kultury i będzie spotykać się z rówieśnikami z Polski" – oświadczył.

Ministerstwo deklaruje, że Polska niezmiennie podtrzymuje gotowość do goszczenia obywateli Izraela, zarówno podróżujących indywidualnie, jak i w ramach zorganizowanych grup, w oparciu o istniejące między naszymi krajami porozumienia dotyczące m.in. ruchu bezwizowego. „Opowiadamy się za promowaniem kontaktów międzyludzkich pomiędzy Polakami i Izraelczykami, zwłaszcza w odniesieniu do młodego pokolenia. To ma kluczowe znaczenie dla zwiększenia zrozumienia między naszymi narodami" – wskazano w komunikacie MSZ. Porozumienie z Tel Awiwem zakłada, że inaczej niż w przeszłości izraelska młodzież ma odwiedzać nie tylko miejsca kaźni swoich przodków, lecz także te ważne dla polskiej historii i kultury. „Będzie dowiadywać się też o tym, co przeżył nasz kraj, nasz naród. Będzie spotykać się ze swoimi rówieśnikami – to też bardzo ważne, żeby walczyć z tymi negatywnymi stereotypami o Polsce w Izraelu" – podkreślił Paweł Jabłoński. Jeżeli plan uda się zrealizować, to młodzi Izraelczycy będą opuszczać nasz kraj z pełnym obrazem historii, a nie jedynie jej wycinkiem, pomijającym całą złożoność dziejów Polski (która w czasie drugiej wojny światowej była przecież domem ich przodków).

W kontekście walki o prawdę historyczną na świecie nie sposób nie wspomnieć o Instytucie Pileckiego (właściwie: Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego), podlegającym pod Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jednym ze sztandarowych projektów instytucji, której szefową jest była wiceminister kultury, pomysłodawczyni jej powstania, prof. Magdalena Gawin, są „Zapisy Terroru" – obszerna baza świadectw obywateli polskich, którzy po 1945 r. składali zeznania przed Główną Komisją Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. Od 2017 r. w bazie udostępniane są również relacje Polaków, którzy padli ofiarą represji ze strony totalitaryzmu komunistycznego. „Najobszerniejszy zbiór relacji w naszym portalu stanowią protokoły przesłuchań świadków – obywateli polskich, którzy po II wojnie światowej składali zeznania przed Główną Komisją Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. Od 17 września 2017 roku udostępniamy relacje o zbrodniach sowieckich, złożone przez żołnierzy Armii Andersa i ludność cywilną po wydostaniu się ze Związku Sowieckiego. 27 września 2018 roku opublikowaliśmy relacje obywateli polskich, którzy pomagali Żydom podczas II wojny światowej.

eprasa.pl c26aa5272a

12 kwietnia 2019 roku udostępniliśmy świadectwa dotyczące ofiar zbrodni katyńskiej. »Zapisy Terroru« promują wiedzę o podwójnej okupacji w Polsce i utrwalają pamięć o ofiarach totalitaryzmów" – wskazuje Instytut Pileckiego. Kluczowe, że baza jest dostępna w języku angielskim, dzięki czemu (oraz atrakcyjnej multimedialnej formie) stanowi ciekawe źródło wiedzy dla zagranicznego odbiorcy. Ponadto Instytut zapowiada program stypendialny, który umożliwi naukowcom z Polski i zagranicy korzystanie z materiałów zgromadzonych w archiwum Instytutu.

Od września 2019 r. Instytut Pileckiego działa prężnie w Niemczech. Berlińska filia organizuje liczne wystawy oraz konferencje, mające edukować Niemców na temat drugiej wojny światowej oraz krzywd, których doznała wtedy okupowana Polska. Wśród inicjatyw warto zwrócić uwagę m.in. na grę komputerową „Łowca cieni/Die Schettenjaeger" przygotowaną dla niemieckich uczniów. Gracz wciela się w postać młodego prokuratora, który w latach 60. XX w. próbuje doprowadzić do skazania Heinza Reinefartha, kata Warszawy, odpowiedzialnego za rzeź Woli. Dzięki wykorzystanym w grze archiwom filmowym oraz relacjom świadków młodzi Niemcy mają okazję lepiej zrozumieć potworność tamtych wydarzeń (liczbę ofiar rzezi Woli szacuje się na od 45 do 60 tys. osób). Co istotne, w fabule pojawia się także wątek nieukaranych za zbrodnie niemieckich oprawców. Rzezi Woli poświęcona została także wystawa „Zbrodnia Woli 5 sierpnia 1944. Zbrodnia bezkarna", którą można oglądać w berlińskiej placówce Instytutu Pileckiego do października. Podczas jej inauguracji do zebranej publiczności przemówiła m.in. Wanda Lurie, zwana warszawską Niobe, która przeżyła egzekucję, będąc w dziewiątym miesiącu ciąży. Straciła troje dzieci.

Z kolei 10 sierpnia zakończono w Berlinie prezentację ekspozycji „Dostarczono. Poczta Harcerska w Powstaniu Warszawskim 1944". Zwiedzający mogli poznać losy najmłodszych powstańców. „Jednocześnie wystawa zaprasza zwiedzających do przyjrzenia się tematom dzieciństwa i wojny, oporu i odwagi cywilnej" – czytamy w informacji prasowej. Działalność Instytutu Pileckiego w Berlinie jest ważna nie tylko z perspektywy ciągłej potrzeby edukacji społeczeństwa niemieckiego, lecz także z uwagi na to, że stolicę Niemiec odwiedzają rocznie miliony turystów z całego świata (w 2022 r. było to 10,2 mln osób). Planowane jest otwarcie, na wzór Berlina, stałych placówek Instytutu Pileckiego w Nowym Jorku oraz Tel Awiwie. Jednak już w 2019 r., we współpracy z Instytutem Polskim w Tel Awiwie, udało się otworzyć wystawę „Passports for Life". Ekspozycja opowiadająca o działalności ratującej Żydów grupy dyplomatów skupionych wokół Aleksandra Ładosia była dostępna w jerozolimskim Centrum Dziedzictwa im. Menachema Begina.

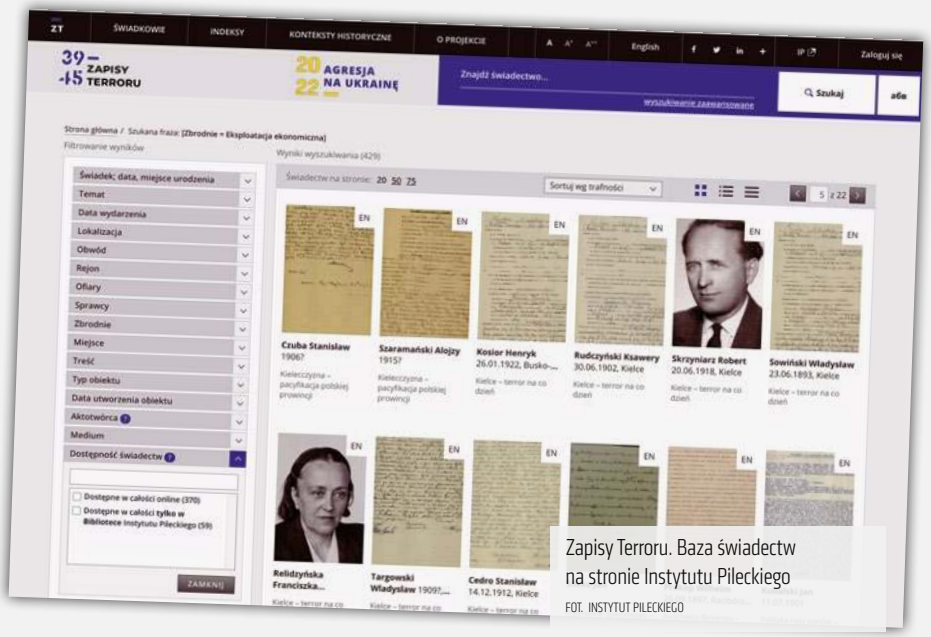

Zapisy Terroru. Baza świadectw na stronie Instytutu Pileckiego
FOT. INSTYTUT PILECKIEGO

Dużym i ciekawym projektem propagującym polską historię na świecie jest akcja „Opowiadamy Polskę światu", realizowana już od ośmiu lat. Stoi za nią Instytut Nowych Mediów, wspierany przez Polską Fundację Narodową, Instytut Pamięci Narodowej, Narodowy Bank Polski, Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Polska Agencja Prasowa. Dzięki współpracy tych instytucji możliwa jest publikacja w największych światowych gazetach i portalach – m.in. w amerykańskim „Newsweeku", francuskim „Le Figaro", włoskiej „La Repubblica" i hiszpańskim „El Mundo" – tekstów poświęconych konkretnym momentom rodzimych dziejów. Przy okazji Narodowego Święta Niepodległości w 2022 r. w zagranicznej prasie ukazały się artykuły premiera Mateusza Morawieckiego, ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego, prezesa Instytutu Pamięci Narodowej Karola Nawrockiego oraz wybitnego historyka, prof. Wojciecha Roszkowskiego. Wcześniejsze edycje związane były z rocznicami wybuchu drugiej wojny światowej, Bitwy Warszawskiej, Grudnia '70 czy urodzin św. Jana Pawła II. Aby zrozumieć, jak duży zasięg ma ten projekt, wystarczy spojrzeć na liczby – teksty publikowane w ramach jednej z edycji dotarły do ponad 1,650 mld odbiorców.

Ciężar realizowania polityki historycznej biorą na siebie przede wszystkim instytucje wspierane lub wprost kontrolowane przez państwo. To oznacza rzecz jasna dostęp do finansowania i zaplecza organizacyjnego. Tym bardziej należy docenić tych, którzy nie mając tych atutów, zabiegają o prawdę. Taką postacią był bezsprzecznie zmarły w 2019 r. Karol Tendera, więzień niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz. Tendera przez lata walczył z niemiecką telewizją ZDF o dobre imię Polski. Żądał od stacji przeprosin za to, że w lipcu 2013 r. określiła ona na swoim portalu internetowym obozy Majdanek i Auschwitz „polskimi obozami śmierci". Choć kilka lat temu zmarł, to jego walkę o prawdę – przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu – kontynuuje syn, Jerzy Tendera. Ta ciągnąca się przez lata sprawa pokazuje, jak trudno – mimo tego, że prawda jest przecież po naszej stronie – tę prawdę pokazać światu i sprawić, aby świat ją przyjął.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Tropiciele ze scenariuszem

Łukasz Warzecha

Sejmowa komisja, która ma tropić rosyjskie wpływy w Polsce, jest najlepszym prezentem dla Rosjan. Im zawsze zależało, by siać u nas zamęt i napięcia

Wybór członków komisji do spraw rosyjskich wpływów w latach 2007–2022 był ostatnim głosowaniem w tej kadencji Sejmu (o ile nie zostanie zwołane jeszcze dodatkowe posiedzenie, czego nie można wykluczyć). Gdyby oceniać parlament po tym, jak kończy kadencję, był to koniec bardzo smutny. Wszyscy członkowie komisji – dziewięć osób – zostali wybrani. Były to jednak wyłącznie osoby zgłoszone przez Zjednoczoną Prawicę, a w głosowaniach nad kandydaturami nie brali udziału przedstawiciele Lewicy, Koalicji Obywatelskiej i Trzeciej Drogi. Częściowo głosowali posłowie Konfederacji. Zatem zgodnie z zapowiedziami komisja będzie funkcjonować jako grono całkowicie pozbawione waloru ponadpartyjności.

Czy Rosjanie wpływali na polskie życie publiczne? Tak, z całą pewnością. Byłoby wręcz dziwne, gdyby się to nie działo. Jednak powołana w ubiegłym tygodniu komisja nic rzetelnego w tej sprawie nie ustali. Polska nie tylko z jej powołania nie odniesie korzyści, lecz także można wręcz powiedzieć, że powstanie komisji jest w rosyjskim interesie.

Rosji niewątpliwie zależało zawsze na jednym: wywoływaniu w Polsce jak największych napięć i zamąceniu w naszym życiu publicznym. Im więcej chaosu, wrzasku, skrajnych oskarżeń – tym lepiej. Widać to było gołym okiem po 10 kwietnia 2010 r. Temu miała służyć gra wrakiem tupolewa. Niestety, powstanie komisji to, funkcjonalnie rzecz biorąc, sprzyjanie realizacji rosyjskich celów poprzez wzbudzanie zamieszania, napięć, przykrywanie tematów naprawdę teraz ważnych. Ponadto komisja na lata zakończy temat skutecznego poszukiwania takich wpływów w merytoryczny sposób – i może to wywołuje na Kremlu największą radość. Może za to po wyborach – jeśli zmieni się władza – stać się narzędziem w rękach obecnej opozycji. Co poniekąd zapowiadało już wystąpienie przedstawiciela Koalicji Obywatelskiej Borysa Budki w czasie ostrej debaty w środę wieczorem. Inni przedstawiciele opozycji mówili natomiast, że komisja po wyborach (zakładając, że będą rządzić) przestanie istnieć. Wiadomo jednak, jak z takimi zapowiedziami jest.

DEMAGOGICZNA POTRZEBA

Nie znaczy to oczywiście, że władza, decydując się na stworzenie komisji półtora miesiąca przed elekcją – czyli w absurdalnym wręcz terminie, gdyby zakładać jakąkolwiek rzetelność postępowań – z premedytacją i świadomie realizuje jakiś rosyjski interes. Znaczy to jedynie, że dobrze pojęty, długoterminowy interes polskiego państwa skapitulował przed bieżącą, demagogiczną potrzebą wyborczą.

Po przyjęciu przygotowanej przez pana prezydenta nowelizacji do ustawy o komisji jej uprawnienia zostały nieco stępione. Usunięto niektóre najgroźniejsze uprawnienia, usuwając nieszczęsne „środki zaradcze", które były po prostu formą represji. Pozwolono także osobom przez komisję napiętnowanym za pomocą decyzji administracyjnej odwoływać się do sądów powszechnych, a nie do sądów administracyjnych. Zgłaszając tę poprawkę, Andrzej Duda przyznał rację tym, którzy wskazywali, że w poprzednim kształcie ustawa faktycznie pogwałcała konstytucyjne prawo obywatela do sądu.

Nie zmienia to jednak istoty działania ciała, które w swoich dociekaniach nie będzie zobowiązane do przestrzegania jakichkolwiek norm procesowych. Nie będzie więc zasad ustalania prawdy materialnej, rygorów w rozpatrywaniu dowodów czy rozstrzygania wątpliwości na rzecz oskarżonego – bo też nie ma tu formalnie oskarżonych, jako że komisja formalnie nie jest sądem, choć jest nim faktycznie. Może nawet – zgodnie z ustawą – przeprowadzać rozprawy. Taki termin jest użyty w przepisach, choć z rozprawą w rozumieniu Kodeksu karnego, ze wszystkimi uprawnieniami oskarżonego, nie ma to zgoła nic wspólnego. Dziwny to sąd, w którym te same osoby będą pełniły funkcję zarazem prokuratorów i sędziów.

Ten quasi-sąd będzie wydawał decyzję administracyjną stwierdzającą, że dana osoba działała bądź nie działała pod wpływem Rosji na niekorzyść polskiego interesu. Z punktu widzenia jakichkolwiek standardów procesowych jest to kuriozum.

Prezydencka nowelizacja pozostawiła także członkom komisji dostęp do praktycznie nieograniczonego zakresu materiałów, w tym tych pochodzących ze służb czy stanowiących tajemnicę przedsiębiorstwa. Jaki użytek z tej wiedzy mogą zrobić kiedyś osoby zasiadające w komisji – nie sposób przewidzieć.

POMRUK Z WASZYNGTONU

Skąd taki zwrot akcji w sprawie komisji? Wydawało się przecież, że nie zostanie ona jednak przed wyborami powołana. Przyczyn jest kilka. Czynnikiem, który

eprasa.pl c26aa5272a

umożliwił jej powołanie, była prezydencka nowelizacja. Zanim do niej doszło, z Waszyngtonu nadszedł ostrzegawczy pomruk. Można założyć, że był on związany z obawą naszego sojusznika, że jeśli przed komisję, działającą na podstawie starej formy ustawy, zostanie wezwany Donald Tusk, a następnie zostaną przeciwko niemu użyte „środki zaradcze", to będzie to oznaczało głęboką polityczną destabilizację Polski w okresie, gdy Amerykanom zależy na tym, żeby ewentualna zmiana władzy dokonała się płynnie i nie zakłóciła ich interesów związanych z toczącą się na Ukrainie wojną.

Powołanie komisji jest też spójne z linią kampanii, którą przyjął PiS. Składają się na nią hasło „Bezpieczna przyszłość Polaków" oraz referendalne pytania. Komisja jest tego dopełnieniem, bo ma służyć pokazaniu, przed czym rzekomo Prawo i Sprawiedliwość będzie Polaków chronić. Proszę bardzo – tu mamy polityków, oczywiście wyłącznie opozycji, którzy realizowali rosyjski interes; my dajemy wam bezpieczną przyszłość, a o potwierdzenie tego kierunku pytamy w referendum.

Ważne jest także, że komisja jest spełnieniem obietnic danych najtwardszemu elektoratowi, a PiS wyraźnie na jego mobilizację postawił, praktycznie całkowicie odpuszczając sobie próbę otwarcia się na wyborców bardziej centrowych. W ramach niepisanego porozumienia z partią Donalda Tuska ma się utrwalić poczucie, że w tych wyborach jest wybór tylko między dwiema opcjami. Powołanie komisji dobrze się w tę strategię wpisuje, sprzyjając polaryzacji.

CENCKIEWICZ Z GOTOWCEM

Jeśli te czynniki uwzględnimy, to ujrzymy, że nie ma większego znaczenia, jak bardzo komisja zdoła swoje działania rozwinąć przed wyborami. Wystarczy, że uderzy w Donalda Tuska, a na to jest już od dawna przygotowana. Brzmi to paradoksalnie, skoro komisja istnieje dopiero kilka dni, ale przecież to przygotowanie pokazywał serial „Reset", którego współtwórcą jest prof. Sławomir Cenckiewicz, który najpewniej będzie mózgiem komisji. Profesor Cenckiewicz przyniesie do komisji swego rodzaju gotowca. Scenariusz łatwo przewidzieć: wezwanie Tuska, odmowa stawienia się, potem spektakl odgrywany przez obie strony: PiS ogłaszający, że Tusk się boi, bo ma coś za uszami; KO ogłaszająca, że PiS chce komisją wpłynąć na wynik wyborów. I tak to się będzie kręcić.

Jeśli się uda, to może przeczołgany zostanie jeszcze ktoś – np. Grzegorz Braun, co posłuży do uderzenia w Konfederację, a przy okazji może zamącić wewnątrz tej partii, wzmacniając frakcję domagającą się wykluczenia z niej Korony, czyli partii Brauna. Tu ciekawostka: Grzegorz Braun jako jedyny z posłów Konfederacji głosował za prawie każdym z kandydatów do komisji – poza Przemysławem Żurawskim vel Grajewskim (tu był przeciwko).

Przy czym trzeba pamiętać, że ostateczny termin rejestracji list wyborczych to 6 września (39 dni przed wyborami). To zamyka ewentualne pole manewru w przypadku napiętnowania potencjalnego kandydata przez komisję. Natomiast – zgodnie z kodeksem wyborczym – gdyby kandydat z już zatwierdzonej listy sam się wycofał, a na liście byłoby wskutek tego mniej kandydatów niż posłów wybieranych w danym okręgu, PKW unieważniłaby rejestrację takiej listy.

W komisji zasiedli trzej liczący się członkowie – pozostałych sześciu mniej znanych stanowi dla nich tło i nie będą się specjalnie liczyć.

Mamy zatem prof. Sławomira Cenckiewicza. Dla wielu wielbicieli pracy tego historyka jego zaangażowanie w projekt o stricte wyborczym wydźwięku – by nie rzec propagandowym – jest nieprzyjemnym zaskoczeniem. Nie jest nim jednak sam wybór do komisji. To było w zasadzie oczywiste co najmniej od momentu, gdy prof. Cenckiewicz stał się jedną z twarzy telewizyjnego „Resetu".

Pewnym zaskoczeniem może być udział prof. Andrzeja Zybertowicza. Toruński socjolog reprezentujący Kancelarię Prezydenta, autor wielu ciekawych analiz wykraczających poza bieżącą politykę i tak nie miał łatwego życia, będąc traktowany jako jeden z „PiS-owskich profesorów". Wchodząc do grona mającego wypełniać jednoznacznie partyjny cel, daje swoim krytykom do ręki kolejne argumenty.

Najbardziej na swoim miejscu w komisji jest natomiast Przemysław Żurawski vel Grajewski, przewodniczący Rady do spraw Bezpieczeństwa i Obronności w ramach Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP. Żurawski vel Grajewski prezentuje najtwardszy proukraiński kurs, doszukując się rosyjskiego oddziaływania wszędzie tam, gdzie ktoś śmie wyrażać stanowisko wobec Ukrainy sceptyczne, i całkowicie ignorując różnice interesów pomiędzy Warszawą a Kijowem. Nie jest przypadkiem, że niedawno wszedł do rady programowej Warsaw Enterprise Institute, think tanku afiliowanego przy Związku Przedsiębiorców i Pracodawców Cezarego Kaźmierczaka. Zarówno Kaźmierczak, jak i szef WEI Tomasz Wróblewski od początku wojny na Ukrainie jawią się jako twardzi rzecznicy ukraińskiego interesu w Polsce.

CO PO WYBORACH?

Komisja została powołana ustawą. Ta sama ustawa przewiduje możliwość odwołania jej członków przez Sejm. Nie przewidziano tu żadnej roli prezydenta. To oznacza, że jeśli po 15 października władzę w Polsce przejmie obecna opozycja, to będzie mieć dwie możliwości. Jedna, najczęściej dzisiaj wspominana przez jej przedstawicieli, to po prostu likwidacja komisji poprzez zmianę ustawy. Druga to odwołanie wszystkich jej członków i zastąpienie nowymi, być może przy modyfikacji zakresu działania komisji, i poszerzenie go o lata 2005–2007, czyli czas pierwszych rządów PiS. Wówczas wezwania przed komisję będą mogli się zapewne spodziewać Antoni Macierewicz, Mateusz Morawiecki, a może i Jarosław Kaczyński. Szczególną perwersją byłoby powołanie do składu komisji Tomasza Piątka, lewicowego publicysty, który od lat tropi rzekome związki PiS z Rosją, tworząc w tej sprawie najbardziej karkołomne konstrukcje myślowe, nieprzechodzące najprostszych logicznych testów.

Pozostaje pytanie, jaki sposób działania przyjęłaby komisja, gdyby po 15 października władzę zachował PiS. Mając więcej czasu, mogłaby zabrać się nie tylko do polityków. Ustawa daje jej możliwość badania domniemanych wpływów również u osób, które „w istotny sposób oddziaływały na bezpieczeństwo wewnętrzne lub godziły w interesy Rzeczypospolitej Polskiej" w zakresie m.in. „wpływu na środki masowego przekazu" czy „rozpowszechniania fałszywych informacji". A tutaj możliwe jest uderzenie w wolność słowa i debaty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

FOT. ADOBE STOCK

Polityczne zapasy

Dariusz Wieromiejczyk

Główne partie używają stereotypów „Niemca" i „Ruska" jako uproszczonych straszaków. W rolach tych obsadzani są czołowi politycy konkurujących ugrupowań. Ważne, by targana nienawiścią i strachem publiczność skupiła się na walce i nie śledziła rozgrywających się wokół ringu wydarzeń

Bardzo ciekawe przemiany przechodzi w czasie kampanii wyborczej zachowanie polskiej klasy politycznej. Jak zauważył już dawno temu Rafał A. Ziemkiewicz, polscy politycy przypominają raczej krążących wokół siebie podczas walki na ringu bokserów niż broniących podczas meczu „swojej bramki" piłkarzy. Bokserzy mogą się atakować z każdej strony ringu, ale repertuar ich ciosów jest jednak mocno ograniczony. W boksie zakładamy też istnienie „obiektywnego" sędziego i pozornie choćby obowiązujących zasad fair play. Polscy politycy przypominają dziś raczej zapaśników w amerykańskich zapasach profesjonalnych, tzw. wrestlingu. W widowisku tym, rządzącym się bardziej zasadami spektaklu niż sportu, reguły uczciwej rywalizacji są już rutynowo łamane. Jest to dopuszczalne przez organizatorów i publiczność, jeśli służyć ma wzbudzeniu odpowiednio silnych emocji.

„HITLEROWSCY ZAPAŚNICY" I „ZNIENAWIDZENI ROSJANIE"

Jednym z najpopularniejszych amerykańskich zapaśników w początkach drugiej połowy 20. w. był zawodnik imieniem Hans Schmidt. Znany jako „Teutoński Terror" zwykł był występować w charakterystycznym niemieckim hełmie ozdobionym gapą i czarnych, skórzanych oficerkach. Na ringu specjalizował się w brudnych trikach, zwłaszcza zaś niespodziewanych kopnięciach przeciwników. Zachowanie takie pozwoliło mu szybko uzyskać przydomek Footsie. Poza tym „Teutoński Terror" oszukiwał przy każdej okazji, atakował sędziów i demonstracyjnie siadał w czasie wykonywania amerykańskiego hymnu. Ponieważ jako przeciwników dobierano mu często „porządnych" amerykańskich chłopców, „Teutoński Terror" kończył rozprawy z nimi ciosami krzesłem w tył głowy lub efektownymi rzutami w typie „backbreaker". Na widowni dochodziło po jego walkach do regularnych zamieszek. Sam Schmidt podgrzewał te nastroje, także w udzielanych przez siebie wywiadach prasowych.

„Zamierzam zabrać »das tytuł« do Niemiec, gdzie jest jego miejsce – oświadczył dziennikarzowi przed walką o tytuł mistrzowski, w roku 1953. – Ameryka nie ma do niego prawa. Niemcy są dla mnie dobre".

Pytany przez dziennikarzy o notoryczne łamanie przez siebie sportowych zasad „Teutoński Terror" wyjaśniał: „Ludzie, którzy uczą nasze kinder sportowych zasad, to gnoje. Liczy się tylko wygrana za każdą cenę". Nic więc dziwnego, że Hans Schmidt był w latach 50. najbardziej po Adolfie Hitlerze

eprasa.pl c26aa5272a

znienawidzonym w Ameryce Niemcem. Podczas występów w Kanadzie rozwścieczony tłum widzów zniszczył w trakcie kolejnych nocy trzy używane przez Schmidta samochody. Policja w Chicago musiała eskortować go w drodze na stadion i z powrotem, gdyż rozwścieczeni obywatele rzucali w samochód mistrza cegłami, a kilkakrotnie udało im się go nawet podpalić. Były to jednak oznaki nadzwyczajnego sukcesu.

W rzeczywistości Hans Schmidt był Francuzem pochodzącym z Kanady. Naprawdę nazywał się Guy Larose i do Niemiec nie pojechał nawet jako turysta. Początkowo walczył na ringu jako tzw. babyface, zapaśnicze niewiniątko, jednak gdy zaokrągliła mu się szczęka, a na głowie pojawiła się naturalna łysina, jego promotor uznał, że Guy z powodzeniem może wyglądać na Niemca. Prawdę o kanadyjskim pochodzeniu „Teutońskiego Terroru" ujawnili zazdrośni o pieniądze i nienawiść widowni konkurenci – Schmidt był jednym z najlepiej zarabiających zapaśników w Ameryce. Ogniskowanie negatywnych emocji było dlań znakomitym biznesem przez ponad 20 lat i pozwoliło zarobić kilka milionów dolarów. Drugie tyle oddał „ostatni nazista w Chicago" amerykańskim urzędom podatkowym. Jak wspominał po latach: „Oddałem amerykańskiemu rządowi strasznie dużo – ale i sobie odłożyłem godziwą część".

Inni „hitlerowscy zapaśnicy" – tacy jak urodzony w Michigan, w rodzinie węgierskich emigrantów, Karl von Hess (w rzeczywistości Frank Faketty) – także odnosili w Ameryce imponujące sukcesy. Ten ostatni wychodził na ring w mundurze z insygniami Waffen-SS, a publiczność pozdrawiał okrzykiem: „Sieg Hail". W czasie wojny „von Hess" służył jako marynarz na krążowniku USS „Montpelier", dzielnie uczestnicząc w walkach o wyspę Guadalcanal, później zaś wchodził w skład „Underwater Demolition Team 5", poprzednika słynnej jednostki Navy SEALs.

Na podobnych zasadach jak „Niemcy" funkcjonują w zapasach amerykańskich „znienawidzeni Rosjanie". Ich zadaniem jest wyglądać jak „barbarzyński Rusek", chodzić w papasze i zakąszać wódkę kiszonym ogórkiem. Role takie od dziesięcioleci odgrywają emigranci z Bułgarii, byłej Jugosławii lub rodowici Amerykanie. Wśród tej galerii najsłynniejszy był zapewne inny Kanadyjczyk – urodzony w Ottawie Ivan Koloff (w rzeczywistości Oreal Donald Perras). Nosił on pseudonim Rosyjski Niedźwiedź i podawał się za moskiewskiego komunistę. Podobnie jak Schmidt na ringu Koloff był brutalnym ucieleśnieniem pogardy dla Ameryki i wszelkich sportowych zasad. W roku 1971 udało mu się jednak pokonać broniącego tytułu mistrza i niepokonanego przez siedem lat Bruno Sammartino. Chwila, gdy triumfujący „Rosyjski Niedźwiedź" położył nogę na piersi pokonanego amerykańskiego mistrza, do tej pory wspominana jest przez dziennikarzy sportowych zza oceanu jako największa dawka przeżytej przez nich „legalnie" nienawiści.

Nikt nie oczekuje od polityków spójnej ideologii. Tę zastąpić mają okrzyki i kopnięcia poniżej pasa

POLSKIE STRASZAKI

Analogie pomiędzy amerykańskimi zapasami a polską kampanią wyborczą wydają się nadzwyczaj niepokojące. Główne partie polityczne używają stereotypów „Niemca" i „Ruska" jako uniwersalnych, uproszczonych straszaków. W rolach tych obsadzani są czołowi politycy konkurujących partii politycznych. Ponieważ rzeczywiste „poglądy" polskich polityków zmieniały się na przestrzeni ostatnich lat wielokrotnie – i każdy z nich ma na koncie sporą liczbę pochodzących z różnych czasów decyzji lub wypowiedzi możliwych do zinterpretowania jako „prorosyjskie" lub „proniemieckie" – racjonalne elementy zostały z tej „identyfikacji" usunięte. Zastępują je wiecowe obelgi i internetowe memy. Ich poziom intelektualny nie odbiega zanadto od „hajlowania" von Hessa czy bolszewickich symboli Koloffa.

Tym, co interesuje publiczność, jest przecież własna nienawiść do oglądanych na ringu postaci – nie zaś ich światopogląd lub jakakolwiek racjonalna argumentacja. Budzenie nienawiści „drugiej strony" stało się zadaniem samym w sobie – podbijającym popularność wyborczego show w mediach, a także sposobem na mobilizowanie własnych fanów. Owszem, w zapasach amerykańskich niemiecki wizerunek „Teutońskiego Terroru" był w jakiejś części rezultatem działań pana Schmidta, jednak spory wkład mieli weń także pozostający za kulisami „biznesowi promotorzy" widowiska. W Polsce pikielhaubę i baranią papachę zakładają sobie nie sami zawodnicy, ale ich polityczni oponenci i „niezależni" komentatorzy polityczni. Trudno jednak nie dostrzec, że działa to na zasadach ceremonialnej wzajemności, a rytualne wyklinania od zdrajców, sługusów wagnerowców i zaprzedanych IV Rzeszy folksdojczów stają się rodzajem oficjalnej prezentacji „championów" – dokonywanej wspólnie przez aktywistów politycznych, profesorskich ekspertów i internetowych hejterów.

Rekwizyty, takie jak bałałajka lub stahlhelm, są w polskim wrestlingu politycznym czymś wtórnym. Bohaterowie mogą identyfikację symboliczną czasem wymieniać – czego widowiskowo dokonał niedawno pan Michał Kołodziejczak. Nikt nie oczekuje też od nich jakiejkolwiek spójnej ideologii. Tę zastąpić mają prowokacyjne okrzyki, kopnięcia poniżej pasa i nośna symbolika. Dziś promotorzy polskich zapasów politycznych budują popularność wokół „uniwersum" wagnerowców i folksdojczów, jutro na ring wejść mogą banderowcy, inkwizytorzy lub brutalni zboczeńcy. Ważne, by targana nienawiścią i strachem publiczność skupiła się na walce i nie śledziła rozgrywających się wokół ringu wydarzeń. Dobrze też, by nie interesowały jej ceny biletów. Za oglądanie polskich politycznych zapasów – w odróżnieniu od tradycyjnych – płaci się dopiero po walce. Mam wrażenie, że pojedynek „Donka z Kaczką" może kosztować nas więcej niż jakakolwiek wcześniejsza impreza z udziałem zapaśników lub pięściarzy. Od czasów słynnego „rumble in the Jungle" zorganizowanego w Kinszasie przez prezydenta Mobutu nie stali naprzeciw siebie zawodnicy tak doświadczeni, podziwiani przez równie wyrobioną publiczność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Poza ukrainofilią

Lech Mażewski

Czy musi nastąpić atomowy armagedon, żeby Polacy otrzeźwieli? Przejście do bardziej realistycznych zachowań w polityce nie musi być tak kosztowne, gdyby przynajmniej starać się zrozumieć, o co chodzi w konflikcie nad Dnieprem

Od 24 lutego 2022 r., a więc od momentu intensyfikacji konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, ukazały się książki Jacka Bartosiaka czy Marka Budzisza dotyczące sytuacji Polski, która powstała w efekcie tych wydarzeń. Obie te pozycje przesiąknięte są urzędową ukrainofilią, ale w rzeczywistości nie chodzi o dobro Ukraińców czy los ich państwa, a raczej o to, by wojna z Rosją była przez Kijów kontynuowana bez względu na koszty. Dobrze wyraził to prezydent Andrzej Duda, który na początku sierpnia br. powiedział w wywiadzie dla „The Washington Post": „To bardzo proste, właśnie teraz rosyjski imperializm może zostać bardzo tanio powstrzymany, bo nie umierają amerykańscy żołnierze". I takie jest prawdziwe, niesłychanie obłudne, oblicze polskiej, a chyba i zachodniej, ukrainofilii.

SYMPATIA I SMUTEK

Od samego początku odrębne stanowisko w sprawie kolejnej fazy konfliktu nad Dnieprem zajmuje Stanisław Bieleń, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, zwolennik realizmu w naukach o polityce. Jego poglądy, plasujące się poza urzędową ukrainofilią, przesiąknięte są rzeczywistą sympatią dla Ukraińców i smutkiem, gdy widzi postępujący upadek ukraińskiej państwowości, bez mała przemieniającej się we współczesny odpowiednik sienkiewiczowskich Dzikich Pól. A przecież w chwili uzyskania niepodległości w 1991 r. zanosiło się na to, że będzie to jedno z najbardziej znaczących państw w Europie, posiadające nawet przemysł kosmiczny – uzyskany w spadku po okresie sowieckim. Można zadumać się, że łatwo przyszło, łatwo poszło. Sprawy mogłyby mieć się inaczej, gdyby w Kijowie wzięto chociażby pod uwagę pouczenie Pana Jezusa zawarte w Ewangelii św. Łukasza: „Albo który król, mając wyruszyć, aby stoczyć bitwę z drugim królem, nie usiądzie wpierw i nie rozważy, czy w dziesięć tysięcy ludzi może stawić czoło temu, który z dwudziestu tysiącami nadciąga przeciwko niemu? Jeśli nie, wyprawia poselstwo, gdy tamten jest jeszcze daleko, i prosi o warunki pokoju" (Łk 14, 31–32). Nie chodzi tu przecież o haniebną kapitulację, a o uratowanie kraju przed niechybną klęską w imię etyki odpowiedzialności.

Z sytuowaniem się przez warszawskiego politologa poza urzędową ukrainofilią związane są jego bardzo ciekawe poglądy na temat Rosji, a także sposób postrzegania natury ładu międzynarodowego, wynikający z wyznawanego przezeń realizmu. W pierwszym przypadku pewną inspirację stanowiłaby postać marszałka

eprasa.pl c26aa5272a

FOT. ADOBE STOCK

Carla Gustafa Mannerheima, który dwukrotnie uratował Finlandię przed sowietyzacją, w okresie drugiej wojny światowej – najpierw walcząc, a potem szukając porozumienia z ZSRS, w drugim zaś nauka Carla Schmitta o Grossraumie nie byłaby tak zupełnie obca autorowi.

Stanowisko Bielenia formułowane jest, oczywiście, wokół faktu rosyjskiej inwazji na Ukrainę w lutym zeszłego roku, ale do tego nie sprowadzają się wyłącznie jego rozważania. W swoich esejach stara się on ukazywać szersze uwarunkowania tych wydarzeń. Uwzględnione są porównawczo amerykańskie interwencje zbrojne po upadku ZSRS, a także wskazuje się na dokonujące się przemiany ładu międzynarodowego, odchodzenie od jednobiegunowego momentu w dziejach globu ze Stanami Zjednoczonymi w roli głównej na rzecz powstawania porządku wielocentrycznego, gdzie obok USA i Chin będą istniały również inne ośrodki siły. Jest oczywiste, że żaden imperator mundi łatwo nie rezygnuje ze swojej dominującej pozycji, czego świetnie dowodzi aktualna polityka Waszyngtonu. Wydarzenia rozpoczęte na początku 2022 r. można traktować jako nieudaną próbę dołączenia przez Rosję do duopolu amerykańsko-chińskiego, który rzeczywiście zamieni się w triadę w chwili, gdy Indie staną się kolejną potęgą, co jednak nie nastąpi tak szybko. Unia Europejska, jeśli w ogóle przetrwa, to tylko jako margines tych epickich zmagań, pełen wytworów kolejnych fal liberalno-lewicowego utopizmu.

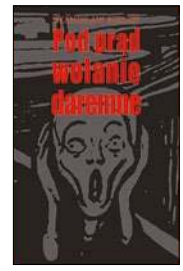

STANISŁAW BIELEŃ „POD PRĄD WOŁANIE DAREMNE" ASPRA 2023

OPINIE OBRAZOBURCZE

Od czasów konfederacji barskiej (1768–1772) bardzo wielu Polaków uważa, że racją bytu Polski jest walka z Rosją – bez względu na szanse wygranej. Jeśli Polska nie toczy boju z Rosją, to traci rację istnienia, zdają się oni sądzić. Z pewnością tego poglądu nie podziela Bieleń. Dla tego znawcy stosunków międzynarodowych euroazjatycki kolos nie jest jakimś mitycznym imperium zła. „Rosja w sensie obiektywnym odgrywa ważną rolę w stosunkach międzynarodowych, nie jako uczestnik wspólnoty zachodniej, ale jako jej przeciwwaga" – zauważa warszawski uczony. Nie powinna zatem dziwić opinia Bielenia na temat poglądów prezydenta Federacji Rosyjskiej: „Według Putina żadna wizja ładu międzynarodowego nie może być zdominowana przez jeden zuniwersalizowany system wartości i jeden model ustrojowy". Zatem dalsze utrzymywanie demoliberalnej dominacji nad światem ze Stanami Zjednoczonymi w roli głównej byłoby nie do przyjęcia. I dalej dowiadujemy się, że „Polska ma niepowtarzalną szansę, aby przejść do roli będącej logiczną konsekwencją jej usytuowania w środku Europy – »roztropnego pośrednika« w układzie euroatlantycko-euroazjatyckim". To zupełnie coś innego niż nie zawsze implicite artykułowany u nas pogląd Marka Poncjusza Katona na temat antycznej Kartaginy, z tym że dziś to Rosja miałaby być zniszczona, a Polska uczestniczyłaby w tym.

Równie obrazoburczo brzmią opinie warszawskiego politologa w sprawie natury ładu międzynarodowego. Pisze on, że „struktura stosunków międzynarodowych ma charakter hierarchiczny. Nie da się ze względu na zróżnicowanie potęgi państw zniwelować zależności słabszych państw od silniejszych. Wzajemne traktowanie się państw w rzeczywistości nie zależy od formalnych reguł, ale od tego, jaką każde z nich generuje potęgę w układzie sił i na ile odbiegają od siebie ich wizje ładu międzynarodowego. Każde zatem mocarstwo, tak Stany Zjednoczone, jak Chiny czy Rosja, ma naturalną tendencję do wciągania państw uzależnionych od siebie w pole swojej grawitacji i dominacji, co tworzy znane zjawisko satelizacji bądź klientyzacji wokół państwa bieguna. Te procesy są podstawą występowania stref wpływów, w których narzucanie wzorów zachowań przez hegemona, nawet z zastosowaniem środków przymusu, istotnie ogranicza niezależność i swobodę działania słabszych uczestników".

Nie wprost następuje tu wskazanie, że Polska w okresie upadku PRL z jednego systemu hegemonii przeszła w inny, i nie ma w tym nic nadzwyczajnego, jeśli uwzględni się niezmienną naturę porządku międzynarodowego. Przecież wybór w 1989 r. gen. Wojciecha Jaruzelskiego na stanowisko prezydenta PRL był efektem rozpoczynającej się geopolitycznej dominacji USA nad Wisłą.

Bieleń w swojej eseistyce nie używa naiwnych określeń typu walki „wolnego świata" z „imperium zła", chociaż niekiedy twierdzi, że Rosja stała się po 24 lutego 2022 r. „pariasem" systemu międzynarodowego. Trafność tej opinii może odnosić się do Zachodu, ale już nie do globalnego Południa z Chinami i – w mniejszym stopniu – Indiami na czele.

Realizm pojawia się w polskim myśleniu politycznym zazwyczaj po straszliwych klęskach antyrosyjskich insurekcji; tak było zarówno po upadku powstania styczniowego 1863 r., jak i warszawskiego zrywu latem 1944 r. Czy musi nastąpić atomowy armagedon, żeby Polacy otrzeźwieli, pod warunkiem że choć część z nas przeżyłaby? Żeby tym razem przejście do bardziej realistycznych zachowań w polityce nie było tak kosztowne, powinniśmy przynajmniej starać się zrozumieć, o co chodzi w konflikcie nad Dnieprem, sytuując się poza urzędową ukrainofilią. Temu dobrze służy książka Stanisława Bielenia, która wcale nie musi być daremnym wołaniem pod prąd.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, ustrojoznawcą.

eprasa.pl c26aa5272a

FOT. LIGHTPOET/ADOBE STOCK

Żonaci na księży?

Paweł Chmielewski

Środowiska progresywne są zniecierpliwione brakiem zgody Stolicy Apostolskiej na wyświęcanie żonatych mężczyzn na księży. W Niemczech rozlegają się głosy wpływowych działaczy katolickich wzywające biskupów do samowolnego udzielenia święceń, bez czekania na Watykan. O chęci odejścia od celibatu mówi też rosnąca liczba biskupów od Brazylii do Australii. Okazją do wprowadzenia zmian będzie Synod o synodalności

Ksiądz z żoną i dziećmi – obraz, który nie mieści się nie tylko w wyobraźni polskich katolików, lecz także w ogóle w tradycji Kościoła łacińskiego. A jednak katoliccy reformiści intensywnie dążą do wprowadzenia zmian w celibacie kapłańskim – i to już od wielu dziesięcioleci. Ich apetyty znacząco wzmocnił św. Paweł VI, kiedy w 1967 r. dokumentem „Sacrum diaconatus ordinem" wprowadził możliwość wyświęcania żonatych mężczyzn na diakonów stałych. W latach 1971–1975 obradował w Niemczech Synod Würzburski. Zgromadzeni na nim biskupi i świeccy zażądali m.in. możliwości udzielania żonatym święceń kapłańskich. Ich zdaniem mężczyźni, którzy nadają się do tego, by zostać diakonami stałymi, mogliby równie dobrze być zwyczajnymi księżmi. Papieże negatywnie ocenili niemiecką propozycję. Reformiści na wiele lat stracili widoki na realizację swoich oczekiwań. W 2009 r. Benedykt XVI ogłosił konstytucję „Anglicanorum coetibus", którą ustanowił specjalne ordynariaty personalne dla anglikanów chcących wstąpić do Kościoła katolickiego. Spowodowało to krótkotrwały powrót dyskusji o poluzowaniu celibatu, bo w Kościele zaczęła pojawiać się większa liczba byłych anglikańskich żonatych pastorów, którzy – zgodnie z zarządzeniami św. Pawła VI z encykliki „Sacerdotalis caelibatus" z 1967 r. – mogli przyjmować święcenia, nie rezygnując z życia w małżeństwie. Papież Ratzinger nie miał jednak zamiaru wprowadzania jakichkolwiek zmian w celibacie.

LATYNOSI Z NIEMCAMI I AUSTRIAKAMI

Wszystko zmieniło się w roku 2013, kiedy Tron Piotrowy objął kard. Jorge Mario Bergoglio. W bezpośrednim kręgu Franciszka działało i wciąż działa wielu wpływowych duchownych z Ameryki Południowej, zwłaszcza z Brazylii, dążących do zmian w dyscyplinie celibatu. Kilka lat temu Latynosi połączyli siły z Niemcami i Austriakami. Uczestnicy zorganizowanego przez te środowiska Synodu Amazońskiego z 2019 r. opowiedzieli się za zgodą na wyświęcanie żonatych. Franciszek nie odniósł się jak dotąd do tej idei, ale teraz dyskusja wraca z nową siłą, a to za sprawą trwającego Synodu o synodalności. Podczas spotkań synodalnych organizowanych w Polsce nie rozmawiano wprawdzie o dopuszczeniu żonatych do święceń, ale w przestrzeni światowej to jedna z ważniejszych kwestii. Mówiono o tym na zebraniu synodalnym w Pradze w lutym tego roku; propozycje wyświęcania żonatych zawarto też w „Dokumencie roboczym", który będzie podstawą debaty biskupów i świeckich zebranych w październiku na synodzie w Rzymie.

Niektórzy uważają zresztą, że tak naprawdę nie trzeba czekać na jakiekolwiek

eprasa.pl c26aa5272a

decyzje Watykanu. Wiadomo, że papież Franciszek patrzy na kwestię poluzowania zasady bezżenności dość przychylnie: wielokrotnie publicznie stwierdzał, że celibat nie jest dogmatem i co do zasady mógłby zostać zniesiony. Może dlatego były szef Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików, prof. Thomas Sternberg, wezwał niedawno niemieckich biskupów do samowolnego wyświęcenia żonatych. „Zadaję sobie pytanie, dlaczego trzech, czterech biskupów nie zbierze się po prostu na odwagę i wreszcie nie wyświęci dobrze wybranych diakonów, wykształconych teologicznie – wszystko zrobiono by na czysto, w jasny sposób, dobrze zorganizowany" – powiedział w kościelnych mediach. „Jeżeliby to zrobili, to co by się wówczas stało? Jakie możliwości sankcyjne miałby wtedy Rzym? Ja bym się cieszył" – dodał, stwierdzając, że należy zabrać się do działania, zamiast czekać „kolejne 50 lat". Sternberg może mieć rację. Dotąd przeciwko niemieckim pomysłom na „reformy" występował głównie prefekt Dykasterii Nauki Wiary, kard. Luis Ladaria Ferrer. Jednak Ferrera już nie ma: jego następcą został Argentyńczyk kard. Víctor Manuel Fernández, który jest zwolennikiem koncepcji wyświęcania żonatych na księży. To pierwszy przypadek w historii, gdy szef najważniejszego urzędu doktrynalnego Watykanu stoi na takim stanowisku. Wątpliwe, by pozostało to bez konsekwencji.

Fernández sugerował możliwość udzielania święceń kapłańskich żonatym mężczyznom w takich regionach jak Amazonia. Byliby to viri probati – tj. sprawdzeni mężowie, osoby o jakimś autorytecie w lokalnej społeczności. Wielu biskupów z Ameryki Łacińskiej, zwłaszcza z Brazylii, uważa, że bez viri probati nie da się prowadzić skutecznego duszpasterstwa. Taką ocenę wyrażał zmarły w ubiegłym roku były arcybiskup São Paulo, kard. Cláudio Hummes, bliski przyjaciel Franciszka. Tak samo uważa kard. Ulrich Steiner, nominat Franciszka, arcybiskup brazylijskiego Manaus. Według Steinera nie ma wątpliwości, że „znajdzie się jakiś sposób", by wprowadzić wkrótce w Kościele viri probati – to słowa zaledwie sprzed kilkunastu miesięcy, wypowiedziane w kontekście synodalności. Niedawno wprowadzenie viri probati poparł też bp Norbert Förster z diecezji Ji-Paraná, przekonując, że wyświęcania żonatych chce wielu biskupów w północnej Brazylii. Wielkim zwolennikiem viri probati pozostaje emerytowany biskup diecezji Xingu w Brazylii, Erwin Kräutler.

AMAZOŃSKI RYT

Dlaczego Brazylia? Nie chodzi tylko o obiektywne trudności duszpasterskie, lecz także o zaawansowanie prac nad tzw. amazońskim rytem Mszy Świętej. Opracowanie takiego rytu zalecili w 2019 r. uczestnicy Synodu Amazońskiego, a Franciszek ten pomysł poparł. Od kilku lat działa specjalna komisja, która tworzy przy biurku nowy ryt czerpiący garściami z tradycji rdzennych mieszkańców Amazonii. Viri probati mieliby stać się elementem liturgii amazońskiej. O takim rozwiązaniu mówił kard. Fernández. Oczywiście na Amazonii się nie skończy; w kolejce ustawia się już kilka innych regionów. To m.in. część Meksyku, zwłaszcza diecezja San Cristóbal de las Casas, gdzie od lat wyświęca się bardzo wielu żonatych diakonów stałych, włączając do liturgii również ich… małżonki. W Meksyku opracowywana jest obecnie paralelna wobec amazońskiej liturgia indiańska – ryt majański. Prace są bardzo zaawansowane; na obecnym etapie liturgia majańska nie przewiduje wprawdzie żonatych kapłanów, ale to najpewniej tylko kwestia czasu: jeszcze kilkanaście lat temu w diecezji San Cristóbal wprost przygotowywano się do ich wyświęcania, co zablokował Benedykt XVI. Inny region żywo zainteresowany viri probati to Australia. Część australijskich biskupów uważa, że należy dopuścić wyświęcanie żonatych Aborygenów, bo bez tego nigdy nie będą zostawać księżmi. Ostatnio wprost mówiło o tym dwóch hierarchów, w tym abp Mark Coleridge z Brisbane. Coleridge jest przekonany, że Watykan się na to zgodzi – w ramach Synodu o synodalności. O wyświęcaniu żonatych na kapłanów mówi się również w krajach afrykańskich, zwłaszcza w RPA.

Wreszcie są Niemcy i inne zachodnie państwa europejskie. W końcu jeżeli viri probati mieliby stanowić lekarstwo na brak kapłanów, Europa, tak jak Amazonia, jest w dużej potrzebie. Mówił o tym Thomas Sternberg. „Kwestia zabezpieczenia celebracji Eucharystii jest dla wiernych ważniejsza niż zagadnienia dyscyplinarne dotyczące formy życia księży" – powiedział, wskazując, że od 1990 r. liczba dorocznych święceń kapłańskich w Niemczech zmalała o ok. 85 proc. Duszpasterstwo trwa dalej tylko dlatego, że w latach 60. święceń było szczególnie dużo, a dziś nadal posługują bardzo starzy kapłani. „To godne podziwu. Można jednak łatwo przewidzieć, że wkrótce będzie z tym koniec. Pilnie potrzebujemy zmiany" – ocenił Sternberg. Wyświęcanie żonatych jest jednym z głównych punktów niemieckiej „drogi synodalnej", pozostaje też ważnym elementem agendy reformistycznej biskupów Austrii, Szwajcarii czy krajów Beneluksu.

Dokumenty Synodu o synodalności stawiają sprawę jasno: w kapłaństwie idzie nowe. Ksiądz – jak wynika zresztą już z adhortacji Franciszka „Querida Amazonia" z 2020 r. – ma być raczej kościelnym ekspertem czy delegatem do spraw sprawowania trzech sakramentów: pokuty, Eucharystii i ostatniego namaszczenia. Celibat jako ogólna zasada, jak można sądzić, nie zostanie zniesiony przez proces synodalny: tego domagają się tylko marginalne środowiska, nieracjonalnie upatrujące w bezżenności źródła wszelkiego zła, w tym pedofilii. Wątpliwe jednak, by udało się obronić jego powszechną obowiązywalność.

Pytanie, które musimy sobie postawić, dotyczy przyszłości kapłaństwa w Polsce. W naszym kraju wprowadzono diakonat stały żonatych; pojawiły się też nowe funkcje liturgiczne dla świeckich, także dla kobiet. Głębokie reformy już się dokonują, a tacy biskupi jak ceniony przez papieża kard. Grzegorz Ryś otwarcie biorą pod uwagę zmiany w celibacie. Gdy brak księży stanie się w Polsce wyraźnie odczuwalny – a to perspektywa najdalej kilkunastu lat – dyskusja, która toczy się silnie w wielu krajach świata, niewątpliwie rozgorzeje również u nas. Jeżeli będzie to dopuszczalne, to biskupi zaczną wyświęcać żonatych. Bo co miałoby ich przed tym powstrzymać? Do tego konieczna byłaby zdrowa i silna teologia celibatu oraz skuteczna budowa środowiska rodzinnego i eklezjalnego sprzyjającego większej liczbie powołań. Dziś jednak nie ma ani jednego, ani drugiego, co daje silne argumenty zwolennikom zmian. Bierność ma w końcu zawsze ten sam skutek: przyjęcie cudzych idei.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl c26aa5272a

Rafał Łatka

Kardynał Stefan Wyszyński w ciągu 33 lat kierowania Kościołem w Polsce miał swój udział w ponad 140 nominacjach biskupich

Truizmem jest stwierdzenie, że kard. Wyszyński odegrał kluczową rolę w życiu społecznym i politycznym Polski „ludowej". Odcisnął także silny wpływ (co dość oczywiste) na funkcjonowaniu Kościoła katolickiego w okresie PRL. Dotychczas nie analizowano jednak szerzej jego postawy jako kreatora polskich biskupów. Była ona niezwykle istotna, gdyż – jak wynika z wyliczeń bp. Jana Kopca – prymas w ciągu 33 lat kierowania Kościołem w Polsce miał swój udział w ponad 140 nominacjach biskupich, w tym osobiście konsekrował 43 biskupów.

Wśród najważniejszych elementów sukcesu prymasa jako lidera i kreatora składu personalnego Episkopatu Polski były: uprawnienia specjalne przyznane przez Stolicę Apostolską, trafny model zarządzania Kościołem oraz zwiększający się autorytet kard. Wyszyńskiego.

UPRAWNIENIA SPECJALNE I MODEL ZARZĄDZANIA KOŚCIOŁEM

Istotną rolę w kształtowaniu się autorytetu kard. Wyszyńskiego w Kościele i sposobu sprawowania przez niego funkcji przewodniczącego Episkopatu Polski odegrały uprawnienia specjalne, obejmujące nie tylko katolików polskich, lecz także zamieszkałych w ZSRS oraz wiernych obrządku greckokatolickiego i ormiańsko-katolickiego, potwierdzane przez Stolicę Apostolską. Otrzymał je w chwili, gdy został prymasem, i korzystał z nich przez cały czas swojej posługi w latach 1948–1981. Ich zakres był niezwykle szeroki. Ksiądz Alojzy Orszulik, bliski współpracownik kard. Wyszyńskiego, wspominał, że uprawnienia te służyły do „regulowania w imieniu Stolicy Apostolskiej wszystkich spraw, które były do załatwienia w Polsce". Obejmowały wszelkie i poszczególne łaski,

Prymas Stefan Wyszyński
FOT. CAF/PAP

eprasa.pl c26aa5272a

Sprawny przywódca

których Stolica Apostolska zwykła udzielać, z wyjątkiem dyspens zastrzeżonych dla samego papieża, dyspens od święceń przed 18. rokiem życia i zezwoleń na święcenia przed ukończeniem przepisanych studiów. Wyłączono z nich prawo nominacji biskupów i przenoszenia ich, przyjmowania od nich zrzeczenia się z urzędu, modyfikacji stanu diecezji i erygowania autonomicznej struktury apostolskiej.

Kluczowy, jeśli chodzi o funkcjonowanie Episkopatu, był znaczący wpływ prymasa na procesy episkopalne, czyli nominacje ordynariuszy i sufraganów, pozwalający mu na dobieranie odpowiednich kandydatów do współpracy w ramach Episkopatu. Można uznać, że pod tym względem kard. Wyszyński odgrywał niejako rolę legata papieskiego. Nie bez przyczyny Służba Bezpieczeństwa zwracała uwagę na to, że zdecydowana większość członków Episkopatu Polski właśnie kard. Wyszyńskiemu zawdzięczała swoje stanowiska, by wspomnieć choćby raport płk. Stanisława Morawskiego, dyrektora Departamentu IV MSW, z 1969 r., podkreślający, że „na ogólny stan 64 biskupów 53 biskupów otrzymało sakrę biskupią w okresie władzy Wyszyńskiego". W kolejnych latach stan ten jeszcze się znacząco poprawił, a wspomniana grupa hierarchów odgrywała ważną rolę w polskim Kościele jeszcze długo po śmierci prymasa.

Najistotniejszym czynnikiem wpływającym na sprawne zarządzanie polskim Kościołem oprócz uprawnień specjalnych prymasa było funkcjonowanie Komisji Głównej (która w 1969 r. zmieniła nazwę na Radę Główną). Było to gremium zaprojektowane jeszcze przez kard. Hlonda w 1945 r. do podejmowania szybkich i konkretnych decyzji, szczególnie w zakresie relacji z państwem. Wspomniany hierarcha świetnie zdawał sobie sprawę, że wobec silnego nacisku władz potrzebna jest instytucja, która może sprawnie funkcjonować, elastycznie reagując na kolejne posunięcia komunistów. Optykę kard. Hlonda podzielał jego następca abp. Wyszyński, który wraz z biegiem lat usprawniał działalność Komisji Głównej w taki sposób, że stała się w jego rękach kluczowym narzędziem do zarządzania Kościołem w Polsce. Przez cały okres PRL odgrywała ona zasadniczą rolę w wypracowywaniu stanowiska Kościoła wobec kluczowych problemów, przed którymi hierarchia stawała w okresie komunistycznej dyktatury.

Innym kluczowym elementem sukcesu kard. Wyszyńskiego było przyjęcie zasady jedności działania Episkopatu Polski. Starał się także włączać ogół hierarchii Kościoła do podejmowania najważniejszych decyzji, takich jak np. zawarcie „Porozumienia" w kwietniu 1950 r. czy organizacja obchodów milenijnych we wszystkich diecezjach. Odnosząc się do tej pierwszej kwestii, abp Wyszyński wskazywał: „Wobec ważności zagadnienia prywatne opinie muszą ustąpić; bonum commune wymaga, żeby biskupi występowali zawsze jednolicie, nie wolno się poddawać emocjonalnym czynnikom i nastrojom". Prymas dbał w głównej mierze o jednolite stanowisko biskupów wobec władz państwowych i w najważniejszych kwestiach duszpasterskich, a przede wszystkim społeczno-politycznych. Wspominał o tym m.in. na sesji biskupów ordynariuszów z 16 czerwca 1977 r.: „Ordynariusze powołani do służby w poszczególnych diecezjach są zobowiązani do troski o diecezje sobie powierzone i o inne diecezje danego terytorium lub Kościoła.

– Nie mogą diecezji uważać za swoją własność, ale za powierzoną sobie oblubienicę, której mają służyć. Przy czym, pracując »w swojej« diecezji, b[isku]p nie jest wolny od troski o wszystkie inne diecezje, chociaż w różnym wymiarze.

– Może więc mieć prawo zwracać uwagę innym biskupom na problemy jego diecezji, może też oczekiwać i dla siebie pomocy i oceny. To daje nam prawo, od czasu do czasu, do zebrania, w którym moglibyśmy sobie rozważyć naszą służbę Kościołowi w Polsce. Biskup ordynariusz przeto, podejmując decyzję, musi uwzględniać sytuację innych diecezji i opinię innych biskupów. Biskupi mają prawo zwracać sobie uwagę i nikt z tego powodu nie może czuć się dotknięty. Zasady powyższe mają szczególną wagę aktualnie w Polsce. Tak wielkie znaczenie ma u nas wzajemna odpowiedzialność i pomoc".

SUKCESY W POLITYCE PERSONALNEJ

Wśród biskupów nominowanych dzięki kard. Wyszyńskiemu można wyróżnić kilkanaście postaci, które odegrały w historii Kościoła i Polski bardzo istotną rolę. Wydaje się, że najważniejszym z nich był abp Antoni Baraniak, który najpierw w 1951 r. został biskupem pomocniczym gnieźnieńskim, a następnie sześć lat później arcybiskupem metropolitą poznańskim. Okazał się hierarchą niezłomnym, gdy podczas uwięzienia na warszawskim Mokotowie (w latach 1953–1955) przetrwał okrutne tortury i nie dał komunistom jakiegokolwiek materiału mogącego posłużyć do oskarżenia kard. Wyszyńskiego w procesie pokazowym. Prymas wiedział, dzięki komu nie stanął przed sądem PRL i osobiście zabiegał w Watykanie o nominacje na Poznań dla bp. Baraniaka w 1957 r. Po objęciu funkcji przez tego hierarchę archidiecezja poznańska była nie tylko sprawnie kierowana, lecz także realizowano w niej skutecznie wszystkie programy duszpasterskie zaplanowane przez prymasa. Arcybiskup Baraniak był także najważniejszym współpracownikiem kard. Wyszyńskiego w pracach

eprasa.pl c26aa5272a

Episkopatu Polski. W moim przekonaniu po objęciu metropolii poznańskiej był osobą numer dwa w polskim Kościele do czasu nominacji kardynalskiej dla Karola Wojtyły w 1967 r.

Trzy inne niezwykle istotne nominacje, na które kluczowy wpływ miał prymas, to: bp. Karola Wojtyły na arcybiskupa metropolitę krakowskiego w 1964 r., ks. Bolesława Kominka na biskupa rządcę polskiej części archidiecezji wrocławskiej w 1951 r. (swoją funkcję mógł objąć dopiero pięć lat później, po odwilży październikowej) oraz ks. Bronisława Dąbrowskiego na biskupa pomocniczego warszawskiego w 1961 r.

Znaczenie kard. Wojtyły dla funkcjonowania polskiego Kościoła jest oczywiste, wskażę tu tylko dwie ważne (choć może niezbyt znane i dość często pomijane) kwestie: od 1969 r. przyszły papież pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Episkopatu Polski, a od lat 70. kard. Wyszyński widział go jako swojego następcę jako prymasa Polski (co wyraził wprost na kartach swojego dziennika w 1977 r.).

Znaczenie kard. Kominka jest z kolei dość często niedocenianie, a był on kluczową postacią polskiego Kościoła. Oprócz najbardziej znanego dzieła hierarchy, jakim było Orędzie Biskupów Polskich do Biskupów Niemieckich, należy wspomnieć o: udziale w budowie struktur Kościoła na Ziemiach Zachodnich i Północnych, międzynarodowej działalności i współpracy z europejskimi konferencjami episkopatów oraz kierowaniu Komisją Duszpasterską Episkopatu Polski – która programowała wszystkie działania EP w sprawach duszpasterskich.

Zaskakuje dzisiaj to, że tak mało wspomina się o bp./abp. Bronisławie Dąbrowskim, który jako sekretarz generalny Episkopatu w latach 1969–1992 odegrał kluczową rolę nie tylko w relacjach państwo – Kościół, lecz także jako przedstawiciel polskich biskupów w Watykanie. W latach 1970–1978 to dzięki jego sprawnemu działaniu, we współpracy z prymasem, udało mu się zapobiec nawiązaniu zbyt bliskich relacji między władzami komunistycznymi a Stolicą Apostolską.

Kolejnym ważnym hierarchą, który otrzymał nominację biskupią za czasów kard. Wyszyńskiego, był ks. Ignacy Tokarczuk, który objął w 1966 r. funkcję ordynariusza przemyskiego. Szybko stał się najbardziej antykomunistycznym ordynariuszem w Polsce, a oprócz tego realizował także skuteczny plan nielegalnej budowy kościołów w Polsce Południowo-Wschodniej. Z pewnością dzięki jego aktywności Podkarpacie było (i jest także dzisiaj) najbardziej religijnym regionem w Polsce.

Znaczenie kard. Kominka jest często niedoceniane. A był on kluczową postacią polskiego Kościoła

Wśród innych udanych nominacji, które miały istotny wpływ na funkcjonowanie całości Kościoła, należy wspomnieć o: ks. Franciszku Macharskim – metropolicie krakowskim, następcy kard. Wojtyły (nominacja 31 grudnia 1978 r.); ks. Józefie Glempie wskazanym na ordynariusza warmińskiego (1979), który po śmierci kard. Wyszyńskiego został prymasem Polski; czy o ks. Jerzym Strobie, biskupie pomocniczym gnieźnieńskim skierowanym do pracy w Gorzowie w 1958 r., a następnie pełniącym funkcje biskupa szczecińsko-kamieńskiego (1972–1978) i metropolity poznańskiego (1978–1996).

Kardynał Wyszyński miał także bardzo dobre wyczucie w nominacjach dla swoich najbliższych współpracowników w archidiecezjach, których był ordynariuszem. W zasadzie wszystkie jego wybory okazały się trafne. Wymienić w tym miejscu trzeba biskupów pomocniczych w archidiecezji gnieźnieńskiej (w nawiasach okres sprawowania funkcji): Jana Czerniaka (1959–1989) i Jana Michalskiego (1975–1989); oraz sufraganów warszawskich: Jerzego Modzelewskiego (1959–1986), Władysława Miziołka (1969–1992) i Zbigniewa Józefa Kraszewskiego (1970–1992).

NIELICZNE POMYŁKI

Prymasowi, jak każdemu człowiekowi, zdarzały się błędy, ale na tle ogromnej liczby sukcesów były one naprawdę nieliczne. W przypadku nominacji biskupich należy wspomnieć szczególnie o trzech przypadkach: ks. Bogdanie Sikorskim, który został w 1964 r. ordynariuszem płockim, ks. Bolesławie Pylaku, biskupie lubelskim w latach 1966–1997, oraz ks. Henryku Gulbinowiczu nominowanym w 1969 r. na administratora apostolskiego – biskupa w Białymstoku, a następnie w 1975 r. na metropolitę wrocławskiego.

Pierwszy z wymienionych okazał się postacią o licznych słabościach obyczajowych (posiadanie kochanki i syna, nadużywanie alkoholu). Miał także bliskie relacje z władzami komunistycznymi w Płocku (znane są jego przyjazne kontakty z dyrektorem Wydziału ds. Wyznań w Płocku, z którym regularnie pił alkohol). Ostatecznie dopiero w 1984 r. bp Sikorski został pozbawiony rządów w diecezji po poważnym skandalu, który wywołał.

Biskup Pylak okazał się długoletnim TW SB o pseudonimach Teolog (1959–1965) i Bolesław (od 1971 r.). Prezentował także jako ordynariusz niezwykle uległą postawę wobec komunistów. W raportach Wydziału IV SB w Lublinie wprost pisano, że nie ma żadnej potrzeby prowadzenia wobec niego działań operacyjnych, gdyż robi nawet więcej (dla władz) niż można by tego oczekiwać. Oprócz tego bezpieka wiedziała o jego słabościach obyczajowych (homoseksualizm).

Biskup/arcybiskup, a wreszcie kard. Gulbinowicz prowadził z kolei w ukryciu rozmowy z funkcjonariuszami bezpieki, trwające w sumie 16 lat (w latach 1969–1985), co było aktem głębokiej nielojalności wobec prymasa, a także miał te same skłonności co wspomniany wyżej bp Pylak.

Prymas zapoczątkował także karierę w Kościele ks. Jerzego Dąbrowskiego, który już za czasów kard. Glempa został biskupem (w 1982 r.), a następnie zastępcą sekretarza generalnego Episkopatu. Wspomniany hierarcha był długoletnim tajnym współpracownikiem aparatu bezpieczeństwa o ps. Ignacy.

Kardynał Wyszyński nie tylko był niezwykle sprawnym liderem Kościoła w Polsce, lecz także wpłynął w sposób znaczący na kształt Episkopatu Polski w PRL. Liczne nominacje biskupie, w których miał swój udział, okazały się kluczowe dla zbudowania wybitnej grupy hierarchów, dzięki którym Kościół zbudował swój znaczący autorytet. Nieliczne chybione pomysły personalne nie zmieniają tego bardzo pozytywnego obrazu rzeczy i jestem przekonany, że dzisiaj Prymas Tysiąclecia może być dla nas wzorem także pod względem sposobu zarządzania kapitałem ludzkim, a mówiąc językiem bardziej przyziemnym – jak być sprawnym przywódcą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Niemcy czy naziści

Od bardzo dawna historycy, publicyści i politycy toczą propagandowy spór. Chodzi o rozstrzygnięcie, kto jest odpowiedzialny za rozpętanie drugiej wojny światowej i popełnione w jej trakcie masowe zbrodnie, w tym za ludobójstwo. Przez pierwsze powojenne lata taki spór nie miał żadnego znaczenia, wszyscy bowiem wiedzieli, kim byli sprawcy, a kim ofiary. Z czasem stało się to ważne, ponieważ można było, na skutek wielorakich zabiegów, w pewnym sensie oczyszczać Niemców z winy, natomiast nacisk zaczęto kierować w stronę „nazistów". I choć w tych wydarzeniach winni byli zarówno jedni, jak i drudzy, to z czasem kategorię „nazistów" można było rozszerzać i to piętno można też było przypisywać społecznościom innym niż Niemcy.

W dokumentach z epoki, czyli z czasów wojny i okupacji, pojęcie „nazistów" prawie się nie pojawia. Nie jest stosowane w dokumentach polskiej konspiracji, w prasie podziemnej, w rozkazach, odezwach i ulotkach. Wszędzie są Niemcy jako sprawcy i mordercy – czasem określani bardziej dosadnie, jako Szwaby, Germanie, Teutoni itd., nie ma natomiast „nazistów", w dodatku z tłumaczeniem, jak należałoby to rozumieć.

Partia nazistowska (NSDAP – Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników) była w III Rzeszy Niemieckiej monstrualnie rozbudowana: pod koniec jej istnienia liczyła już 8,5 mln członków. Partia była całkowicie zmilitaryzowana, hierarchiczna, umundurowana, a jej członkowie mieli określone stopnie służbowe. Jednak w stosunku do liczby obywateli III Rzeszy (ok. 70 mln) była to oczywiście mniejszość. Dziś Niemcy za „zbrodniczych nazistów" własnych (czyli tych, którzy uczestniczyli w zagładzie Żydów) przyjmują wielkość zaledwie ok. 200 tys. ludzi: służb III Rzeszy, rodzajów wojsk i członków NSDAP. Jednocześnie szacują dla potrzeb propagandowych, że wspierało ich ok. 200 tys. pomocników, w tym m.in. Ukraińców, Łotyszy i oczywiście… Polaków! Czyli wina rozkłada się mniej więcej po równo.

Musimy zatem pamiętać, że nie każdy Niemiec był nazistą (członkiem NSDAP), ale każdy nazista był Niemcem, bo do partii nie przyjmowano ludzi innych narodowości. Rozmywanie kategorii „naziści" i nieuprawnione przypisywanie tego określenia innym nacjom powoduje, że wina Niemców jest coraz mniejsza. Wreszcie doszliśmy do ściany: to Niemcy byli pierwszą ofiarą nazizmu! Tak wygląda zamiana miejsc między katem a ofiarą.

Skoro jeszcze możemy dbać o nazywanie zła po imieniu, to nie stosujmy enigmatycznej nazwy „naziści" wobec sprawców nie tylko Holokaustu, lecz także niemieckiego ludobójstwa w ogóle. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Koniec twierdzy Warszawa

Pomimo represji po zdławieniu powstania styczniowego Warszawa szybko się rozwijała. Do rangi symbolu urasta to, że insurekcja – w odróżnieniu od dwóch poprzednich – nie spowodowała spadku liczby ludności miasta. W 1864 r. Warszawa liczyła 244 tys. mieszkańców, a po niespełna 30 latach liczba ta uległa podwojeniu. Natomiast bardzo nieznacznie zwiększyła się w tym okresie powierzchnia miasta. Przyłączeniu okolicznych terenów stały na przeszkodzie względy wojskowe – Warszawa miała być bowiem twierdzą broniącą Rosji od zachodu. W efekcie Warszawa stała się jednym z najbardziej zaludnionych miast Europy.

Nie mogło być inaczej, skoro do budowy nowych domów wykorzystywano niemal każdą wolną parcelę. Z tego też powodu pod koniec lat 60. koniecznością stało się wprowadzenie numeracji domów, gdyż dotychczasowa numeracja hipoteczna powodowała ogromny zamęt. Odnalezienie właściwego adresu graniczyło niemal z cudem i stanowiło trudność nie tylko dla przyjezdnych, lecz także dla stałych mieszkańców stolicy.

Podstawową wadą rozwoju urbanistycznego Warszawy tamtych lat był brak jednolitej koncepcji rozbudowy miasta. Wytyczając nowe linie kolejowe biegnące przez stolicę, władze rosyjskie nie liczyły się z interesami mieszkańców, nie dbano też o tereny rekreacyjne.

Fatalnie przedstawiały się również warunki sanitarne miasta. Wzniesiony w latach 50. wodociąg Marconiego doprowadzał wodę tylko do gmachów rządowych, Teatru Wielkiego, dwóch szpitali i kilkunastu zdrojów publicznych. Jeszcze gorzej było z kanalizacją – dotychczasowa sieć nie zdawała egzaminu nawet przy odprowadzaniu samych tylko ścieków ulicznych.

W większości przypadków nieczystości płynęły do Wisły otwartymi (!) kanałami, które „ziały paskudną wonią i służyły mieszkańcom nielubiącym porządków do pozbywania się przez nie najgrubszych nieczystości". Szczególnie tragiczna sytuacja panowała w budynkach, które nie miały podłączenia do kanałów ściekowych. Nieczystości gromadzono tam w specjalnych dołach (kloaki), które co jakiś czas opróżniano. Stanowiły one obraz „niezrównanej obrzydliwości", tym bardziej że czasami jedna kloaka przypadała aż na 700 lokatorów! Nie potrafiono także uporać się z problemem śmietników i wywózką odpadów.

Przełomem w dziejach miasta stał się sierpień 1911 r., gdy oficjalnie zlikwidowano twierdzę Warszawa, a 9 września władze carskie zniosły wszelkie ograniczenia budowlane. Nastąpił szybki rozwój miasta. ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

„Morski dzieciak” kontra Flota Czarnomorska

Maciej Pieczyński

Ukraińcy zatapiają okręty, dziesiątkują piechotę morską, zadziwiają świat supernowoczesnymi dronami morskimi, kąsają Krym i most nad Cieśniną Kerczeńską. Skutecznie uniemożliwiają podbój Ukrainy od strony Morza Czarnego. Flota Czarnomorska ponosi kolejne straty, również wizerunkowe. Wciąż jednak skutecznie blokuje Odessę i ostrzeliwuje rakietami całą Ukrainę

Już od dawna infrastruktura Krymu i stacjonujące na jego terenie jednostki rosyjskie są obiektami ukraińskich ataków. Upadł mit Krymu jako perły w koronie imperium, której Moskwa będzie strzec jak oka w głowie. Nie ziściły się obawy wielu komentatorów, zgodnie z którymi już samo podniesienie ręki na tę ulubioną zdobycz Putina groziłoby asymetrycznym, atomowym odwetem. Oczywiście takie skutki może mieć próba wyzwolenia półwyspu poprzez operację lądową. Obecnie jednak Ukraińcy skupiają się na bardzo skutecznych zresztą atakach z powietrza i aktach dywersji.

W nocy z 25 na 26 sierpnia kilkadziesiąt ukraińskich dronów kamikadze, wyposażonych w materiały wybuchowe, uderzyło w koszary i magazyny 126. Brygady Obrony Wybrzeża Floty Czarnomorskiej, niedaleko miejscowości Perewalne na południowym wschodzie Krymu. O nalocie poinformowali sami Rosjanie. Zgodnie z ich wersją dronów było 42 i wszystkie zostały zestrzelone. Z kolei Ukraińcy informują, że bezzałogowce dotarły do celu, powodując u okupantów straty w ludziach. Źródła portalu „Ukraińska Prawda” w Służbie Bezpieczeństwa Ukrainy mówią o kilkudziesięciu zabitych i rannych. „Naszym bezzałogowcom udało się obejść wszystkie systemy obronne wroga” – zapewnia rozmówca „UP”. Zniszczone miały również zostać magazyny amunicji oraz magazyny wojskowe. Nalot został dokonany w ramach operacji pod kryptonimem Top Gun, przeprowadzonej wspólnie przez Siły Operacji Specjalnych (SSO) oraz inne oddziały

eprasa.pl c26aa5272a

Zatopienie „Moskwy" nie było jedyną – militarną i wizerunkową – stratą zadaną przez obrońców Flocie Czarnomorskiej w pierwszym okresie wojny
FOT. TWITTER.COM/JOHNKONRAD

Sił Zbrojnych Ukrainy. Zadanie nie należało do najłatwiejszych. Nie tylko dlatego, że Perewalne znajduje się daleko za linią frontu. „Trudność przeprowadzenia operacji związana była z pewnymi osobliwościami ukształtowania terenu" – informowało biuro prasowe SSO. Drony poruszały się między szczytami górskimi, co uniemożliwiło ich wykrycie przez obronę przeciwlotniczą. Tak twierdzi m.in. znany rosyjski ekspert do spraw wojskowości Władimir Rogow. Według niego do celu trafiło dziewięć dronów, „nieznacznie uszkadzając" dwie ciężarówki wojskowe. Rogow przyznaje, że ukraińskie ataki na Krym stają się coraz bardziej wyrafinowane.

ZATOPIENIE „MOSKWY"

Najważniejszym i najbardziej znanym rosyjskim związkiem operacyjno-strategicznym na Krymie i Morzu Czarnym jest osławiona Flota Czarnomorska. Jej historia jest nieodłącznie związana z okupowanym dziś półwyspem. Flotę założył faworyt carycy Katarzyny II, książę Grigorij Potiomkin, po tym, jak zdobył Krym dla imperium pod koniec XVIII w. Od samego początku jej główną bazą był Sewastopol. Flotę po Rosji carskiej odziedziczył Związek Sowiecki, po nim zaś – niemal w całości – Federacja Rosyjska. Krym po rozpadzie ZSRS pozostał przy Ukrainie, ale ok. 80 proc. floty przejęła Moskwa. Pozostałe 20 proc. trafiło pod rozkazy Kijowa. Rosja dzierżawiła od Ukrainy bazę w Sewastopolu. W 2010 r. prorosyjski prezydent Wiktor Janukowycz przedłużył dzierżawę do 2042 r. w zamian za obniżkę cen gazu. Ta decyzja była brzemienna w skutki. Garnizon sewastopolski stał się bowiem dla Rosjan bazą wypadową do zajęcia Krymu w 2014 r. Część ukraińskiej floty przejęli wówczas Rosjanie, część została zatopiona. Flota Czarnomorska odegrała więc decydującą rolę w aneksji półwyspu. Miała również przechylić szalę zwycięstwa na morzu po 24 lutego 2022 r. Już pierwszego dnia wojny jej okręty zdobyły strategicznie ważną dla Kijowa Wyspę Węży. Jednak ten epizod inwazji stał się głośny głównie ze względu na słynne słowa jednego z obrońców, który na żądanie złożenia broni miał odpowiedzieć: „Rosyjski okręcie wojenny, idź na ch.j!". A już 14 kwietnia to „życzenie" się spełniło. Jeden z okrętów biorących udział w ataku na wyspę został zatopiony przez Ukraińców. Tak się składa, że był to flagowy okręt Floty Czarnomorskiej – krążownik „Moskwa". Jego zniszczenie – z uwagi na symboliczną nazwę, historię „zemsty" za Wyspę Węży oraz ze względu na znaczenie okrętu – stało się wdzięcznym wątkiem wojennej propagandy Kijowa.

Zatopienie „Moskwy" nie było jedyną – militarną i wizerunkową zarazem – stratą zadaną przez obrońców Flocie Czarnomorskiej w pierwszym okresie wojny. W marcu 2022 r. w porcie w Berdiańsku nad Morzem Azowskim Ukraińcy zniszczyli okręt desantowy „Saratow". Uszkodzili też okręty „Cezar Kunikow" oraz „Nowoczerkassk". Przez długi czas Rosja nie informowała o losach załóg. Wchodząca w skład Floty 810. Samodzielna Brygada Piechoty Morskiej brała udział w oblężeniu Mariupola. W walkach pod miastem zginął zastępca dowódcy Floty, Andriej Palij. Wcześniej krymska filia Radia Swoboda, czyli portal Krym.Realii, ustaliła tożsamość ponad 100 poległych pod Mariupolem żołnierzy 810. Brygady.

Już od czasu zatopienia „Moskwy" okręty Floty Czarnomorskiej raczej unikają zbliżania się do ukraińskiego wybrzeża Morza Czarnego. Desant w tym regionie jest w tej chwili praktycznie niemożliwy. To jednak nie oznacza, że rosyjska marynarka wojenna nie stanowi żadnego zagrożenia dla Ukrainy. Przeciwnie. To właśnie Flota Czarnomorska skutecznie zablokowała strategicznie kluczowy dla Kijowa port w Odessie. Z pokładów jej okrętów są wystrzeliwane rakiety, które rażą nie tylko silosy zbożowe z portowej metropolii, lecz także cele na terenie całej Ukrainy.

Dodatkowo w lipcu 2023 r. na Morzu Czarnym pojawił się „Cyklon", czyli rosyjska korweta rakietowa, wyposażona w pociski typu Kalibr. Ogółem Rosjanie zamówili pięć tego typu okrętów. Dwa kolejne mają wzmocnić Flotę Czarnomorską pod koniec 2023 lub na początku 2024 r. To oznacza, że i tak już ogromna przewaga rosyjskiej marynarki wojennej nad ukraińską wzrośnie. Kijów płaci teraz za lata zaniedbań. Przed 2014 r. Ukraińcy nie robili praktycznie nic, aby zniwelować przewagę rosyjskiej Floty Czarnomorskiej. Przewaga ta jednak ma głównie ilościowy charakter. W sferze technologicznej jakości coraz więcej do zaoferowania na Morzu Czarnym mają Ukraińcy. W arsenale Kijowa pojawiła się bowiem nowa broń.

Przewaga rosyjskiej marynarki wojennej nad ukraińską już jest ogromna, a na przełomie roku jeszcze wzrośnie

DRONY KAMIKADZE

Drony kojarzą się przede wszystkim z bezzałogowymi statkami powietrznymi. Jednak w walkach na Morzu Czarnym coraz większą rolę, szczególnie po stronie obrońców, odgrywają również bezzałogowe pojazdy wodne, potocznie zwane morskimi dronami kamikadze albo

eprasa.pl c26aa5272a

Po stronie obrońców dużą rolę odgrywają bezzałogowe pojazdy wodne, zwane morskimi dronami kamikadze FOT. SECURITY SERVICE OF UKRAINE

dronami nawodnymi. Po raz pierwszy wykorzystane zostały już w październiku 2022 r., kiedy w sewastopolskim porcie uszkodzony został rosyjski trałowiec „Iwan Gołubiec". W maju 2023 r. użyto ich w ataku na okręt rozpoznawczy „Iwan Churs". Według Moskwy wszystkie trzy drony biorące udział w akcji zostały zniszczone, zanim uszkodziły rosyjską jednostkę. Ukraińcy opublikowali jednak nagranie z kamery umieszczonej na jednym z nich. Widać na nim, jak dron podpływa pod samą burtę okrętu. W odpowiedzi Rosjanie upublicznili zdjęcia, na których „Iwan Churs" o własnych siłach dobija do portu w Sewastopolu. W lipcu za pomocą dronów morskich Ukraińcy uszkodzili most Krymski, którego część na dwa miesiące została wyłączona z eksploatacji. To była najgłośniejsza akcja z udziałem nowej broni. 2 sierpnia rosyjskie drony kamikadze zbombardowały Izmaił u ujścia Dunaju, niszcząc zbiornik z paliwem oraz elewator zbożowy. Dwa dni później ukraińskie drony morskie zaatakowały bazę marynarki wojennej w Noworosyjsku. Jeden z nich uszkodził okręt desantowy „Oleniegorskij Gorniak", oddelegowany w rejon walk na Morzu Czarnym z Floty Północnej. Akcję przeprowadziły wspólnie Ukraińska Marynarka Wojenna oraz SBU. 5 sierpnia z kolei bezzałogowe jednostki morskie zaatakowały tankowiec SIG, transportujący paliwo lotnicze dla rosyjskich sił powietrznych.

Szczegóły techniczne nowej broni Kijów zaprezentował pod koniec lipca. W lipcowym ataku na most Krymski oraz w ubiegłorocznym uderzeniu na port w Sewastopolu miał zostać użyty dron „Sea Baby". „Morski dzieciak" jest w całości ukraińską konstrukcją, opracowaną przez ekspertów SBU we współpracy z cywilnymi inżynierami i informatykami. Drony powstają w tajnej podziemnej fabryce. Nazwa najprawdopodobniej nie jest przypadkowa. „Morski dzieciak" to po ukraińsku „morśkyj maluk", a szef SBU nazywa się Wasyl Maluk. Prace nad dronami ruszyły już po inwazji rosyjskiej. Rosjanom trudno jest namierzyć tak mały obiekt. – Prędkość tych dronów przewyższa obecnie prędkość jakiegokolwiek statku morskiego w regionie Morza Czarnego – podkreślił konstruktor w rozmowie z amerykańską telewizją. Jego tożsamość nie jest znana, prosił o zachowanie anonimowości. Przedstawił się pseudonimem – Akuła (ros. i ukr.: rekin).

„Morskie dzieciaki" służą do celów zarówno rozpoznawczych, jak i bojowych. Mogą przenosić ładunki wybuchowe o wadze do 850 kg. Osiągają prędkość 80 km/h. Mają zasięg do 800 km. Jednorazowo mogą pływać przez 60 godzin. Z wyglądu przypominają łódź motorową. Mierzą nieco ponad 5 m długości. Na środku umieszczony jest miniaturowy maszt z głowicą obserwacyjną wyposażoną w zestaw kamery dziennej, termowizyjnej oraz dalmierza laserowego służącego do pomiaru odległości. Jak szacuje „Wall Street Journal", jeden dron kosztuje ćwierć miliona dolarów. Jak odnotowują analitycy Ośrodka Studiów Wschodnich Andrzej Wilk i Jakub Ber, to największy jak dotąd sukces ukraińskich dronów nadwodnych. Położony daleko od strefy działań wojennych Noworosyjsk znajdował się na granicy zasięgu nowej broni, dlatego skuteczny atak na tę bazę był dla Moskwy zaskoczeniem. „Mimo że sukcesy ukraińskich dronów nawodnych są sporadyczne, sama możliwość ich wykorzystania odbiera Rosjanom pełną swobodę operowania na Morzu Czarnym i wymusza na nich baczną obserwację powierzchni akwenu. Agresor był także zmuszony do wprowadzenia dodatkowych zabezpieczeń infrastruktury brzegowej w postaci pływających barier na podejściach do portu w Sewastopolu i mostu nad Cieśniną Kerczeńską" – czytamy w analizie OSW. Drony morskie są ponadto dodatkowym zabezpieczeniem przed ewentualnym desantem wroga na wybrzeżu Morza Czarnego.

„Sea Baby" nie wyczerpuje arsenału ukraińskich bezzałogowców morskich. W kwietniu Kijów zaprezentował dwa rodzaje podwodnego drona typu „Tołoka". TLK-150 może wziąć na pokład maksymalnie 50 kg materiałów wybuchowych i przepłynąć 100 km. TLK-400 z kolei odpowiednio do pół tony ładunku i 2 tys. km zasięgu. Jak dotąd nie potwierdzono użycia „Tołoki" w warunkach bojowych.

Pod koniec sierpnia Ukraińcy poinformowali, że testowany jest nowy dron podwodny – „Mariczka". Sześć metrów długości, zasięg do tysiąca kilometrów. Może razić mosty, okręty, umocnienia brzegowe, łodzie podwodne, a także pełnić funkcje rozpoznawcze. Jego wielką zaletą ma być zdolność do obchodzenia systemów walki radioelektronicznej. „Mariczkę" prawdopodobnie będzie można zniszczyć jedynie za pomocą min lub bomb głębinowych zintegrowanych z sonarem. Nie każdy okręt Floty Czarnomorskiej dysponuje takim sprzętem. Jak nietrudno się domyślić, jednym z najważniejszych celów nowej broni będzie most Krymski. „Mariczka" może zaatakować jego podpory tuż przy dnie, to zaś oznaczałoby zniszczenia o wiele poważniejsze niż te zadane przez „Sea Baby".

Porażki w starciu ze słabszym przeciwnikiem mocno nadszarpnęły wielką sławę Floty Czarnomorskiej. Ukraińcy skutecznie bronią wybrzeża przed desantem, uprzykrzając życie marynarce wojennej agresora. Jednak w tym nierównym starciu mimo wszystko wciąż górą jest Rosja. Odessy nie zdobyła, ale wciąż jest w stanie ją blokować i bombardować. Supernowoczesne drony morskie na razie nie pokonały Floty Czarnomorskiej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Więzień nr P01135809?

FOT. JOE RAEDLE/GETTY IMAGES

Jacek Przybylski

Były amerykański prezydent usłyszał w Atlancie kolejne zarzuty. W sumie toczą się już wobec niego cztery sprawy kryminalne. Pierwszą rozprawę, podczas której Donald Trump zasiądzie na ławie oskarżonych, sąd wyznaczył na 4 marca. Termin procesu zbiega się z najważniejszym etapem prawyborów w Partii Republikańskiej

Pod koniec sierpnia śledczy w hrabstwie Fulton postawili Donaldowi Trumpowi aż 13 zarzutów. Najważniejszy z nich to udział w grupie przestępczej, której celem było nielegalne obalenie wyników wyborów prezydenckich w 2020 r. w stanie Georgia. Tylko w tym przypadku minimalna kara w razie skazania to pięć lat więzienia (do lat 20). Wcześniej – biorąc pod uwagę zarzuty tylko w trzech wcześniejszych sprawach – 77-letniemu byłemu prezydentowi groziła maksymalnie łączna kara 641 (słownie: sześciuset czterdziestu jeden) lat za kratkami. Tak, tak. W stanie Nowy Jork oskarżono go o fałszowanie raportów biznesowych w celu ukrycia opłat aktorce porno Stormy Daniels za to, by nie ujawniała informacji, że uprawiała seks z Trumpem. W sumie prokuratorzy postawili mu w związku z tą sprawą 34 zarzuty (każdy jest zagrożony karą do czterech lat więzienia, czyli łącznie sąd może teoretycznie skazać byłego prezydenta na 136 lat za kratkami). Z kolei za niewłaściwe obchodzenie się z tajnymi dokumentami po wyprowadzce z Białego Domu i bezprawne przechowywanie ich w rezydencji w Mar-a-Lago prokuratorzy mogą żądać dla Trumpa łącznie 450 lat. W trzeciej sprawie za utrudnianie postępowania, spisek przeciw prawu wyborczemu etc. grozi mu łącznie 55 lat więzienia.

Marne kilkadziesiąt lat w stanie Georgia wiele tu nie zmienia. Trumpa, który kolejny raz nie przyznał się do winy, zwolniono po wpłaceniu 200 tys. dol. kaucji. Aby uniknąć aresztu, były prezydent musi także przestrzegać zobowiązania do niezastraszania świadków i zakazu komunikowania się ze współoskarżonymi. Prezydenta zarejestrowano formalnie jako „więźnia nr P01135809".

Zarzuty w stanie Georgia usłyszało również 18 współpracowników byłego prezydenta, w tym znany prawnik i były burmistrz Nowego Jorku Rudy Giuliani. Prokuratura mu również zarzuca uczestnictwo w grupie przestępczej, a także m.in. nakłanianie urzędników stanowych do składania fałszywych oświadczeń. Giuliani został zwolniony po wpłaceniu kaucji w wysokości 150 tys. dol.

Donaldowi Trumpowi, a także wszystkim podejrzanym współpracownikom zrobiono zdjęcia do kartoteki policyjnej (tzw. mug shot).

– To nie tylko atak na mnie, nie tylko atak na prezydenta Trumpa. To jest atak na amerykański naród – komentował swoje zatrzymanie Rudy Giuliani, przekonując, że stanowi prokuratorzy łamią w ten sposób konstytucyjne prawo amerykańskich obywateli do składania skarg na władze. Przekonywał bowiem, że ludzie mają pełne prawo uważać, że wybory zostały sfałszowane. I ostrzegł, że jeśli śledczy mogą zatrzymać jego, to zarzuty mogą usłyszeć także zwykli Amerykanie.

Obrońcy Trumpa i jego współpracowników przekonują, że jeśli nawet były prezydent nie miał twardych dowodów na sfałszowanie wyborów, to

eprasa.pl c26aa5272a

prawo do mówienia o fałszerstwie zapewnia mu wprost pierwsza poprawka do konstytucji, gwarantująca wolność wypowiedzi. Jeśli więc Trump był przekonany o tym, że wygrał, to odbieranie mu prawa do mówienia o tym publicznie, jest niezgodne z amerykańską konstytucją.

SUPERPONIEDZIAŁEK?

Prawnicy byłego prezydenta muszą wiedzieć, że to dość karkołomna strategia. Nie bez powodu prosili więc sąd o wyznaczenie daty jednego z procesów na kwiecień 2026 r. Sędzia Tanya Chutkan odrzuciła jednak ten wniosek i datę rozpoczęcia pierwszego procesu kryminalnego przeciw Trumpowi wyznaczyła na poniedziałek 4 marca przyszłego roku, dając tym samym zwolennikom teorii spiskowych nie lada prezent.

Nawet największym przeciwnikom tezy mówiącej o politycznym polowaniu na czarownice trudno bowiem dać wiarę, że termin tej rozprawy został wyznaczony zupełnie przypadkowo. Od dawna wiadomo bowiem, że dzień później, 5 marca 2024 r., w Ameryce zaplanowano Superwtorek. Tego dnia partyjne prawybory (z ang. Primaries) odbywają się w rekordowej liczbie stanów. Na swojego faworyta głosować będą wówczas mieszkańcy takich stanów jak Alaska, Alabama, Arkansas, Samoa, Kalifornia, Kolorado, Massachusetts, Maine, Minnesota, Karolina Północna, Oklahoma, Tennessee, Teksas, Utah, Vermont oraz Virginia.

Jest to więc wyjątkowo ważny dzień dla wszystkich kandydatów. We wtorek 5 marca wybrana zostanie bowiem największa liczba delegatów na partyjne konwencje (mniej więcej jedna trzecia wszystkich). Kto tego dnia poniesie sromotną klęskę, może już żegnać się z marzeniami o przeprowadzce do Białego Domu. Jednocześnie często już po Superwtorku wiadomo, kto w sierpniu ma największe szanse na partyjną nominację. I chociaż teoretycznie na początku formalnej kampanii najważniejsze stany to Iowa, New Hampshire, Karolina Południowa oraz Newada, to już teraz wielu republikańskich rywali Donalda Trumpa podróżuje do Teksasu, Oklahomy, Alabamy czy Tennessee, aby zawczasu zdobyć przychylność potencjalnych wyborców.

Średnia przewaga Donalda Trumpa w sondażach nad konkurentami z Partii Republikańskiej wynosi ponad 40 punktów procentowych

Rozpoczęcie procesu 4 marca utrudni Trumpowi udział w najważniejszym dniu prawyborów. Paradoksalnie może jednocześnie maksymalnie zwiększyć jego szanse na otrzymanie partyjnych nominacji i zmobilizować wielu do pójścia do urn. Konkurenci byłego prezydenta już teraz skarżą się, że kolejne zarzuty kryminalne jedynie zwiększają popularność Donalda Trumpa i sprawiają, że na konto jego sztabu wyborczego wpływają rekordowe kwoty od darczyńców (w drugim kwartale 2023 r. było to 35 mln dol., a w ciągu zaledwie jednego tygodnia, w którym światło dzienne ujrzało zdjęcie byłego prezydenta wykonane przez policyjnego fotografa, na konto sztabu wpłynęło ponad 7,1 mln dol.). W badaniach opinii publicznej Donald Trump w każdym sondażu ma zaś dwucyfrową przewagę na konkurentami w każdym stanie USA. Dla przykładu: w Iowa według najnowszego badania NBC News/DMR Donalda Trumpa popiera 42 proc. ankietowanych. Najgroźniejszy rywal byłego prezydenta, gubernator Florydy Ron DeSantis, może liczyć na 19 proc. głosów (o 22 punkty procentowe mniej). Kolejny na liście senator Tim Scott ma 9 proc. poparcia, na byłego wiceprezydenta Mike'a Pence'a głosować chce 6 proc. pytanych, tyle samo sympatyków ma była gubernator Karoliny Południowej Nikki Haley. Były gubernator New Jersey, Chris Christie, zdobył w tym sondażu 5 proc. głosów, a przedsiębiorca Vivek Ramaswamy 4 proc. A Iowa to i tak jest stan, w którym Trumpowi wcale nie idzie najlepiej. W New Hampshire przewaga między byłym prezydentem a najbliższym mu DeSantisem według średniej z kilku ostatnich sondaży wynosi aż 31 punktów procentowych, w całej Ameryce to zaś ponad 40 punktów procentowych.

– Za każdym razem, gdy wnoszą akt oskarżenia, mocno rośnie nasze poparcie w sondażach – mówił w sierpniu podczas spotkania Partii Republikańskiej w Montgomery w stanie Alabama sam Donald Trump. – Potrzebujemy jeszcze jednego aktu oskarżenia, aby rozstrzygnąć te wybory – dodał były prezydent.

Przy takim poparciu amerykańskich konserwatystów dla byłego przywódcy Ameryki trudno się dziwić, że gdy podczas debaty telewizyjnej jego kontrkandydatów zapytano, czy udzieliliby poparcia Trumpowi, gdyby wygrał on wyścig po partyjną nominację, ale został jednocześnie skazany, większość odpowiedziała, że tak. Z chóru pochlebców wyłamało się jedynie dwóch polityków: Trumpa w razie skazania nie poparłby były gubernator Arkansas Asa Hutchinson (ze średnim poparciem wynoszącym 0,4 proc.) oraz były gubernator New Jersey Chris Christie, który w sondażach w całych USA cieszy się na razie średnim poparciem na poziomie 2,5 proc. – Niezależnie od tego, czy uważamy, że zarzuty kryminalne są słuszne czy nie, zachowanie Trumpa było niegodne urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych – przekonywał Christie, którego sztab wyemitował niedawno reklamę z użyciem policyjnego zdjęcia Trumpa i prostym pytaniem: „Masz już dość tych dramatów, rozpraszania uwagi i kłamstw?". Ta strategia na dłuższą metę może się opłacać. Według sondażu ABC News/Ipsos – przeprowadzonego w połowie sierpnia – 20 proc. republikańskich wyborców uważa, że Trump po usłyszeniu zarzutów powinien zawiesić swoją kampanię wyborczą, a 14 proc. sądzi, że były prezydent powinien usłyszeć zarzuty za swoje zachowanie po wyborach w roku 2020.

WYWIAD ZAMIAST DEBATY

Sam Donald Trump raczej wie, że jeśli nie chce spędzić reszty życia za kratkami, to powinien zrobić wszystko, aby wygrać przyszłoroczne wybory. Jako urzędujący prezydent Trump odzyskałby immunitet. Po przeprowadzce do Białego Domu mógłby np. poinstruować prokuratora general-

eprasa.pl c26aa5272a

nego, aby doprowadził do oddalenia zarzutów przeciw niemu w sprawach federalnych, a także szukać zemsty na nękających go prokuratorach (a już z pewnością wyrzucić z pracy prokuratora specjalnego Jacka Smitha prowadzącego dochodzenie w jego sprawie i twierdzącego, że 6 stycznia 2021 r. w Ameryce doszło do zamachu stanu). Może również spokojnie poczekać na wyrok, a jeśli zostanie skazany, to spróbować sam siebie ułaskawić (byłby to co prawda poważny test dla prawników specjalizujących się w granicach prezydenckiej władzy, ale jeśli to by się Trumpowi udało, to nie musiałby się o nic martwić również po zakończeniu kadencji).

Wraz z postępem spraw w sądach może się bowiem okazać, że od byłego przywódcy Ameryki będzie odwracać się coraz więcej jego dawnych zwolenników, którzy sami zostali teraz również oskarżeni o działanie w celu odwrócenia rezultatu wyborów w 2020 r. Jedną z takich osób jest np. David Shafer, były szef Partii Republikańskiej w Georgii, a obecnie jeden z 19 oskarżonych (ciąży na nim osiem zarzutów), który już zeznaje, że zarówno on, jak i 15 innych „fałszywych elektorów", próbujących fałszywie poświadczyć zwycięstwo Donalda Trumpa, kwestionowało prawdziwy rezultat wyborów na bezpośrednie żądanie ówczesnego prezydenta.

Nawet skazanie prawomocnym wyrokiem sądu przed wyborami nie uniemożliwi Trumpowi udziału w kampanii i ewentualnej wygranej w wyborach. Amerykańska konstytucja w żadnym paragrafie nie zabrania ubiegania się o prezydenturę osobom skazanym. Co więcej, Trump nie byłby pierwszym skazańcem, który stara się o Biały Dom. W 1920 r. o najwyższy urząd w państwie walczył Eugene Debs, socjalista, który po skazaniu na 10 lat więzienia za działalność wywrotową (sprzeciw wobec udziału USA w drugiej wojnie światowej) kandydował na prezydenta, siedząc w więzieniu (i udało mu się zdobyć aż 6,4 proc. głosów).

Wielkie poparcie w sondażach pozwala mu na razie nie przejmować się konwenansami. Nie pofatygował się nawet na kluczową debatę telewizyjną na początku kampanii wyborczej. Zamiast tego udzielił wywiadu Tuckerowi Carlsonowi. Podczas rozmowy przekonywał, że to on wygrał wybory w roku 2020, bezpardonowo atakował konkurentów z Partii Republikańskiej i zapowiedział zaostrzenie polityki migracyjnej. Siedemdziesięciosiedmioletni polityk krytykował również swego rywala z Partii Demokratycznej.

KONSEKWENCJE DLA ŚWIATA

Przed poważnymi konsekwencjami prawnej batalii byłego prezydenta USA i kandydata na prezydenta w 2024 r. dla instytucji globalnych, prawa i porządku międzynarodowego oraz dla przewidywalności światowej superpotęgi ostrzegła w tekście opublikowanym na łamach dziennika „Financial Times" Bronwen Maddox. Szefowa prestiżowego think tanku Chatham House apelowała wprost: „Sojusznicy USA muszą się obudzić". Przyszły rok zapowiada się bowiem dramatycznie: o najwyższy urząd w Ameryce walczyć będzie niedołężny starzec Joe Biden z potencjalnym skazańcem Donaldem Trumpem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

CapitalBook.pl

ANDRZEJ CEGLARSKI

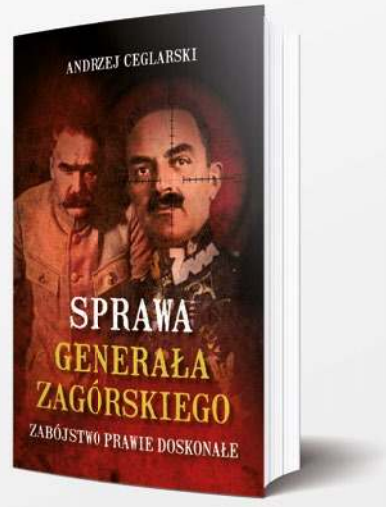

SPRAWA GENERAŁA ZAGÓRSKIEGO

Kim był generał Zagórski i dlaczego zaginął w tajemniczych okolicznościach? Co generał Zagórski wiedział na temat sekretnej przeszłości Józefa Piłsudskiego? Dlaczego po przewrocie majowym zaczęli znikać oficerowie, którzy znali rolę Józefa Piłsudskiego w bitwie Warszawskiej 1920? I wreszcie, czego i kogo najbardziej się bał Józef Piłsudski?

Na te i inne pytania odpowiada książka Andrzeja Ceglarskiego.

533 496 436

sklep@capitalbook.pl

www.capitalbook.pl

eprasa.pl c26aa5272a

FOT. KAROL MAKURAT/REPORTER

ALICE COOPER KONTRA LGBT

Znany rockman stracił współpracę z firmą Vampyre Cosmetics. Bo udzielił wywiadu, w którym zapytano go o sprawę „afirmacji płci". Alice Cooper powiedział: „Rozumiem, że istnieją przypadki osób transpłciowych, ale też obawiam się, że to fanaberia i że wiele osób twierdzi tak, bo tak chce. Uważam, że to złe, gdy jest to sześciolatek, który nie ma o tym pojęcia. Chce się po prostu bawić, a ty mieszasz mu, mówiąc: »Jesteś chłopcem, ale mógłbyś być dziewczynką, jeśli tego chcesz«. Myślę, że dla dziecka to dezorientujące. Nawet dla nastolatka byłoby dezorientujące". Dorzucił jeszcze, że to absurd jak z książek Vonneguta.

BILET ZA TATUAŻ

Rząd Austrii rozpoczął niezwykłą promocję. Każdy, kto zrobi sobie tatuaż z elementami Klimaticket (symbole dotyczące klimatu zaprojektowane w ramach kampanii dotyczącej zmian klimatycznych), otrzyma bezpłatny całoroczny bilet na wszystkie środki transportu komunikacji miejskiej. Nagrodą za tatuaż jest więc równowartość 1095 euro. Austriacki rząd podał, że do tej pory znaki klimatyczne na ciele wytatuowało sobie dziewięć osób.

AWANTURA O STROJE

Francuski minister edukacji zdecydował, że od tego roku szkolnego w szkołach nie będzie wolno uczennicom nosić abaji – czyli długiej szaty, tradycyjnego stroju muzułmańskich kobiet. Gabriel Attal uzasadniał, że to, jaką ktoś wyznaje religię, nie może być od razu widoczne po wejściu do klasy. Lewicowi deputowani okrzyknęli tę regulację „nową islamofobiczną kampanią". Niektórzy komentatorzy zauważają, że restrykcje są wymierzone wyłącznie w jedną religię, i domagają się „pełnej sekularyzacji".

PANNY TYLKO BARDZO MŁODE

Chińczycy długo próbowali ograniczać narodziny. Teraz, gdy rodzi się za mało Chińczyków, władze starają się zachęcać ludzi do prokreacji. W prowincji Zhejiang na wschodzie kraju włodarze okręgu Changshan zapragnęli zachęcić kobiety, by w młodym wieku wstępowały w związki małżeńskie. Każdej pannie młodej, mającej mniej niż 25 lat, przyznawać będą 1 tys. juanów (ok. 560 zł).

JAGODOWI RECYDYWIŚCI

Czesi trzeci raz zatrzymali grupę osób, która wjechała samochodem na teren Karkonoskiego Parku Narodowego i zbierała borówki. Amatorami owoców okazali się Polacy. Przedstawiciele parku poinformowali, że każdy z nich został ukarany grzywną w kwocie 10 tys. koron czeskich (blisko 2 tys. zł). W czeskim parku narodowym zbieranie borówek jest dozwolone, ale nie można schodzić ze szlaków, które wiodą przez oznaczone „obszary ciszy". ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Disney szuka dna

Amerykański gigant rozrywki The Walt Disney Company to jedna z najlepiej rozpoznawalnych marek na świecie zarówno wśród dzieci, jak i dorosłych. Założona w 1923 r. firma przez dekady przynosiła inwestorom bajecznie wysokie zyski. Dzięki nim w 2019 r. Disney przejął 21st Century Fox za ponad 70 mld dol.

Mimo potężnej pozycji na rynku w ubiegłym tygodniu notowania akcji Disneya spadły do poziomu 81,74 dol., czyli najniższego od dziewięciu lat! I nie był to wynik ogólnego krachu. Lepiej od Disneya radzą sobie niemal wszyscy wielcy konkurenci z branży dystrybucji mediów i rozrywki. Co gorsza, dochody są kiepskie mimo ogłoszonych przez dyrektora generalnego Boba Igera masowych zwolnień.

Dlaczego więc wyniki akurat tej znanej marki tak mocno rozczarowują? Zdaniem ekspertów może to być efekt bezprecedensowego zaangażowania spółki w promocję lewicowej propagandy (firma doświadczyła kryzysu wizerunkowego, gdy na jaw wyszło nagranie, na którym szefowie Disneya otwarcie zastanawiają się, jak w produkcjach dla dzieci przemycić treści związane z ideologią LGBT, „woke" czy „gender"). Nie spodobało się to wielu rodzicom. Korporacja twardo stoi jednak po stronie tęczowej rewolucji i np. do promocji w mediach społecznościowych ubrań dla dziewczynek zatrudniła biologicznego mężczyznę Seanna Altmana, który deklaruje „płynność tożsamości płciowej" i chętnie woła, że Minni to właśnie on.

Wielu widzom nie podoba się też konflikt Disneya i konserwatystów, a zwłaszcza wojna z gubernatorem Florydy Ronem DeSantisem. Czy akcjonariusze skłonią zarząd Disneya do powrotu do zdrowego rozsądku? To pokażą następne wyniki.

eprasa.pl c26aa5272a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Mistrzowie hokus-pokus

Politycy od dawna specjalizują się w ukrywaniu podatków, lecz mistrzostwo, do którego doszli w tej dyscyplinie ministrowie – na czele z pierwszym ministrem – obecnego rządu Polski, domaga się okrzyku podziwu: chapeau bas!

To już bowiem nie jest zwykłe kiwanie wyborców i podatników, to już nie są jakieś tam drobne manipulacyjki czy maleńkie kłamstewka. O, nie! – to prawdziwy polityczny hokus-pokus, to całkiem nowa filozofia sprawowania władzy, wspierana „oszczędnym gospodarowaniem prawdą" w żywe oczy.

Jak bowiem wiadomo – choćby z TVP – obecny rząd nie podnosi żadnych podatków; obecny rząd podatki wyłącznie obniża. W przeciwieństwie do poprzednich, które jeśli w ogóle zajmowały się podatkami, to tylko w tym celu, by podnieść ich wysokość lub wprowadzić nowe i też potem ustawicznie windować ich wymiar.

A jak to wygląda w praktyce? Ano tak, że obecny rząd tak mocno obniżył podatek od dochodów osobistych, że Polacy w 2022 r. zapłacili go – czyli PIT – o 5 mld zł mniej niż rok wcześniej. I to jest kwota, która robi wrażenie. I to właśnie ona jest rozgłaszana na cztery strony świata – choćby w TVP – codziennie, a jak się da – to co godzinę.

Wszelako – lecz o tym już cicho sza – sporo większe wrażenie od owych 5 mld zł robi kwota 53 mld zł, o którą więcej w tymże samym 2022 r. my wszyscy – polscy podatnicy (w tym polskie firmy, a także polscy emeryci i renciści) – musieliśmy wpłacić do kasy państwa w postaci przeróżnych składek (np. zdrowotnych) i opłat. A tak właśnie wynika z frapujących wyliczeń publicystki „Rzeczpospolitej" Aleksandry Fandrejewskiej. Według nich w 2022 r. oprócz 68 mld zł podatku dochodowego (czyli o rzeczone 5 mld zł mniej niż w 2021 r.) zapłaciliśmy bowiem ponad 410 mld zł w składkach, opłatach i dopłatach (czyli o rzeczone 53 mld więcej niż w 2021 r.).

Per saldo więc w 2022 r. musieliśmy wpłacić do kasy państwa aż o niemal 50 mld zł więcej niż w 2021 r. Lecz, rzecz jasna, zapłaciliśmy więcej nie podatków (bo te rząd oczywiście w pocie czoła obniża i obniża), a jakichś tam niepodatków, których jednak spróbuj nie zapłacić, a już cię ZUS i Urząd Skarbowy nauczą moresu.

A trudno się w tym połapać, bo nasi specjaliści od ukrywania podatków, czyli nasi „rządowi oszuści podatkowi", a jeszcze innymi słowy – nasi rządowi Pinokiowie – nie dają tego po sobie poznać, bo nawet gdy jak najęci „oszczędnie gospodarują prawdą" – nosy im się nie wydłużają, bo to już nie są starodawne, drewniane kukiełki z warsztatu mistrza Dżepetta, lecz współcześni, nowocześni – i nie do zdarcia – Pinokiowie 2.0. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Absurd trwa

Artykuł 104 tkwi w kodeksie wyborczym bez zmian: „Kampania wyborcza rozpoczyna się z dniem ogłoszenia aktu właściwego organu o zarządzeniu wyborów i ulega zakończeniu na 24 godziny przed dniem głosowania". Absurdalność przepisu o ciszy wyborczej była już wykazywana setki, jeśli nie tysiące razy. Dowodzono, że jest to przejaw niepoważnego traktowania wyborców, ale przede wszystkim, że w dzisiejszych czasach, przy wszechobecności Internetu i mediów społecznościowych, polskie przepisy są skrajnie anachroniczne. Wszystko na nic. Idiotyzm trwa w najlepsze.

Poziom absurdu, na który wchodzimy od północy z piątku na sobotę, przekracza wysokość Mount Everestu

Przy tym mamy do czynienia ze swego rodzaju perwersją. Kodeks wyborczy definiuje bowiem pojęcie agitacji wyborczej: „Agitacją wyborczą jest publiczne nakłanianie lub zachęcanie do głosowania w określony sposób, w tym w szczególności do głosowania na kandydata określonego komitetu wyborczego". Jasno wynika z tego, że nie jest agitacją wyborczą np. zamieszczenie podczas ciszy wyborczej analizy na temat przewidywanego wyniku wyborów. Ba, nie jest nią nawet zamieszczenie analizy, w której przywoła się sondaże opublikowane przed wejściem w życie ciszy wyborczej. A jednak większość komentatorów i redakcji wydaje się sparaliżowana strachem przed gigantycznymi karami i w czasie ciszy wyborczej po prostu w ogóle przestaje mówić o nadchodzących wyborach. Wykorzystują to największe media, w tym państwowe, nie agitując, ale podając informacje, mające w istocie skłaniać wyborcę do podjęcia takiej czy innej decyzji.

Poziom absurdu, na który wchodzimy zawsze od północy z piątku na sobotę przed głosowaniem, przekracza wysokość Mount Everestu. Polska na mapie państw demokratycznych pozostaje jednym z ostatnich krajów z tak skrajnie restrykcyjnym i nieprzystającym do rzeczywistości rozwiązaniem. Owszem, cisza wyborcza istnieje w wielu państwach, ale dotyczy ona niemal wyłącznie publikacji sondaży.

W Polsce znów będziemy mieli rozważania, czy umieszczenie wpisu na Facebooku przez polskiego obywatela przebywającego w czeskiej części Cieszyna, 100 m od granicy, jest czy nie jest złamaniem ciszy wyborczej. Która i tak w ogromnej mierze jest fikcją. ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

Nie tak niskie zadłużenie

Jakub Wozinski

Na papierze zadłużenie Polski w relacji do PKB jest najniższe od niemal dwóch dekad i wynosi zaledwie 48,1 proc. PKB, lecz wynik ten mocno zafałszowuje faktyczny stan rzeczy

Gdyby wierzyć mediom bezkrytycznie rozpowszechniającym przekaz płynący prosto z obozu rządzącego, tak obiecujące dane na temat zadłużenia publicznego to przede wszystkim efekt uszczelnienia systemu podatkowego. Dodatkowo wiele mówi się także o wzroście aktywności gospodarczej, który miałby przekładać się na wzrost przychodów z VAT i CIT. Dopiero w ostatniej kolejności wspomina się o tym, że od ponad dwóch lat szaleje w Polsce inflacja, która dokładnie w marcu ubiegłego roku osiągnęła wynik dwucyfrowy i niestety wciąż nie odpuszcza.

ZNIKAJĄCA SZTUCZNA BARIERA

Jeszcze trzy lata temu, gdy Ministerstwu Finansów szefował Tadeusz Kościński, coraz głośniej mówiło się o chęci porzucenia konstytucyjnego limitu zadłużenia. „To sztuczna bariera" – przekonywał zarządca polskich finansów, a jeszcze wiosną 2022 r. premier Mateusz Morawiecki argumentował w Sejmie, że trzeba uwolnić się od reguły wprowadzającej limit wydatków. Na jego obronę trzeba przyznać, że mówił o tym w kontekście konieczności ponoszenia wydatków na zbrojenia, niemniej jednak wiadomo, że przez długi czas w kręgach rządowych pozbycie się ograniczeń fiskalnych było brane pod uwagę także w obliczu innego rodzaju wydatków (m.in. socjalnych czy na zieloną transformację).

W ciągu trzech lat sytuacja zmieniła się jednak jak w kalejdoskopie i dziś zamiast budowania medialnego gruntu pod dokonywanie zmian w konstytucji mamy już raczej do czynienia ze wskazywaniem na wielki sukces rządu w postaci doprowadzenia do znaczącej redukcji zadłużenia. Na wiele różnych sposobów akcentowane jest to, że polski dług publiczny obniżył się aż tak bardzo i przedstawia się go jako jeden z niższych w Europie nawet wedle metodologii unijnej (tj. uwzględniającej także zadłużenie jednostek samorządowych i instytucji rządowych). Można wręcz odnieść wrażenie, że spadek wartości długu w relacji do PKB do zaledwie 48,1 proc. na koniec I kwartału zaskoczył nawet samych rządzących, którzy zakłopotani tym zaczęli przekonywać, że to efekt świadomego i planowego działania związanego m.in.

eprasa.pl c26aa5272a

FOT. ADOBE STOCK

ze wspomnianym już uszczelnieniem systemu podatkowego.

Najważniejszą przyczyną nominalnego spadku zadłużenia polskiego państwa jest jednak oczywiście szalejąca wciąż inflacja. Galopujący wzrost cen sprawia, że bardzo szybko wzrasta produkt krajowy brutto, czyli mianownik. Licznik, czyli zadłużenie, przyrasta wciąż wolniej (choć niekoniecznie wolno, lecz o tym nieco dalej). Działanie tego mechanizmu to żaden sukces rządu, lecz powszechne zjawisko na całym kontynencie (i nie tylko). Według danych Eurostatu w krajach całej wspólnoty średni poziom zadłużenia w relacji do PKB spadł z 88 proc. w 2021 r. do 84 proc. w roku ubiegłym. Nawet tradycyjnie rozrzutna Grecja obniżyła dług z rekordowych 206 proc. w 2020 r. do obecnych 170 proc., na co silnie zapracowała wynosząca tam w 2022 r. ponaddziewięcioprocentowa inflacja.

ZADYSZKA INFLACJI I GOSPODARKI

Nagłemu wzrostowi inflacji niemal z definicji towarzyszą zawsze wzrost dochodów budżetowych oraz spadek nominalnego zadłużenia, ale mechanizm ten po jakimś czasie wyraźnie traci swoją dynamikę. W sytuacji, gdy realne płace przestają rosnąć, a gospodarka łapie coraz większą zadyszkę (a na to wskazują ostatnie dane GUS), sytuacja może szybko zmienić się na dużo mniej korzystną zarówno dla rządzących, jak i dla obywateli. Zapowiedzią tego jest choćby odnotowany już w II kwartale spadek PKB o 0,5 proc. W perspektywie całego roku gospodarka może mieć kłopot z wypracowaniem wzrostu przekraczającego 1 proc., natomiast zadłużenie będzie wciąż przyrastało, co zwiastuje szybki wzrost kluczowego dla finansów publicznych wskaźnika.

Przekonanie, że wydatki (i dług) będą w najbliższym czasie rosły znacznie szybciej niż PKB, nie jest wcale kreowanym przez opozycję „fake newsem", lecz wynika wprost z zapowiedzi samego rządu. Wedle ogłoszonego właśnie planu budżetowego deficyt ma w przyszłym roku osiągnąć poziom nawet 4,5 proc. PKB, co będzie stanowiło największą wartość od wielu lat (wyłączając oczywiście rekordowy pandemiczny 2020 r.). Dotychczasowe wykonanie budżetu pozwala także powątpiewać w to, czy nawet obecny rok uda się zamknąć z planowanym deficytem na poziomie 2,7 proc. PKB. Według planów Ministerstwa Finansów już w 2026 r. dług w stosunku do PKB ma stanowić aż 55,4 proc. Tak dynamiczny przyrost zadłużenia zakładany jest nawet pomimo tego, że rządowi analitycy prognozują, że od przyszłego roku polska gospodarka znów będzie rosnąć na poziomie ok. 3 proc. PKB. Od przyszłego roku zdecydowanie poniżej 5 proc. ma również spaść inflacja, która tym samym przestanie zakrywać problem z zadłużeniem.

NIEPOKOJĄCO WYSOKIE ODSETKI

Jednym z najbardziej niepokojących problemów polskiego budżetu stają się wzrastające lawinowo koszty obsługi zadłużenia. Podczas gdy jeszcze rok temu za odsetki od długu państwo płaciło ok. 29,1 mld zł, to już w obecnym zapłaci nieco ponad 70 mld zł, czyli aż 2 proc. PKB. Ostatnio tak wysokie koszty ponosiliśmy w czasach rządów koalicji PO-PSL. Na pierwsze lata rządów Zjednoczonej Prawicy przypadł okres niezwykle taniego kredytu, który władza chętnie zaciągała. Jednakże od czasu covidowej zapaści rynki finansowe nie wyceniają już zdolności pożyczkowych polskiego państwa tak bardzo optymistycznie jak do tej pory. Jesienią ubiegłego roku 10-letnie obligacje wyceniano przez pewien czas nawet na 9 proc., a obecnie wciąż na ok. 5,5–6 proc. W dalszym ciągu jest to jednak znacznie więcej niż przez minionych kilkanaście lat. Obecnie coraz głośniej mówi się, że era nadzwyczaj niskich stóp procentowych zwyczajnie dobiegła już końca.

Nie do końca dociera to jednak do obozu rządzącego, który w ramach tzw. rewolucji godnościowej koncentruje się wciąż na wydatkach socjalnych. Jeszcze w ostatnim roku rządów PO-PSL na podwyżki emerytur wydano 3,6 mld, lecz w tym roku na 13. i 14. emeryturę oraz waloryzację świadczeń emerytalnych z budżetu zostanie przeznaczonych aż 75 mld zł. Kosztujący rocznie ok. 40 mld zł program „500+" będzie zaś w nowej odsłonie kosztował 24 mld zł więcej. Na pomoc Ukrainie tylko do kwietnia obecnego roku polskie państwo wydało – jak przyznała w Waszyngtonie minister finansów Magdalena Rzeczkowska – ok. 50 mld zł.

Czysto teoretycznie żaden z tych wydatków nie powinien stanowić dla 21. gospodarki świata posiadającej dług na poziomie 48,1 proc. PKB żadnego problemu. Powodów do niepokoju jest jednak naprawdę niemało. Oprócz stale rosnących kosztów obsługi zadłużenia rząd będzie musiał się niebawem zmierzyć z nieuniknionym przy hamującej inflacji niższym wzrostem wpływów do budżetu. Na przychodach odbije się również wcześniej czy później ogólny marazm panujący w głównych gospodarkach regionu oraz świata, od których silnie zależy nasza własna, silnie bazująca na eksporcie.

SPIRALA WYDATKÓW

Największym pesymizmem napawa jednak niekończąca się spirala wydatków,

eprasa.pl c26aa5272a

która niestety nie ogranicza się jedynie do wspomnianych programów socjalnych dla Polaków czy Ukraińców. W czasach, gdy głównym priorytetem powinny być wydatki na armię, Polska uwikłała się także w niezwykle kosztowną zieloną politykę, która będzie generowała ogromne koszty szacowane już nawet nie w setkach miliardów, lecz w bilionach złotych. Zielony kij rzucony w szprychy polskiej gospodarki będzie także coraz bardziej utrudniał wypracowywanie gospodarczego wzrostu, który jest przecież podstawą dla każdego państwa chcącego uniknąć utkwienia w pułapce wysokiego zadłużenia.

Rozkręcając wspólnie z opozycją licytację na socjalne obietnice, obóz rządzący igra tak naprawdę z ogniem, ponieważ nadchodzące lata będą zdecydowanie mniej sprzyjać wydatkowym ekstrawagancjom. Do zbyt wielu osób nie dociera jeszcze wciąż, że nie jesteśmy już w takiej samej sytuacji, jak po zwycięskich dla PiS wyborach w 2015 r., gdy nie trzeba było jeszcze budować pospiesznie dużej armii, nie uchwalono jeszcze „Fit for 55", nie szalała jeszcze dwucyfrowa inflacja, nie doszło do pandemicznego załamania fiskalno-monetarnego, a na światowych rynkach panował powszechny optymizm.

Obecną sytuację można w pewnym sensie przyrównać do odpływu, po którym niezawodnie musi przyjść przypływ. Inflacja pozwoliła na pewien czas bardzo dobrze zakamuflować problemy tkwiące w strukturze gospodarki finansowej państwa, lecz te już wkrótce dadzą o sobie znać ze zdwojoną mocą.

PUŁAPKA WYSOKIEGO DŁUGU

Część ekonomistów w kontekście obowiązującej w Polsce od lat konstytucyjnej reguły wydatkowej tradycyjnie wzrusza ramionami, przekonując, że sztywne trzymanie się jej nie ma żadnego większego uzasadnienia. Abstrahując już od czysto akademickiej debaty na temat tego, od jakiego konkretnie pułapu zadłużenie przekłada się negatywnie na możliwość wypracowania wzrostu gospodarczego, warto mieć świadomość, że na świecie nie brakuje państw, które w następstwie nadmiernego zadłużenia de facto utraciły znaczny zakres swojej niezależności. Polska do tych krajów wciąż nie należy, niemniej jednak istnieje wiele przesłanek przemawiających za tym, że grożący jej nagły przyrost długu może to diametralnie zmienić.

Powyższe ostrzeżenie nie jest wcale abstrakcyjne, lecz odnosi się do jak najbardziej rzeczywistego zagrożenia. Na początku obecnego roku Komisja Europejska przedstawiła bowiem plan reformy zasad fiskalnych dla całej wspólnoty, które pod pretekstem chęci ustabilizowania rozchwianych w czasie pandemii finansów publicznych idą w kierunku faktycznego przejęcia kontroli nad krajowymi budżetami. W 2020 r. Bruksela dała wszystkim krajom zielone światło do naruszenia wszystkich reguł, lecz jeszcze przed końcem obecnego roku chciałaby przywrócić stare zasady, które są starymi tylko pozornie, gdyż w praktyce każdy kraj musiałby odtąd konstruować swój budżet pod nadzorem unijnej centrali. Z projektu przedstawionego w kwietniu wynika, że kraj, który przekroczyłby 60-procentowy limit zadłużenia, musiałby obowiązkowo redukować swój dług o 0,5 punktu procentowego rocznie oraz rozliczać się przed Brukselą ze specjalnych planów redukcji zadłużenia.

Rozsądek nakazywałby jak najszybciej powstrzymać się od zbędnych wydatków i budowy „polskiego państwa dobrobytu"

W sytuacji, gdy Polska z winy premiera Morawieckiego tak bardzo uwikłała się w nieczytelne mechanizmy warunkowości oraz realizacji niekończących się kamieni milowych, scenariusza dodatkowego uzależnienia od kaprysu Brukseli w zakresie fiskalnym powinno się uniknąć za wszelką możliwą cenę. Skrajnie naiwne byłoby przecież zakładanie, że Niemcy zgodzą się na to, aby polskie wydatki na obronność zostały wyłączone ze zwykłych reguł fiskalnych.

Propozycja Komisji Europejskiej, na której czele stoi Niemka von der Leyen, to oczywiście element odwiecznej przepychanki między Francją i Niemcami. Paryż reprezentuje tradycyjnie bardziej zadłużone południe kontynentu, a Berlin rygorystyczną na ogół północ. W czerwcu przedstawiciele kilkunastu państw podpisali się nawet pod specjalnym listem otwartym wzywającym do zachowania bardziej rygorystycznych reguł w ramach wspólnoty, a wśród nich znalazła się większość państw naszego regionu (m.in. Czechy czy Litwa). Polska nie opowiada się jak dotąd wyraźnie po żadnej ze stron, argumentując jedynie za indywidualnym potraktowaniem swoich wydatków na armię czy też transformację energetyczną. Wcześniej czy później wydaje się jednak, że zwycięży koncepcja niemiecka, zwiększająca jeszcze bardziej kompetencje budowanego pieczołowicie europejskiego rządu federalnego.

W świetle obecnych propozycji Komisja Europejska jest oczywiście zgodna na większe ustępstwa w zakresie luzowania reguł fiskalnych, ale głównie w zakresie wydatków ponoszonych na ekologię, cyfrową transformację czy też edukację. Innymi słowy, Niemcy są skłonni pozwolić Polsce i innym krajom na nieco swobodniejsze zadłużanie się, ale tylko, jeśli przyczyni się to do podążania ścieżką zrównoważonego rozwoju uderzającą w nasze przewagi konkurencyjne oraz nasz potencjał rozwojowy.

SOCJAL ALBO BEZPIECZEŃSTWO

Już wkrótce może się więc okazać, że zaordynowana przez rząd feeria nieroztropnych wydatków może się stać istotną przeszkodą m.in. dla programu rozbudowy armii. O tym, że Berlin prowadzi faktyczną wojnę hybrydową z Polską, nie trzeba chyba nikogo przekonywać, a jeśli rząd w Warszawie przysporzy mu swoją polityką fiskalną kolejnej okazji do zaszkodzenia, to z pewnością nie omieszka z niej skorzystać. Dotychczasowe zachowanie premiera Mateusza Morawieckiego pokazuje zresztą, że z nadzwyczajną łatwością przychodzi mu wikłanie się w coraz większą zależność od unijnego Lewiatana.

Rozsądek nakazywałby więc, aby w obliczu wszystkich tych wyzwań jak najszybciej powstrzymać się od dokonywania zbędnych wydatków i konstruowania „polskiego państwa dobrobytu", a zamiast tego skupić się na kwestiach najbardziej istotnych, od których w znacznej mierze zależy nasze bezpieczeństwo. Zamiast tego mamy niebezpieczny dryf wprost ku majaczącej już z daleka przeszkodzie. Choć wciąż pozornie niski, to nasz dług publiczny już długo nie przedstawiał ze sobą tyle problemów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

Uczestnicy debaty zorganizowanej przez tygodnik „Do Rzeczy” zgodzili się, że w relacjach z UE najważniejszy powinien być polski interes narodowy, lasy zaś powinny pozostać w polskich rękach, bo tylko to gwarantuje ich odpowiedni rozwój

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

W obronie lasów

Czy UE dąży do przejęcia polskich lasów? Co mogłoby się wydarzyć, gdyby to się udało? W jaki sposób się przed tym uchronić? Na te, a także inne pytania odpowiedzieli uczestnicy debaty „Czy UE przejmie polskie lasy?” zorganizowanej przez tygodnik „Do Rzeczy”

W dyskusji wzięli udział Michał Woś, wiceminister sprawiedliwości, były minister środowiska, Edward Siarka, wiceminister klimatu i środowiska oraz pełnomocnik rządu ds. leśnictwa i łowiectwa, a także publicysta tygodnika „Do Rzeczy” Rafał A. Ziemkiewicz. Debatę moderował szef portalu DoRzeczy.pl, Karol Gac.

LASY PAŃSTWOWE WZOREM DLA UE

Obecnie lasy zajmują ponad 9,2 mln ha, co oznacza, że porastają niemal 30 proc. powierzchni w Polsce. Warto podkreślić, że są one w 80 proc. państwowe, co jest sytuacją niespotykaną w Europie. Dzięki temu nie poddają się naciskom koncernów i wielkiego biznesu. – Po drugiej wojnie światowej, gdy zaczynaliśmy odbudowę państwa polskiego, powierzchnia lasów wynosiła ok. 20 proc. Dzisiaj jest ich ok. 30 proc. Po pierwszej wojnie światowej rząd odkupił teren Puszczy Białowieskiej od brytyjskiej firmy, która go eksploatowała, i w ten sposób 100 lat temu powstały Lasy Państwowe. Ich struktura i model gospodarki są naszym bogactwem i ewenementem. Przyznają to również instytucje europejskie. Trybunał Obrachunkowy Unii Europejskiej w 2021 r. wydał dokument, w którym jasno stwierdził, że Polska pod względem gospodarki leśnej może być wzorem dla Europy. Dzięki naszej polityce zakupiliśmy ponad 6 tys. ha, by zwiększać powierzchnię lasów. Cały czas zwiększamy również zasobność lasów. W efekcie nasze lasy są w doskonałej kondycji – tłumaczył Edward Siarka. – Lasy są wielką wartością w Polsce. Przeszły one cały cykl zmian, które pokazują nam wszystkim, że lasy w polskich rękach gwarantują nam to, że zachowamy to dziedzictwo, które było wypracowywane przez całe pokolenia. UE próbuje podporządkować sobie leśnictwo oraz ingeruje w definicje, które od lat są ukształtowane – wskazywał.

Wiceminister klimatu i środowiska odkłamał też kilka mitów, które są bardzo często powielane przez polityków opozycji i wprowadzają opinię publiczną w błąd. – W Polsce pozyskuje się ok. 40 mln m sześc. drewna. Gdybyśmy nie prowadzili tej polityki, drzewostan by się zmarnował. Leśnicy pozyskują zaledwie 1 proc. powierzchni lasów. Przyjmuje się, że na 1 ha przyrasta nam ok. 9–10 m sześc. drewna. Z tego leśnicy pozyskują 7 m sześc., a 3 m sześc. stanowią dodatkowy przyrost. Nie ma żadnej wycinki, bo ta zdarza się wyłącznie wtedy, gdy grunt wyłączamy na stałe np. pod

eprasa.pl c26aa5272a

drogi. Do tego mamy nowe nasadzenia. Trzeba zachować ciągłość lasów, bo bez młodego lasu nie będzie też starych drzew. Ważna jest równowaga, ponieważ każde zachwianie prowadzi do katastrofy. Lasy muszą pełnić funkcję przyrodniczą, społeczną i gospodarczą. Jeśli mamy równowagę, to las dobrze się ma i będzie nam służył przez pokolenia – tłumaczył.

Pełnomocnik rządu ds. leśnictwa i łowiectwa, Edward Siarka, zwrócił także uwagę na niedawne pożary lasów w Europie. Jego zdaniem to m.in. efekt braku prowadzenia odpowiedniej polityki leśnej. – Nie prowadzi się bieżącej pielęgnacji lasów i nie robi się dróg śródleśnych. W efekcie wszystko się pali. W Polsce wypracowaliśmy metodę, która jest krytykowana przez tzw. ekologów, a która chroni polskie lasy przed pożarami. Też mamy przecież wiele pożarów, ale nigdy nie przeradzają się one w ogromne pożary, co jest naszą wartością – oceniał.

Michał Woś zauważył za to, że polskie lasy są solą w oku dla UE, która próbuje je teraz zagarnąć. – Trzeba uświadamiać Polaków tak szeroko, jak to tylko możliwe. Lasy Państwowe to największa instytucja ochrony w Polsce. Widać zakusy eurokratów na to nasze bogactwo narodowe. UE chce przekształcić się w państwo i próbuje zagarniać kolejne kompetencje. Wszystko po to, by przerzucać koszty swoich błędnych decyzji na poszczególne państwa. Tak samo jest w przypadku lasów. Nie możemy do tego dopuścić. Nikt lepiej niż polski leśnik nie będzie wiedział, jak zarządzać polskimi lasami. Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze, konkurencję, lobby i finanse – wskazywał.

UE CHCE WIĘCEJ KOMPETENCJI

Niestety, w Unii Europejskiej powstał pomysł, by przejąć kolejne kompetencje. Tym razem w obszarze polityki leśnej. W styczniu Komisja Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności Parlamentu Europejskiego wydała pozytywną opinię w sprawie zmiany traktatów, która przeniosłaby leśnictwo z kompetencji krajowych do tzw. kompetencji dzielonych między UE a państwa członkowskie. Warto pamiętać, że na mocy dotychczasowych przepisów traktatów UE nie prowadzi wspólnej polityki leśnej, a leśnictwo pozostaje w kompetencjach krajowych. Skąd więc ta zmiana? – To szerszy problem związany z UE. Od przynajmniej kilku–kilkunastu lat trwa proces, jak to określają w Brukseli, wzmacniania integracji. To jest ich odpowiedź na wszystkie problemy – wzmocniona integracja. Po co to robią? Doskonale wiedzą, że aby forsować lewackie pomysły i ideologie, potrzebny jest im jeden moloch zamiast 27 państw narodowych, które mają swoje kompetencje. Niektórzy mówią, że to federacja europejska, ale nie będzie to żadna federacja, chyba że na wzór rosyjski. Każdy wie, że rządzi Moskwa, a nie np. Królewiec. Żeby to zrobić, są dwie ścieżki. Pierwszą są zmiany traktatowe, do których wymagana jest jednomyślność. Drugą zaś jest pełzające przepoczwarzanie się UE, czyli reinterpretacja traktatów np. za pomocą TSUE. Mamy tam upolitycznionych sędziów, którzy orzekają zgodnie z interesem UE. Tak się interpretuje traktaty, by rozszerzać kompetencje. Wszystko można przecież podciągnąć pod wartości europejskie – wskazywał wiceminister sprawiedliwości Michał Woś.

Michał Woś, wiceminister sprawiedliwości, były minister środowiska FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Edward Siarka, wiceminister klimatu i środowiska oraz pełnomocnik rządu ds. leśnictwa i łowiectwa FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

W podobnym duchu wypowiadał się również Rafał A. Ziemkiewicz. Publicysta „Do Rzeczy” spodziewał się, że tak będzie. – Pamiętam Władimira Bukowskiego, wybitnego rosyjskiego dysydenta, który ostrzegał przed UE. Według niego lewica europejska tak skroiła UE, by pasowała do Związku Sowieckiego [...]. Ostatnie lata PRL przypominają mi to, co dzieje się teraz w Unii Europejskiej. Wówczas zawsze mówiono, że rozwiązaniem jest „więcej socjalizmu”. Teraz słyszymy: „więcej integracji”. Istota sprawy polega na tym, że to próba budowy imperium bezzębnego. UE nie może wymusić posłuszeństwa, więc TSUE nie wymuszą niczego na Niemczech, ale już próbują np. na Polsce – mówił Ziemkiewicz. – Zawsze uważałem, że prywatne jest najlepsze. Do momentu, gdy zapoznałem się w Stanach Zjednoczonych z lasami. I jednak nie – lasy nie mogą być prywatne. Są dobrem wspólnym. Mało tego, zarządzanie dobrem wspólnym okazało się lepsze. Kto rozsądny wymieni lepsze na gorsze? Co się stało z Puszczą Białowieską na skutek orzeczenia TSUE? Przestała istnieć. Chcemy tego? – dodawał.

Ziemkiewicz przyznał także, że jest sceptyczny, jeśli chodzi o dotychczasowy kształt UE. – Pytanie, czy UE ma bieg wsteczny? Czy ta konstrukcja, która częściowo została zaprojektowana, a trochę działa siłą rozpędu, może się zatrzymać? Każda instytucja chce zagarniać kolejne kompetencje, bo taka jest ich logika. Do tego mamy szaleństwa ideologiczne i rozmaite grupy interesów. Uważam jednak, że UE nie jest w stanie się zreformować. Dopóki wszystko szło dobrze, dopóty luki w systemie nie były groźne, bo wszyscy byli zadowoleni. Teraz mamy dekoniunkturę i zacznie ona uderzać. Na razie elity brukselskie mają wolną rękę do narzucania swojej woli, bo na Zachodzie trwa wiara w UE, ale do czasu – tłumaczył.

Edward Siarka zwrócił za to uwagę, w jak podstępny sposób UE próbuje

eprasa.pl c26aa5272a

Rafał A. Ziemkiewicz, publicysta
FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

wkraczać w kompetencje państw członkowskich. – W polityce oprócz traktatów mamy niestety rozporządzenia, które nam w ten model stopniowo wkraczają. Podam prosty przykład. Mamy np. rozporządzenie dotyczące monitoringu. Kto by tego nie chciał? Jednak zamysł UE jest inny – chcemy monitoringu, ale nie będziecie mieli dostępu do danych. W jaki sposób mamy prowadzić politykę leśną bez danych? Przecież opieramy na nich nasze decyzje. Wiadomo, że w którymś miejscu ktoś w końcu popełniłby błąd. W innym dokumencie zmienia się np. definicję drzewostanu starego – punktował wiceminister klimatu i środowiska. – Próba wkraczania w te obszary tylko po to, by podporządkować je swoim decyzjom i uśrednić je, prowadzi do katastrofy. Tak się to kończy w Europie – dodawał.

POLACY MÓWIĄ „NIE”

16 marca politycy Solidarnej Polski i leśnicy zawiązali komitet obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej „W obronie polskich lasów”. Projekt ma chronić „kompetencje Polski w zakresie leśnictwa i nie pozwoli na to, żeby te kompetencje były zawłaszczane przez UE”. Zbiórka podpisów zakończyła się ogromnym sukcesem – ponad 500 tys. podpisów zebrano w ciągu tygodnia. To rekord w III RP. – Działaliśmy szybko, bo chcieliśmy zdążyć w tej kadencji. To rzeczywiście była najszybciej przeprowadzona zbiórka podpisów w historii. Podpisy spływały do nas jednak także później. Zebraliśmy ponad 500 tys. podpisów w przedświątecznym tygodniu. Ta ustawa jest ciekawie napisana, bo konkluzja jest taka, że jeśli sprawdzi się ona przy lasach, to właściwie można ją zastosować także przy innych sprawach. Wprowadzamy w niej mechanizm, według którego wszystkie sprawy związane z leśnictwem muszą mieć uprzednią zgodę parlamentu wyrażoną większością dwóch trzecich głosów, a jeśli rząd jej nie uzyska, to uznaje się, że tej zgody nie ma albo stanowisko jest negatywne. To sprawia, że żaden z rządów bez szerokiego konsensusu nie przedstawi szkodliwego stanowiska – mówił Michał Woś.

Wiceminister sprawiedliwości zaznaczył jednocześnie, że polscy politycy powinni być przygotowani na każdy rozwój wypadków. – Polska nie jest brzydką panną na wydaniu. To kawał dobrego rynku i biznesu dla Niemców, Francuzów czy Holendrów. Suwerenna Polska rozpoczęła już wcześniej dyskusję o bilansie zysków i strat naszej obecności w UE. Zwrócę też uwagę na rozporządzenie dotyczące CO_2, pieszczotliwie nazywane lucyferem, które określa, ile CO_2 mają pochłonąć lasy danego państwa. Ostatnia nowelizacja pokazała, że francuskie, belgijskie lasy pochłoną mniej, hiszpańskie są na minusie. A nasze? Oczywiście w górę. To pokazuje, że ten mechanizm przerzucania kosztów jest stały – wskazywał. – Ten proces jest do zatrzymania przy świadomych obywatelach, ale też przy świadomym rządzie, który nie chce być podatny na to lobby. Tylko ten lucyfer powodowałby 22 mld kar, gdy przychód roczny Lasów Państwowych to 14,5 mld zł. Potrzebne są mądre rządy, choć UE chce wyłącznie poklepywania po plecach. Musimy jednak oddolnie działać, by tłumaczyć to obywatelom oraz wzmacniać naszą współpracę międzynarodową – dodawał.

Edward Siarka podkreślił też znaczenie referendum ogólnokrajowego, które odbędzie się wraz z wyborami parlamentarnymi 15 października. – Mam nadzieję, że referendum okaże się wiążące. Jeśli tak będzie i da ono odpowiedź pozytywną na te zagrożenia, to może się okazać, że nie da się zbagatelizować tego głosu społecznego. Przecież cały czas instytucje unijne powołują się na potrzebę dialogu i transparentności. Przy okazji naszej ustawy badania pokazały, że ponad 70 proc. społeczeństwa jest przeciwne działaniom UE. Mamy więc pomimo dezinformacji i hejtu świadomość społeczną, jak niebezpieczny to kierunek. Trzeba też pamiętać, że budżet UE to zaledwie 1,1 proc. PKB wszystkich państw. To nie są środki, które decydują w sposób strategiczny o naszym rozwoju. Dużo ważniejsze są działania legislacyjne, które blokują nasz rozwój, jak choćby w sprawie zrównoważonej gospodarki leśnej – wskazywał.

Uczestnicy debaty zorganizowanej przez tygodnik „Do Rzeczy” zgodzili się na koniec, że w relacjach z Unią Europejską najważniejszy powinien być polski interes narodowy, lasy zaś powinny pozostać w polskich rękach, bo tylko to gwarantuje ich odpowiedni rozwój.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Debatę poprowadził redaktor Karol Gac
FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

eprasa.pl c26aa5272a

Obecność Paris Hilton na pokazach Chanel jest dowodem na to, jak jeszcze niedawno elitarny świat wysokiej mody wszedł w mariaż z popkulturą

FOT. MATT BARON/BEI/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Masa czy klasa

Joanna Bojańczyk

Popkultura i moda potrzebują siebie nawzajem. Pop lubi luksusową oprawę, marketingowcy wielkich domów mody kokietują młodą publiczność gwiazdami show-biznesu

Tej osobie nie warto byłoby poświęcić nawet pół zdania, zresztą za parę miesięcy nikt nie będzie o niej pamiętał. Jednak 22-letnia Caroline Derpienski, tupeciara z Białegostoku podająca się za modelkę z Miami, narzeczona amerykańskiego miliardera, epatująca kiczowatym bogactwem jest emanacją czasów i można przypuszczać, że zostawi w nich swój ślad. To nic, że wszystkie jej przechwałki okazały się kłamstwem, oszustka pozostaje influencerką – kimś, kto ma wpływ. Ma wpływ na 7 mln obserwujących, choć podobno część to głosy fejkowe. Ile z tych przyklejonych do komórek panienek dało się przekonać, że największym powodem do dumy jest mieć na sobie ubrania i biżuterię najdroższych marek? W hierarchii wartości celebrytów najwyższą ocenę ma wysoka cena. Im drożej, tym lepiej.

Wczoraj (to znaczy wieki temu) luksus oznaczał rzeczy wspaniale wykonane, unikatowe, nieostentacyjne. Dostępne dla niewielu. Kupowało się je w sklepach z miękkimi dywanami i lustrami w złotych ramach, gdzie zwykły człowiek nie śmiał nawet wejść. Zostało ich jeszcze trochę na świecie. Jednak ubywa z każdym rokiem. Zastępują je sieciowe sklepy korporacyjnego przemysłu artykułów luksusowych, które znaleźć można na każdej eleganckiej ulicy wielkich miast na świecie, na każdym większym lotnisku. I w Internecie, jeśli mieszkasz tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Luksus XXI w. schodzi o parę szczebli w dół po drabinie społecznej, ale nie ma zamiaru stracić swojej elitarności. Jak to pogodzić i co to dziś znaczy elita? Na pewno nie są to intelektualiści, pisarze, naukowcy, sfery rządowe. Współczesne elity to gwiazdy popkultury, Netflixa, seriali, skandali. Z nimi romansują wielkie domy mody, marki biżuterii, zegarków. Nie uchybiając dawnym standardom jakości, dodajmy. To możliwe.

PINK GIRL

Włosy w kolorze kalifornijskiego blond związane w kucyk zwieńczony ogromną różową kokardą. Różowa mini, różowy sweterek. Spowita od góry do dołu w różowości przed obiektywami fotoreporterów defiluje Paris Hilton, przybyła na pokaz Chanel w Los Angeles. (Działo się to w maju, jeszcze przed wejściem na ekrany „Barbie"). – Chanel to moja ulubiona marka! – wykrzykuje różowa Paris do fotoreporterów.

Jaki właściwie mógłby być związek między dziedziczką hotelowych milionerów a szacownym francuskim domem mody? Jeszcze niedawno Chanel odżegnywałaby się od kogoś takiego, jak niemądra, kiczowata, samozwańcza celebrytka, czysty produkt czasów po roku 2000. Dziś

eprasa.pl c26aa5272a

starletka dostaje miejsce w pierwszym rzędzie na pokazach Chanel. Jej obecność jest dowodem na to, jak wczoraj jeszcze elitarny świat wysokiej mody wszedł w mariaż z popkulturą. Kto się tu komu podlizuje?

Cechą charakterystyczną popkultury jest łączenie zjawisk, które nie mają ze sobą nic wspólnego. To zasada puszki zupy Campbell, z której dzieło sztuki zrobił Andy Warhol… A wcześniej sedes Duchampa. Artyści nurtu pop lubili wsadzać kije w szprychy świata sztuki. Jasper Johns, Roy Lichtenstein, Robert Rauschenberg. Pop wciąż się zmienia, jest w ciągłym ruchu; luksus kojarzy się z czymś bardziej stabilnym, konserwatywnym.

Tym, który wsadził kij w szprychy mody, był Yves Saint Laurent. Kiedy jako 18-latek w 1958 r. pojawił się w pracowni Diora, couture była dla eleganckich pań z burżuazji, dla wyższych sfer. Przybysz zamącił w tym statecznym, spokojnym, starawym świecie. Odmłodził kobiety, uwolnił ciało, patrzył na ulicę, na kino, szukał wygody.

Warholem mody był Karl Lagerfeld. Ten z kolei potrząsnął domem Chanel i potrząsał nim przez całe 36 lat szefowania firmie. Jego pokazy, na których wielką halę Grand Palais przerabiano na sklep spożywczy (rok 2014), na wyrzutnię rakietową, na scenerię zimowego kurortu, podziwiano i krytykowano. – To nie moda, to tylko reklamowy zgiełk, a ubrania Chanel są coraz gorszej jakości – padały oskarżenia. Jednak to niczego nie zmieniło, za Lagerfeldem poszli inni.

Dzisiaj, kiedy telewizja staje się przeżytkiem, a świat żyje Internetem, jest zrozumiałe, że moda tam się też przeniosła. To już nie inspiracje, to pełnowymiarowa współpraca. Będziemy nosić to, co zobaczyliśmy na ekranie komórki lub komputera. T-shirty z serialu „Stranger Things" trafiły na pokaz Louis Vuitton, Gucci i Givenchy nie przestraszyli się „Myszki Miki" i „101 dalmatyńczyków"; amerykański kicz ma czar dla Paryża… Bohaterowie kultowych „Simpsonów" uwodzą Balenciagę. Angielski kreator Jonathan Anderson bierze na warsztat animację „Mój sąsiad Totoro" japońskiego Studia Ghibli.

Najnowszy przykład: medialna piana ubita wokół serialu „Sukcesja", który wykreował (rzekomą) modę na ultraluksus i „stare pieniądze". Szczegółowo badano i opisywano kaszmirowe swetry i garnitury Loro Piana, które zagrały w „Sukcesji". Zastanawiano się, czy pasują do postaci i które „gwiazdy" noszą takie same. Serialik „Emily in Paris" – składanka stereotypów, głupawych gagów i drewnianego aktorstwa – to dużej mocy nabój promocyjny francuskiej mody. Sprzedaż ciuchów, które nosiła bohaterka, poszybowała.

Granice między modą, rozrywką i technologią się zacierają. Coraz trudniej o zjawiska i produkty czyste gatunkowo. Jedni żywią się drugimi. W paryskim Théâtre du Châtelet sukcesem cieszy się komedia satyryczna, w której bohaterowie „Simpsonów", Homer i Marge, nabijają się z pokazów mody. Bardzo słusznie, moim zdaniem.

Jak luksus i popkultura żywią się sobą nawzajem, widać również na przykładzie torebki włoskiej marki Fendi, słynnej bagietki. Przeszłaby niezauważona, jak setki innych wynalazków galanterii, gdyby nie nosiła jej serialowa Carrie Bradshaw (Sarah Jessica Parker), bohaterka serialu „Seks w wielkim mieście". Dziś przeżywa reaktywację, razem z reaktywacją tego idiotycznego serialu. Dzięki niemu dwóch projektantów obuwia, żeby nie powiedzieć szewców, stało się „kreatorami": Manolo Blahnik i Christian Louboutin.

RAPER PROJEKTANTEM

Ostatnio modę najmocniej kokietuje przemysł muzyczny. Dyrektorzy marketingu luksusowych marek wiedzą, że nic lepiej nie nakręca obrotów jak znane nazwisko muzyki pop.

Najbardziej medialną nominacją roku stało się obsadzenie rapera Pharrella Williamsa na stanowisku szefa działu męskiego szacownego Louis Vuitton, obecnie najbardziej pożądanej marki świata. Te dwie, zdawałoby się nieprzystające nijak do siebie sfery – eleganckiego męskiego ubrania i wykonawcy rapu – nagle się spotkały.

Pan Williams jest czymś więcej niż raperem. Jest producentem, a dla pewnego grona wyznawców także ikoną stylu. Ma żyłkę biznesową. Wcześniej założył własną markę lifestyle'ową Humanrace i sportową Billionaire Boys Club (z Japończykiem Nigo), liderem grupy N*E*R*D. Pracował dla duetu muzyki elektronicznej Daft Punk. Mimo tych przedsiębiorczych dokonań Amerykanina fakt jego egzotycznej nominacji w Paryżu budzi zdziwienie. Piosenkarz kreatorem? Można tylko mieć nadzieję, że pan Arnault, właściciel koncernu LVMH, ma nieomylny węch do biznesu. Wie, że millennialsi nie znają się na szyciu, a już na pewno na elegancji, ale znają się na idolach. To do nich przemawia, gdy w pierwszym rzędzie na pokazie Williamsa zasiadają Beyoncé, Rihanna, Jay-Z to wiadomo: oni kupią. Przed Vuittonem był Gucci, który w czerwcu 2022 r. zaprosił inną gwiazdę pop Harry'ego Stylesa, żeby zaprojektował krótką kolekcję.

Dua Lipa pracowała ręka w rękę z Donatellą Versace. W wyniku tej współpracy powstała kolekcja Versace na festiwal w Cannes.

TOREBKA I KOSZYK

W lipcu Francja opłakiwała niezwykle tam popularną piosenkarkę Jane Birkin, byłą żonę wielbionego poety i piosenkarza Serge'a Gainsbourga. Prześliczna wielkooka Jane była idolką młodzieży lat 60. i 70. Starsze pokolenie może kojarzyć wykonywaną przez nią i Gainsbourga skandalizującą piosenkę „Je t'aime, moi non plus".

Po latach okazało się, że nazwisko Birkin zapamiętano nie dzięki rolom u Antonioniego, ale dzięki jednej z najbardziej pożądanych i najdroższych torebek, której była pomysłodawczynią i która nosi jej imię.

Birkin bag Hermesa jest tak słynna, że posiada nawet własny mit założycielski. W roku 1984, w samolocie z Paryża do Londynu, sąsiadem Jane Birkin był Jean-Louis Dumas, prezes firmy Hermes. Gdy Birkin chciała zdjąć z półki koszyk, który służył jej za torebkę, wysypała się z niego cała zawartość. Wprost na kolana pana Dumas. Pasażerka przeprosiła i wyjaśniła, że używa koszyka, gdyż nie może znaleźć odpowiedniej dla siebie torebki. Wtedy pan Dumas zaproponował, że zaprojektuje ją dla niej. U Hermesa, jakżeby inaczej.

Spójrzmy na to dzisiaj. Bezpretensjonalna dziewczyna, której wystarczał koszyk i której do głowy by nie przyszło popisywać się czymś drogim, stała się patronką czegoś tak snobistycznego. Birkin bag ze sfery elitarnej przeskoczyła do sfery pop. Tam dostanie się w ręce pań takich jak Caroline Derpienski i Paris Hilton.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c26aa5272a

FOT. JACEK PRZYBYLSKI

SEAT ATECA 1.5 TSI XPERIENCE

Hola! Miłe powitanie w języku hiszpańskim Seat Ateca wyświetla tuż przy drzwiach auta, gdy wieczorem otwiera się do niego drzwi na parkingu lub w garażu (oczywiście wita się tylko, jeśli to akurat nasz seat ateca, a przynajmniej jeśli to my mamy do niego kluczyki). I chociaż Ateca wita tak kierowców już od 2016 r., a ostatni znaczący lifting przeszła w roku 2020, to mimo upływu lat model ten wciąż należy do grona kilku crossoverów, na które warto zwrócić szczególną uwagę, szukając samochodu na niezwykle konkurencyjnym rynku SUV-ów dla niezbyt dużej rodziny.

Czym zatem kusi hiszpański odpowiednik Skody Karoq, VW Tiguana, Peugeota 3008 etc.? Ateca dostępna jest zarówno z manualną, jak i z automatyczną skrzynią biegów, a także w wersji z silnikiem benzynowym lub wysokoprężnym. Model z silnikiem 1.0 nawet na papierze wydawał się nieco zbyt słaby, więc przetestowaliśmy egzemplarz z silnikiem benzynowym o pojemności 1,5 l, który pod maską skrywa 150 KM i ma w zanadrzu 250 Nm maksymalnego momentu obrotowego. To akurat tyle, ile trzeba, aby rodzinny SUV był jednocześnie ekonomiczny i wystarczająco żwawy. Motor współpracuje z siedmiobiegową skrzynią automatyczną DSG. I jest to dobry, od lat sprawdzony zestaw, którego na szczęście nie popsuto jeszcze żadną hybrydą...

Seat Ateca nie jest oczywiście sportowym autem (od zera do setki przyspiesza w 8,6 s), ale bez trudu radzi sobie zarówno na lewym pasie autostrad, jak i na dynamicznie pokonywanych serpentynach. Sporo radości z jazdy daje zwłaszcza precyzyjny układ kierowniczy. Na pochwałę zasługuje też to, że Ateca nie wychyla się zbytnio na zakrętach, a jednocześnie zawieszenie wcale nie jest zbyt twarde. A co z tą ekonomicznością? Średnie spalanie podczas spokojnej jazdy po drogach krajowych, ekspresowych i po Warszawie wyniosło zaledwie 6,6 l/100 km.

Kabina jest całkiem dobrze wyciszona. Podróżom sprzyja też głęboki i foremny kufer – z elektrycznie otwieranymi drzwiami bagażnika – o pojemności 510 l. Miejsca w kabinie dla czteroosobowej rodziny też spokojnie wystarczy. Wnętrze jest też ergonomicznie rozplanowane. Na szczęście są tu fizyczne przyciski do sterowania klimatyzacją czy normalne pokrętło do zmiany trybu jazdy (nie trzeba więc wszystkiego szukać na ekranie wyświetlacza). Za kierownicą umieszczona jest cyfrowa tablica przyrządów o wielkości 10,25 cala. Wyświetlacz o wielkości 9,2-cala nie jest szczytem nowoczesności, ale grafiki są czytelne, a zarówno Apple Carplay, jak i Android Auto działają dobrze, kiedy już zadziałają (czasem niestety trzeba uzbroić się w odrobinę cierpliwości, by dać systemowi szansę na przemyślenie sprawy, i wtedy już śmiga).

Seat Ateca w wersji Xperience z benzynowym silnikiem o pojemności 1,5 l i mocy 150 KM z siedmiobiegową automatyczną skrzynią DSG kosztuje co najmniej 148,5 tys. zł (do widocznego na zdjęciu lakieru Energy Blue nie ma dopłaty). Testowa wersja wyposażona była w kilka bajerów (elektrycznie otwierany panoramiczny dach, adaptacyjne zawieszenie, 19-calowe felgi etc.), przez co wyceniono ją na ok. 180 tys. zł. ©℗

ROUTER FRITZ!BOX 4060

Port sieci WAN o przepustowości 2,5 Gbit/s, trzy gigabitowe porty LAN, do których można podłączyć np. telewizor, drukarkę lub dysk sieciowy, a także 12 anten i trzy moduły radiowe zapewniające przepływność danych Wi-Fi na poziomie 6 Gbit/s – to największe zalety routera bezprzewodowego niemieckiego producenta urządzeń sieciowych AVM.

Testowany model pokazuje, że konstruktorzy z AVM odrobili wreszcie lekcję ze wzornictwa. Minimalistyczny design i biały kolor obudowy (bez krzykliwych czerwonych elementów) sprawia, że urządzenie wygląda elegancko i bez trudu wtapia się w wystrój nowoczesnych mieszkań i domów. Obsługa routera jest bajecznie prosta. Plusem jest też elastyczność możliwych połączeń. Z szybkiego routera z trójzakresowym Wi-Fi 6 można korzystać przy łączu kablowym, DSL lub światłowodowym. Wi-Fi 6 teoretycznie nie jest już najszybszym dostępnym na świecie standardem – w tym roku zadebiutowało Wi-Fi 7, które jest jeszcze szybsze i pokrywa jeszcze więcej terenu, ale ma zostać ratyfikowane dopiero w 2024 r. Na razie Wi-Fi 6 jest więc najnowszą generacją Wi-Fi, które można kupić w Polsce. Umożliwia ona przesyłanie danych z prędkością do 10 Gb/s. Jednak nie tylko szybkość jest tu ważna. Wi-Fi 6 lepiej radzi sobie z wyzwaniami współczesności, czyli z tym, że coraz częściej w domu z Internetem łączy się nie tylko jeden laptop i smartfony, lecz także co najmniej jeden telewizor, głośniki odtwarzające muzykę z serwisów streamingowych, a do tego niemal każde inne urządzenie w domu (od żarówek, przez odkurzacz, inteligentne żarówki i termostaty, do kamer do monitoringu).

Do zalet modelu Fritz!Box 4060 trzeba też zaliczyć obsługę technologii Mesh, dzięki której z szybkiego przesyłu danych można korzystać praktycznie w każdym pomieszczeniu w mieszkaniu/domu. Router posiada również zintegrowaną zaporę sieciową i funkcjonalny serwer NAS. Umożliwia także sterowanie inteligentnymi urządzeniami (smart home) oraz obsługę telefonii VoIP. Router pozwala również na stworzenie sieci Wi-Fi dla gości, dzięki której będą mieli oni dostęp do Internetu, ale już nie do całej sieci domowej.

Wady? Szkoda, że są tylko trzy porty LAN.

Minusem w przypadku urządzeń premium jest zawsze cena. Na szczęście od światowej premiery testowanego routera już trochę czasu minęło. Można go więc kupić nieco taniej. Fritz!Box 4060 kosztuje 1,1 tys. zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl c26aa5272a

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Dwór drewniany starszy

Najstarsze drewniane dwory polskie oglądać możemy tylko oczyma wyobraźni. Do dziś nie zachował się żaden wybudowany w XVI i do połowy XVII w., do czasów potopu, który w opinii prof. Leszka Kajzera stanowi granicę pewnej epoki, gdyż późniejsze domy szlacheckie nabrały piękniejszych proporcji i kształtów, co pokazują choćby dwór w Goszycach czy też fotografie nieistniejącego dworu w Rudnikach koło Częstochowy.

Starsze dwory nie zawsze miały tak ujednoliconą formę. Często składały się z części mieszkalnej i kilku przybudówek. Nie zawsze też wznoszone były w konstrukcji zrębowej z bali. W Wielkopolsce i w Prusach wiele budowanych było w technice szkieletowej znanej jako „mur pruski", czyli drewnianego szkieletu wypełnionego cegłami. Im dalej na wschód kraju, tym cegły ustępowały plecionce z chrustu oblepianej gliną z sieczką. Ciekawe, że nawet przewody kominowe były „lepione" z gliny. Fundamenty zaś wykonywano z kamienia polnego albo z dębowych podwalin, bardzo rzadko z cegły.

Takim dworem była siedziba Elżbiety Humnickiej w Leszczawie w Bieszczadach: „Dom wielki, w którym izba stołowa duża, okien siedem, u piąci jeno po połowicy błon, u dwóch nie masz nic, ani jednej szyby, tylko same dziury, listwy wkoło zielono pofarbowane, ławy około, szafa farbowana, u której jest dwoje zamków bez klucza, stoły dwa wielkie, zydle dwa wielkie, piec malowany; przeciwko tej izby stołowej komnata, podle komnaty łazienka". W Pisarowcach koło Sanoka część dworu składała się z komóreczek plecionych z chrustu i lepionych gliną. Z 1582 r. pochodzi inwentarz dworu w Modlnicy Wielkiej pod Krakowem, własności Salomonów, a potem sekretarza królewskiego Stanisława Fogelwedera opisujący dwór drewniany z piętrem, „mieszczącym sal sześć, alkierz o czterech oknach, izdebkę, kilka komór, spiżarnię i ganeczek".

Głównym pomieszczeniem zawsze była sień, z której wchodziło się do sal, komnat i izb, pod nią czasem znajdowały się murowane piwnice. Izba była najbardziej reprezentacyjnym pokojem, ogrzewanym zwykle piecem kaflowym, choć wiele dworów miało gliniane, czasem kominek. Tutaj stały stoły i ławy, meble, jak kredens do przechowywania zastawy. Izba zwykle miała po kilka okien – największe nawet po osiem. Wchodziło się z niej do komór – mniejszych, nieraz ciemnych i nieogrzewanych. Komory służyły zarówno jako pomieszczenia mieszkalne, jak i magazyny – zdarzało się, że przechowywano w nich zboże. Natomiast pomieszczeniami o charakterze reprezentacyjnym były komnaty, wprawdzie jeszcze mniejsze, ale za to zawsze zaopatrzone w okna i meble. Dwory drewniane już w XVI w. miały też alkierze – nazywano tak zarówno pomieszczenia dobudowane do ścian, jak i małe pokoiki wydzielone z większych izb wewnątrz głównego budynku. Jest pewne, że w XVI w. siedziby szlacheckie miały owe charakterystyczne dla polskiego stylu przybudówki – ponieważ mają je do dziś ich bogatsze odpowiedniki – dwory murowane, np. ten z Szymbarku koło Gorlic.

Jakieś wyobrażenie o tych dworach może dać siedziba Kurcewiczów z „Ogniem i mieczem" i Błudnickich z serialu „Crimen". Należy pamiętać jednak, że niektóre bywały ogromne. Według inwentarzy dwór Janusza Radziwiłła w Kojdanowie miał „drzwi dębowe stolarskiej roboty", przez które wchodziło się do sieni oświetlanej przez dwa okrągłe okienka. Z prawej strony mieścił się sklep murowany – czyli skarbiec, pod nim piwnica, a w samej sieni komin murowany – zapewne nad częścią pomieszczenia, przy nim zaś kuchenka do podgrzewania potraw. Stąd wchodziło się do kolejnych pomieszczeń – świetlicy o czterech oknach, komnaty z jednym oknem, korytarza do przysionka i kolejnej świetlicy, a potem jeszcze do dwóch komnat. Dalej był tam kolejny przysionek, korytarzyk, przy nim zaś komórka do przechowywania różnych rzeczy. Wracając jednak do sieni na parterze, to idąc w drugą stronę, (w lewo?) trafiało się do izby stołowej, malowanej, o ośmiu oknach, z piecem białogłowskim, murowanym kominem i komórką dla kredencarza. Ale to jeszcze nie koniec – z izby wchodziło się do przysionka o trzech oknach, będącego przedpokojem przed apartamentami księcia. Te były niemałe – izba pokojowa o czterech oknach i komnaty sypialnej – także cztery okna, a dalej była jeszcze izba pokojowa księżnej z trzema oknami. I wcale nie był to koniec rezydencji. Piszę o oknach, bo po nich najłatwiej zorientować się w rozmiarach dworu, którego plan ani widok się nie zachował. W sumie na parterze znajdowały się 42 okna, co pokazuje, jak ogromny był to dwór. W moim własnym, będącym w istocie tylko trochę większą „rządcówką", mam ich 16, licząc cztery alkierze. Na tym więc przykładzie widać, czym różnił się drewniany dwór Radziwiłła od ubogiej siedziby szlachcica z ziemi przemyskiej. ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Sekrety włoskiej kuchni

Najpierw zwróciła naszą uwagę piękna szata graficzna tej książki. Rysunki kwiatów i owoców oraz amorki na okładce. Potem zobaczyłyśmy, że przedmowę do tej niby kulinarnej książki napisał… Umberto Eco. Tym chętniej zagłębiłyśmy się w jej treść, zwłaszcza że zdanie na okładce obiecywało, że to „doskonała lektura dla tych, którzy chcą się nauczyć czerpać radość z życia".

Książkę napisała tłumaczka literatury włoskiej Elena Kostioukovitch. Już we wstępie pisze o fascynacji krajem i włoskim sposobem opisywania świata. Dobrze to widać w metaforach, bo Włosi wiele spraw porównują do smaku. Dla przykładu polskie „przypadać sobie do gustu" Włosi określają wyrażeniem „andare a fagiolo", czyli iść do fasoli. Przykłady można mnożyć. Włosi opisują świat smakiem i do swoich ulubionych smaków są przywiązani. Istnieje opowieść, że gdy malarz Caravaggio przybył do Rzymu, poprosił w karczmie o karczocha z masłem. Karczoch jako najbardziej rzymskie warzywo w Wiecznym Mieście podawane jest wyłącznie z oliwą. Kucharz powiedział, że nie sprofanuje karczocha, Caravaggio zaś się upierał, bo tak u niego się jadało. Doszło do bójki i… trafił do aresztu.

Książka pełna jest opowieści o tym, skąd się wzięły różne potrawy i jak wydarzenia historyczne wpływały na kuchnię włoską w poszczególnych regionach. Dlaczego np. pojawił się w niej suchy makaron? Wymyślono go jako prowiant dla marynarzy i wraz z genueńskimi kupcami już w XIV w. trafił do Prowansji i do Anglii. Pozwolił też Kolumbowi dotrzeć do Ameryki. Dania z suszonym makaronem serwowane były głównie na wybrzeżach Morza Tyrreńskiego, na Sycylii czy w Apulii. Autorka pisze, że „gdzie życie wymagało ruchu, energicznego działania, szybkich przygotowań, suchy makaron był najważniejszym, głównym pożywieniem". W książce nie ma niestety przepisów. Podajemy więc nasz.

FOT. ADOBE STOCK

„Pasta alla cenere"

– makaron w sosie śmietanowym z serem gorgonzola i czarnymi oliwkami

• 300 g makaronu penne (krótkie rurki) • 150 g czarnych oliwek • 200 g sera gorgonzoli • 200 ml śmietany 22-procentowej • ½ kieliszka białego wina • 1 cebula szalotka • sól, pieprz • 100 ml oliwy z oliwek

Gotujemy wodę na makaron (ok. 1 litra), solimy i gotujemy makaron al dente, czyli tak, by był sprężysty. Oliwki kroimy drobno, ser gorgonzola kroimy na małe kawałki, szalotkę również kroimy w drobną kostkę. Na patelni rozgrzewamy 3 łyżki oliwy z oliwek, podsmażamy cebulę, dodajemy białe wino, odparowujemy, dodajemy śmietanę, zagotowujemy, dodajemy ser, wszystko gotujemy przez ok. 2–3 min, aż sos stanie się gęsty, dodajemy trochę wody z gotującego się makaronu, oliwki i ugotowany makaron. Wszystko razem mieszamy i podgrzewamy kilka chwil na małym ogniu. I posypujemy czarnym pieprzem. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Uczciwy znalazca

Pamiątki z podróży. Kto nigdy nie przywiózł T-shirtu z serduszkiem i napisem „I love New York", wisiorka z wieżą Eiffla, sfinksika z bliżej nieokreślonego materiału? Bardziej ambitni udają się do sklepów muzealnych, które stały się świątyniami zakupów, drogich, ale za to mniej badziewnych niż tandeta uliczna. Wychodząc naprzeciw apetytom turystów, biura podróży jako jedną z atrakcji oferują wizytę w sklepach z miejscowym rzemiosłem. Zakupy rzekomo z gwarancją jakości i ceny... W Chinach jedwabne kołdry, na Sri Lance herbata, w Meksyku srebro, w Egipcie orientalne perfumy....

Dawniej turyści bywali bardziej wybredni i bardziej uprzywilejowani, choć Karola z Brzezia hrabiego Lanckorońskiego herbu Zadora nie ośmieliłabym się nazwać turystą. To był prawdziwy podróżnik, wykształcony koneser sztuki i poważny kolekcjoner. Z jego kolekcji pochodzą dwa obrazy Rembrandta „Dziewczyna" i „Uczony" (znajdują się na Zamku Królewskim w Warszawie), których historię oraz tło epoki opisuje Gerdien Verschoor w książce „Dziewczyna i uczony. Historia dwóch Rembrandtów kolekcji Karoliny Lanckorońskiej".

Do swej kolekcji hrabia Lanckoroński zdobywał dzieła, m.in. podróżując po świecie. Miłośnik antyku i quattrocenta miał szczęście należeć do tej uprzywilejowanej części społeczeństwa, która odbywała rytualny grand tour – podróż kulturową zapewniającą młodemu człowiekowi przeżycia oraz podstawę wiedzy niezbędnej w swoim kręgu towarzyskim. Na to mógł sobie pozwolić tylko człowiek niesłychanie jak on bogaty, właściciel tysięcy hektarów na Ukrainie, pałacu w Wiedniu, letnich rezydencji w Rozdole i Komarnicy. Z tych podróży, a objechał cały świat, przywoził „suweniry". „Podobnie jak jemu współcześni, również Lanckoroński jako »uczciwy znalazca« zawsze wracał do domu ze znaleziskami.

W Chinach i Japonii kazał pakować i słać do Wiednia porcelanę, egzotyczną broń, parawany oraz trzcinowe kapelusze". Bywały też większe sztuki. „Niemal kompletny sarkofag z kupidynami, który zabrał z Selinos na Sycylii, otrzymał honorowe miejsce w jego kolekcji. Marmurową trumnę kazał w czterech częściach przetransportować przez Wenecję do Wiednia, gdzie zmontowano ją w jedną całość".

Czuję ulgę, że do walizki kabinowej nie muszę upychać sarkofagu. Z drugiej strony roczna podróż dookoła świata statkami, powozami i koleją nie byłaby taka zła. A z trzeciej: Czy zapakowanie i wywiezienie czyjejś trumny z Sycylii, żeby ustawić ją w swoim pałacu, nie budziło wtedy wątpliwości? Dzisiaj budzi i ograbieni domagają się zwrotów. Ale pan Lanckoroński ani jego córka już tego nie dożyli. ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Kaczyński na listach Tuska

Dekameronki to kroniki przemiany postaci świata, a także jego upadku. Nie sposób więc uciec od rzeczywistości fundowanej, jakiej dostarcza nam kampania wyborcza. Mamy następne (jak każde z kolei) najważniejsze wybory III RP. Ileż już można? No, niech będzie. Ale popatrzmy na dominanty dyskursu Polaków, które swym poziomem – plemiennych zapasów w żurawinie – dołują wyborczą okazję do wyłowienia prycnypiów. Mamy dwie – jedzenie psów (tak, tak – to ma zdołować Konfederację) oraz… Roman Giertych.

Po wzięciu Kołodziejczaka na listy KO okazało się, że to wcale nie dno pragmatyzmu, bo rozległo się pukanie od dołu. Wzięto na listę Romana Giertycha, by zdalnie (walczy przecież nie o mandat, ale o immunitet, który ma pozwolić wrócić mu do kraju) powojował z Jarosławem Kaczyńskim, który miał stchórzyć i uciec do okręgu świętokrzyskiego przed warszawskim Tuskiem. A więc Tusk posłał za nim jego najbardziej zajadłego wroga – Giertycha banitę. Teraz mamy żenujący spektakl cmokania zwolenników Tuska, jakiż to był genialny ten ruch. Wiadomo, że tam łykną wszystko: i Kołodziejczaka, i – jak wychodzi – Giertycha, który nie powinien się w ogóle ocierać o listy KO, ustami Tuska deklarującą, że przeciwnicy aborcji nie mają szans do startu z jej list.

Widać poprzez uzasadnienia tych meandrów, fundowane elektoratowi, że ujdzie wszystko, wszak w wojnie z PiS nie ma środków, których nie można użyć, jeśli te prowadzą do celu. Cytuję z Internetu najbardziej miarodajny skrót tego myślenia: „A konserwatywne poglądy Giertycha? Przeszłość? Aborcja? Szczerze, jakie to ma dziś znaczenie? To nie Giertych będzie rządził". Tu jest wszystko – weźmiemy choćby i nasze programowe antypody, jeśli tylko staną się łomem rozwalającym beton PiS, narzędziem później odrzuconym przez demolujących.

To otwiera pewien logiczny ciąg. A czemu tylko Kołodziejczak czy Giertych? Jest wielu, którzy zadzierali z Kaczyńskim, do których można przecież sięgnąć, a przy takim poziomie cynicznego pragmatyzmu wzmożony elektorat wszystko uzasadni. Proponuję więc, by wziąć na listy KO np. Zbigniewa Ziobrę. To byłby przecież genialny ruch osłabiający PiS, co nie? Też by gęgacze mlaskali, relatywizowali przeszłe grzechy. Na końcu tego ciągu logicznego jest zaproszenie Jarosława Kaczyńskiego na jedynkę KO w Świętokrzyskiem. Zebrałby głosy? Zebrał. Przecież wszystko dla zwycięstwa nad PiS. Nawet ichni prezes na naszych listach. Wszak „jakie to ma dziś znaczenie"? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Witaj szkoło… konformizmu!

Zdalne nauczanie przyniosło edukacyjne spustoszenie. Szkody są nieodwracalne, a część z nich, zdaniem ekspertów, będzie mieć skutki odroczone. Zapędzenie dzieci przed ekrany i unieruchomienie ich w domach spowodowało wady rozwoju w okresie, gdy kształtuje się nie tylko system kostny, lecz także psychika.

Poszkodowani są też nauczyciele. Kilka dni przed pierwszym dzwonkiem w MEiN odbyła się rozprawa odwoławcza w ramach postepowań dyscyplinarnych prowadzonych przeciw Andrzejowi Michniewiczowi, nauczycielowi WF z Lublina. Jak orzekła rok temu Komisja Dyscyplinarna dla Nauczycieli przy Wojewodzie Lubelskim, Andrzej Michniewicz, nie stosując się do ustnego nakazu pozostania na kwarantannie, żądając decyzji na piśmie, uwłaczał godności zawodu nauczyciela. Kwarantanna obowiązywała tylko nauczycieli niezaszczepionych. Zaszczepieni mogli pracować.

Drugim wykroczeniem Andrzeja Michniewicza było polecenie przekazane rodzicom przez dziennik elektroniczny, by w dniach, gdy nagle, przed Bożym Narodzeniem, zamknięto szkoły, uczniowie, w ramach zajęć WF, wyszli z rodzicami na świeże powietrze, na spacer. Ponieważ polecenie nie było skonsultowane z dyrekcją, nauczyciel, decyzją komisji dyscyplinarnej, został wyrzucony z pracy. Andrzej Michniewicz złożył odwołanie, pracował nadal i po 13 miesiącach, tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego, komisja działająca przy MEN podtrzymała kary – nagana i zwolnienie ze szkoły.

Dzieje się to, gdy dyrektor Pfizera przyznał, że nie ma badań, że szczepienia zatrzymują transmisję wirusa, gdy naukowe opracowania dowodzą nieskuteczności restrykcji sanitarnych, gdy gołym okiem widać szkodliwość lockdownów. Pamiętamy wypowiedź ministra Rzymkowskiego, że resort wie, iż dzieci nie zarażają, że zdalne nauczanie jest szkodliwe, ale uczniowie muszą zostać w domach, bo sanepid nie nadąża nakładać izolacji. Mamy też ubiegłoroczne, powszechne doświadczenie nagłej neutralizacji wirusa, gdy Putin wysłał czołgi na Kijów. To wszystko jest bez znaczenia. Komisja odwoławcza przy MEiN, za niestosowanie się do sanitarnego szaleństwa, podtrzymała karę dla pana od WF. Jednym z argumentów było szczere wyznanie, że gdyby Michniewicz został uniewinniony, jakby się czuli nauczyciele, którzy stosowali się do maseczkowania, wszelkich izolacji, szczepień itp. A więc dla MEiN ważniejsze są procedury (choćby nielogiczne i bezprawne) i komfort psychiczny potulnych, stosujących się do restrykcji sanitarnych niż prawda, zdolność krytycznego myślenia i dobro ucznia.

Niezłą lekcję na początek roku szkolnego dostają uczniowie Andrzeja Michniewicza. ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Roman niezłomny

A to twardziel! Stop. Katolik niezłomny Roman Giertych zagłosuje jednak za aborcją do 12. tygodnia ciąży, jeśli Koalicja Obywatelska wprowadzi dyscyplinę przy głosowaniu. Stop. Córka mecenasa nagrała filmik, w którym mówi, że razem z mamą i siostrami przypilnują ojca, żeby dbał o prawa kobiet, w znaczeniu chyba – dopuszczał aborcję. Stop. Nie będę przytaczać wypowiedzi Giertycha, że aborcja to zbrodnia, przytoczę wypowiedź jego żony Barbary z czasów, gdy był wicepremierem: „Zabójstwo dziecka nienarodzonego powinno być karane dożywociem, jak zabójstwo dorosłego". Stop. Dalej było ostrzej: „Skoro CBŚ ściga łapówkarzy, dlaczego nie ma ścigać morderców nienarodzonych dzieci? Choćby przez stosowanie policyjnej prowokacji". Stop. Teraz ponucę sobie taką piosenkę De Mono „Wszystko jest na sprzedaż". Stop. Leci tak: „Wszystko jest na sprzedaż / Choć nie chcemy, to świat nas zmusza [...] / Bo zawsze jest ktoś, kto chce zapłacić [...] / Sprzedajemy też naszą wiarę / Świat przechodzi wciąż z rąk do rąk". Stop.

Przewyrafinowana reżyserka Agnieszka Holland obwieściła, że chce odebrać mężczyznom prawa wyborcze. Stop. Ale spokojnie, nie na zawsze, tylko na trzy kadencje parlamentu, czyli na 12 lat. Czemu na tyle? Nie wiadomo. Mnie intryguje coś innego: Czy te postępowe środowiska to jednak rozróżniają te płcie i czy rozróżniają je na dwie, zamiast postępowo na 52? Stop. Postęp regularnie wpada we własne wnyki. Stop.

Jak pamiętamy, Janę Shostak, kandydatkę do Sejmu, PO wywaliła z list wyborczych po wywiadzie, w którym pani krzycząca opowiedziała się za aborcją do dziewiątego miesiąca ciąży. Stop. Przygarnęła ją ku zdziwieniu ciemnego luda Lewica. Stop. Adrian Zandberg tłumaczył, że każdy może mieć swoje poglądy filozoficzne. Stop. Za bardzo nie wiem, co wspólnego z filozofią ma zabijanie dziecka pięć minut przed porodem. Stop.

Donald Tusk złożył uroczyste, publiczne przyrzeczenie, że dzień po wygranych przez KO wyborach pojedzie i odblokuje pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy. Stop. To, że dzięki temu prawdopodobnie dowiedzieliśmy się, kto blokuje, to jedno. Stop. Ważniejsze, że dowiedzieliśmy, iż te kamienie milowe, ustawy, praworządność, że to wszystko lipa, proszę państwa. Stop. Niemcom zależy na zmianie rządu – jak się zmieni, będzie cukierek w nagrodę. Stop.

„Gazeta Wyborcza" podała: „Adolf Hitler jako pierwszy sięgnął po trik połączenia wyborów z referendum". Stop. Argumentum ad Hitlerum jest pozamerytorycznym dowodzeniem, mającym unieważnić czyjś głos, pogląd, bo rzekomo Hitler tak samo myślał. Kto używa tego argumentu, przegrywa dyskusję... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Pocałunek śmierci

O! luba, zginąłem w niebie, Kiedym raz pierwszy pocałował ciebie!" – napisał w czwartej części „Dziadów" Adam Mickiewicz. Nie znał zapewne słów naszego wieszcza Luis Rubiales – prezes Królewskiej Hiszpańskiej Federacji Piłki Nożnej – kiedy podczas ceremonii wręczania złotych medali kobiecych mistrzostw świata pocałował w usta hiszpańską piłkarkę Jenni Hermoso. Stało się to w Sydney po finałowym meczu, w którym Hiszpanki pokonały Angielki 1:0.

Zdarzenie obejrzeć można w Internecie. Rozgorączkowany działacz obejmuje głowę piłkarki, po czym wyciska na jej twarzy trwający niecałą sekundę pocałunek. Bohaterów skandalu otaczają fotografowie i kamery telewizyjne, więc cały incydent udokumentowany jest jak mało które przestępstwo seksualne w historii kryminalistyki.

Zaraz po pocałunku piłkarka skomentowała wydarzenie na Instagramie słowami: „Nie podobało mi się to. Ale co miałam zrobić?". Następnie oświadczyła, że nie wyraziła zgody na czułości ze strony prezesa. Sprawa stała się skandalem, w który zaangażowali się politycy. Wicepremier Hiszpanii zaapelowała o dymisję Rubialesa, a znana z feministycznego aktywizmu minister do spraw równości Irene Montero (prywatnie „partnerka życiowa" lidera partii Podemos Pabla Iglesiasa) oświadczyła, że „pocałunek bez zgody to rodzaj przemocy seksualnej, z powodu której kobiety cierpią każdego dnia".

Hiszpański działacz wystosował wprawdzie przeprosiny, w których zapewnił, że pocałunek był „efektem wielkich emocji, bez cienia złych intencji i w dobrej wierze, [...] w bardzo spontaniczny sposób", jednak jego kariera wydaje się skończona.

Prawdziwy kłopot będą mieli piłkarze mężczyźni, kiedy argumentacja koleżanek przeniesiona zostanie w świat męskiej piłki nożnej. Zwłaszcza po zdobyciu gola powszechne są w tym środowisku objęcia, wzajemne skakanie na siebie i przytulanie – skutkujące czasem widokiem całych grup zawodników, okazujących radość (a może czułość?) tarzaniem się po boisku. Czy każdy z nich wyraził na to zgodę w udokumentowany prawnie sposób? Jeśli nie – to któryś z piłkarzy oskarżyć może kolegów i członków ekipy o gwałt zbiorowy, a w wypadku wymuszonej wymiany koszulek – także rozbój.

Sprawa nie dotyczy tylko piłkarzy – powszechnie znana jest skłonność amerykańskiego prezydenta, Joe Bidena, do spontanicznych pocałunków i niewinnych z pozoru pieszczot. Jeśli politycy amerykańscy okażą się równie stanowczy jak Hiszpanie, to Donald Trump nie będzie jedynym amerykańskim prezydentem, któremu grozić mogą lata zasłużonej, choć pewnie niespodziewanej odsiadki. ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Mikadowie pretensjonalności

JOANNA SIEDLECKA

Sławomir Mrożek urodził się w prowincjonalnym Borzęcinie pod Tarnowem, w rodzinie o chłopskim rodowodzie, czego bardzo się wstydził, i porównując się ze słynnym reżyserem, pisał: „Ja z Borzęcina / On z Rimini / Ja Mrożek / On Fellini". Borzęcin jednak w nim tkwił, co rano bowiem zaganiał siebie do pisania, mówiąc: „Na swoje poletko, chłopie, orać, do pługa".

„Za duży na Polskę, za mały na świat. W Polsce byłem tylko prześmiewakiem narodowym. Na Zachodzie pisarzem polskim" – mawiał o sobie. Pisał też: „PRL to było gówno z cynamonem […]. Zabory były bardziej zdrowe niż PRL"; „W peerelowskiej Konstytucji brakowało jednego słowa – kurwa"; „Wódka z ziemniaków i jesień z wody ciążą nad tym krajem"; „Wariat wioskowy ma sens, gdy jest wioska"; „W żłobie leży, bo należy" (najkrótsza kolęda partyjna).

„Władze polskie odmówiły mi przedłużenia ważności paszportu. Władze polskie każą o mnie wypisywać, że jestem zdrajcą. A ja władze polskie mam w dupie" – pisał w październiku 1968 r., gdy przebywając już na Zachodzie, protestował w „Le Monde" przeciw polskim i sowieckim tankom w Czechosłowacji, za co objęto jego twórczość cenzorskim zapisem.

„W Polsce mamy nowego naczelnika więzienia... Obiecuje gęściejszą zupę, zapewne ku uciesze więźniów, zwłaszcza tych, którzy więzienie uznali już za zwyczajną rzeczywistość. Nie wierzę jednak, żeby nawet tej obietnicy mógł dotrzymać. Jeśli jednak mu się uda, to gratuluję więźniom lepszego odżywiania i w dalszym ciągu uważam, że więzienie mi się nie podoba" – ironizował w grudniu 1970 r. po wyborze Gierka na pierwszego sekretarza.

„Padłem ofiarą propagandy, która przedstawiała Zachód jako kraj wrogi socjalizmowi, podczas gdy jest akurat odwrotnie. Tutaj jest groźnie, tutaj są entuzjaści tego świństwa, którzy najprawdopodobniej zniszczą to, co jest, a na pewno nadpsują".

„Francuzi mają już zapewnione dwa mistrzostwa świata na olimpiadzie, a mianowicie w biegu i skoku do rosyjskiej dupy".

Sławomir Mrożek nie odmawiał sobie przyjemności obgadywania kolegów z branży. „Miał takie chytre oczka" – pisał o Kapuścińskim

„Murzynów nie lubię i miło jest patrzeć na Afrykę Południową, gdzie oni są na swoim miejscu. Jak przyjemnie sobie napisać coś tak okropnego".

„Końcówka komunizmu jakoś dziwnie nie cieszy mnie tak, jak powinna. Oczekiwałem, że skończy się Paskuda. Skończyła się niby, ale dalej jakaś pozostała. Coś śmierdzi".

Nie wierzył w postęp, bo „rakiety są, owszem, ale dusza ludzka dalej plugawa, a jajka drogie".

W czerwcu 1990 r., już w wolnej Polsce, zorganizowano mu w Krakowie czterodniowy festiwal ku czci. Przerażony, podczas inauguracji, zamiast oczekiwanego przemówienia zaśpiewał góralską przyśpiewkę: „Wiedom Ci mnie wiedom... cosik mnie się zdaje, że mnie dupczyć bedom...". A po pierwszym dniu poświęconej mu sesji zwiał bezpowrotnie.

Nie tylko w korespondencji z Lemem nie odmawiał sobie przyjemności obgadywania kolegów z branży: Ryszard Kapuściński – „miał takie chytre oczka", Tadeusz Kantor – „tuman", Tadeusz Konwicki – „jaki to ja jestem tajemniczy, człowiek znikąd", Ionesco – „grafomania i bełkot", Jean-Luc Godard – „cesarz hucpy i mikado pretensjonalności" (Lem natomiast pastwił się nad Julem Słowackim, „któremu pyta nigdy nie zafurczała").

„Moje przykazania (po irish whisky). 1. Nie dać się. 2. Jeszcze pokazać. 3. Nie pozwolić sobie. 4. Dotrzymać. 5. Nie popuścić".

„Listopad 1982 r. Umarł Breżniew. Niczego to nie zmieni, ale jest mi po ludzku bardzo miło" („Breżniew kaput", basował mu Lem).

„Ala ma kota / Ola ma Asa / Kot ma Alę? As ma Olę / Ale orgia".

„Boże jedyny, na co te popłuczyny? / Czemuś mnie nie wziął do swej niebieskiej chwały / gdym był wspaniały? / Czemu Ci bardziej w niebie odpowiada / obecność dziada? / Z muzyką niebios, czy lepiej licuje/gdy pokasłuję? / Czy bardziej zdobi w niebieskim kącie / uwiędłe prącie? / A jeśli w niebie zjawi się dziura / czy ją zatka emerytura?" (Wierszyk z okazji siedemdziesiątki).

„Wszystko idzie dobrze. Wiktor oddał mi pieniądze, kataru już ani śladu […]. Pogoda ustaliła się na dobre. Dach się załata, wszystko już umówione. Rześko jest. Nie bardzo tylko mogę zrozumieć, dlaczego czterej mężczyźni niosą mnie w drewnianej skrzyni, na leżąco, z wiekiem przybitym na głucho". ©℗

Cytaty Mrożka z jego „Dzienników", „Uwag osobistych", „Małych listów", korespondencji z A. Tarnem, W. Skalmowskim. S. Lemem. G. Herlingiem-Grudzińskim.

eprasa.pl c26aa5272a

JEDNO FOTO

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Wyobraźmy sobie, że PiS aresztuje i stawia w stan oskarżenia Tuska i kilkanaście osób z jego najbliższego otoczenia: Kidawa, Sikorski, Trzaskowski, Karnowski… Możemy uważać, że należy im się, bo mają sporo za pazurami, ale… gdyby urzędująca władza w trakcie kampanii wyborczej aresztowała sztab wyborczy wiodącego kandydata opozycji oraz jego samego, mielibyśmy skojarzenia z Białorusią – z dyktaturą. Takie rzeczy należy załatwiać przed kampanią lub po kampanii, a nie w jej trakcie. Bo kto aresztuje oponentów politycznych (nawet skorumpowanych) w trakcie kampanii wyborczej, ten odbiera wyborcom ich prawo głosu.

To, co opisałem, stało się w USA – Trump i 18 jego bliskich współpracowników aresztowano i postawiono w stan oskarżenia. Nikt się nie bawi w udawanie, że chodzi o sprawiedliwość. Trumpa zarzucono mrowiem paragrafów w czterech różnych procesach. Oskarżyciele nie kryją, że zarzuty są słabe, ale chwalą się, że jest ich tyle, że zanim Trump się z każdego wybroni, będzie dawno po kampanii wyborczej, ha, ha. Tu w ogóle nie chodzi o to, by go skazać. Gdyby Trump i jego ludzie naprawdę spiskowali w celu obalenia państwa (takie są zarzuty), nie zostaliby wypuszczeni za kaucją i nie mogliby odpowiadać z wolnej stopy. Prawdziwych spiskowców trzyma się pod kluczem choćby po to, by nie mogli mataczyć.

Terminy rozpraw są charakterystyczne. W trakcie amerykańskich prawyborów jest kilka ważnych dni – pierwsze głosowanie w pierwszym ze

FOT. FULTON COUNTY SHERIFF'S OFFICE

stanów, głosowania w stanach, które się wahają i raz głosują na lewo, innym razem na prawo itp. Do takiego stanu trzeba koniecznie pojechać. Ale… jak ma pojechać Trump, gdy dostał wezwanie do sądu akurat na taki feralny dzień? Dostał już kilka wezwań wycelowanych punktowo w dni, gdy wszyscy inni kandydaci będą tam gdzie trzeba; a Trump będzie siedział w sądzie na drugim końcu kraju.

***

Czy to nie mogło poczekać? MOGŁO. Pomiędzy dniem wyborów a datą formalnego objęcia urzędu jest dość czasu, by wznowić zamrożone śledztwa. Można się też z kandydatem dogadać na takie terminy, które nie zaburzą kampanii. Wiele zależy od sędziego – są rzeczy które można zrobić, jest też wiele rzeczy, których można nie robić, i prawo zostawia tu swobodę sędziemu. No np. można było Trumpowi NIE robić zdjęcia do kartoteki policyjnej (tzw. mug shot). Uparli się i zrobili. Chcieli poniżyć, ale nie wyszło.

***

Zdjęcia tego typu są w USA przedmiotem pożądania i stanową element popkultury – każdy nastolatek chce mieć własny mug shot; miały je gwiazdy takie jak Frank Sinatra i Elvis Presley. Policyjna fotografia Trumpa zrobiła karierę światową w ciągu pierwszych kilku minut od publikacji. W ciągu godziny pojawiły się w sieci gadżety, koszulki, kubki, oprawione zdjęcia na ścianę. Grafficiarze zaczęli malować tę fotografię na murach i wagonach kolejowych. Po dwóch dniach oszacowano, że „przemysł" związany z tym jednym zdjęciem wygenerował aż miliard dolarów. Kampania wyborcza Trumpa wypuściła własne produkty i zebrała kwotę ponad 4 mln w jeden dzień, po dwóch dniach mieli już 7 mln.

To zdjęcie wyważa zamknięte drzwi – Trump wrócił na Twitter. Zablokowali go 8 stycznia 2021 r., potem Musk kupił firmę, odblokował Trumpa, ale ten nie robił nowych wpisów. Dopiero 25 sierpnia 2023 r. wywiesił swoje zdjęcie policyjne. Najmocniej zareagowali czarni. W sieci pełno filmów, w których mówią o Trumpie „ziomal", „teraz już nie jesteś pomarańczowy, men, teraz jesteś czarny, jak my". W czarnych dzielnicach Ameryki KAŻDY mężczyzna ma fotografię policyjną. Traktują to jak certyfikat urodzenia – nie masz mug shota znaczy, że nie jesteś naprawdę czarny. Zdjęcie Trumpa zestawiono ze zdjęciami murzyńskiego pastora Martina Luthera Kinga, który w latach 60. walczył o równouprawnienie czarnych. Było jeszcze coś… Coś, czego demokraci nie przewidzieli.

Gdy Trump jechał z lotniska do aresztu, towarzyszyła mu normalna kawalkada czarnych samochodów, którą ma każdy amerykański prezydent oraz były prezydent. Taką urzędową kawalkadę pilotuje miejscowa policja i zwykle wysyłają kilka wozów, bo więcej nie trzeba. Tym razem przyjechało ich dużo więcej. Wyglądało to jak orszak królewski – policja oddawała honory człowiekowi, który o policję dbał. Policja oddawała honory człowiekowi, który został niesprawiedliwie oskarżony i wezwany do najgorszego więzienia w USA. Fulton County Jail to mordownia. Liczba więźniów przekracza 3 tys., choć budynki przeznaczone są na 1,1 tys. Do tego robactwo, choroby, zbrodnie, gangi.

Po drodze trzeba przejechać przez niebezpieczną i biedną dzielnicę murzyńską – tam nie pojawia się nikt, kto nie musi. Gdy jechał Trump, czyli bardzo biały człowiek, w dodatku miliarder, murzyńska biedota wyszła na ulice wiwatować na jego cześć. Pozdrawiali swojego prezydenta i swojego ziomala.

***

Dzień wcześniej odbyła się telewizyjna debata republikańskich kandydatów. Trumpa nie było. Stwierdził, że to nie ma sensu w sytuacji, gdy on ma poparcie 57 proc. wyborców, następny w kolejce gubernator Florydy jest 30 punktów procentowych za Trumpem, a reszta peletonu ma po 2 proc. Miał rację, że nie poszedł – debatę oglądało 13 mln widzów, a w tym samym czasie Trump udzielił wywiadu na Twitterze i ten jego wywiad obejrzało 300 mln. Debata była beznadziejna: Trump ma iść do więzienia dnia następnego, a pozostali kandydaci nie mówią o tym ani słowa, lecz wrzeszczą na siebie w sprawach dotyczących wyboru szkoły. Zero pytań o oszustwa wyborcze, prawie nic o imigracji, za to było jedno pytanie o UFO. Naprawdę było!!! Dziennikarka spytała kandydata, co sądzi o UFO. Była z tego kupa śmiechu. Dobrze, że Trump nie przyszedł, bo gdyby jemu zadali pytanie o UFO, zacząłby od słów: Kto cię tu przysłał, ty durna babo? ©℗

eprasa.pl c26aa5272a

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

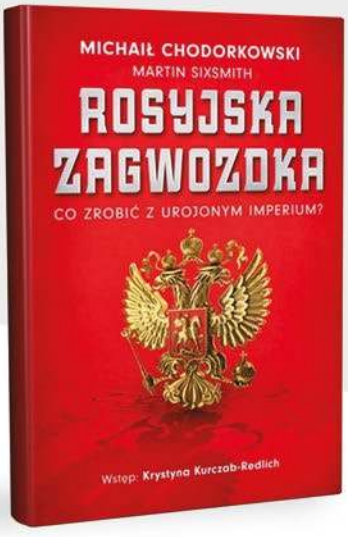

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MICHAIŁ CHODORKOWSKI
MARTIN SIXSMITH:
„ROSYJSKA ZAGWOZDKA. CO ZROBIĆ Z UROJONYM IMPERIUM?"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1178~~ ZŁ

368,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 810ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c26aa5272a

Blue Angels

PROMASTER

CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

eprasa.pl c26aa5272a